



Agnieszka  
Janiszewska

UROK  
PÓŹNEGO  
LATA

TOM II

NOVAE RES

Agnieszka Janiszewska

UROK  
PÓŹNEGO  
LATA

— Tom II



NOVAE RES

– Nareszcie jesteś, mamó! Irena od świtu suszyła mi głowę, że po ciebie nie pojechałem. – W głosie Romana usłyszała taką ulgę, jakby wróciła z bardzo niebezpiecznej podróży, z odległej części globu. Albo z żeglugi po dalekich morzach, gdzie grasowały statki pirackie.

– Jak to nareszcie? – obruszyła się Adrianna. – Jest dopiero czwarta. Do rozpoczęcia spektaklu mamy jeszcze trzy godziny.

– Sama wiesz, jaka jest Irena – westchnął zrezygnowany Roman.

Oczywiście, że wiedziała, dlatego popatrzyła na niego ze współczuciem. Wyobrażała sobie panikę córki. Że też Irena nie potrafi przynajmniej od czasu do czasu wyluzować. Wyluzować – właśnie takiego słowa Adrianna nauczyła się ostatnio od wnuków. Musiała przyznać z lekkim zażenowaniem, że niektóre określenia młodzieżowego slangu bardzo przypadły jej do gustu, w każdym razie niejednokrotnie lepiej nazywały pewne zjawiska i zachowania ludzi niż najbardziej wykwintne literackie czy naukowe idiomy.

Irena była zawsze bardzo *correct* – jak mówią Anglicy. Bardzo poprawna, uporządkowana, zawsze wiedziała, gdzie się co znajduje – i to zarówno w jej mieszkaniu, jak w biurze. Nigdy niczego nie szukała – w przeciwieństwie do młodszej siostry. Właściwie od dziecka taka była. To były na pewno przydatne cechy, choć z drugiej strony Adrianna nie mogła oprzeć się wrażeniu, którego bardzo nie lubiła i za które sama siebie bezlitośnie rugała, ono jednak bezlitośnie wracało – mianowicie, że te bardzo przydatne cechy odbierały Irenie wiele naturalnego wdzięku. Także wtedy, gdy była młodą dziewczyną. Bezdyskusyjnie też – choć to złośliwy paradoks – zamiast ułatwiać jej życie, niejednokrotnie je utrudniały. A to dlatego, że temu uporządkowaniu towarzyszyło jak cień bezustanne niemal napięcie. Irena była często spięta i zdenerwowana, zapewne wpływ na to miały jej praca w urzędzie, kontakt z tłumem petentów, z których każdy miał jakąś niecierpiącą zwłoki troskę i sprawę, a wszyscy byli niezadowoleni i z tego powodu wyżywali się na sobie nawzajem i... na urzędniku. Irena nie pozostawała dłużna, więc koło wzajemnych pretensji się zamykało.

Adrianna nie raz i nie dwa próbowała wytłumaczyć córce, by nie wpisywała się w to powszechne schamienie obyczajów. Życie nie było łatwe. Bezustanne kolejki w sklepach, użeranie się z codziennymi absurdami egzystencji w tym kraju bez wątplenia wystawiały nerwy, a i przy okazji kulturę osobistą, na wielką próbę. Z pewnością niekiedy trudno się było zdobyć na anielską cierpliwość. Nie oznaczało to jednak, że człowiek miał nie próbować ocalić w sobie tego, co było w nim najlepsze. By nie próbował szukać piękna i mimo wszystko je odnajdować.

– Dobrze ci mówić – sarkana Irena. – Stworzyłaś sobie ten swój wymyślony świat, bo żyjesz w domku pod lasem, nie masz na głowie rodziny, którą trzeba opierać i codziennie czymś nakarmić.

– Jesteś niesprawiedliwa – odparła wtedy Adrianna. – Chyba nie myślisz, że w domku pod lasem ja i ojciec – Dezydery jeszcze wówczas żył – żyjemy się wyłącznie jagodami i grzybami? A nasz sklep był nieraz polem regularnej bitwy między klientami, zresztą dobrze o tym wiesz. Ale to nie oznacza, by tak całkowicie się temu poddać i pozwolić się totalnie ogłupić. Znajdź sobie jakiś wentyl bezpieczeństwa, jakiś własny obszar myśli i upodobań, któremu poświęcisz bodaj parę chwil dziennie. Zobaczysz, że inaczej wtedy spojrzysz na życie. W przeciwnym wypadku w końcu zwariujesz.

– Mam tak jak ty dumać nad tym, co było, minęło i już nie wróci? – To były dyżurne argumenty Ireny.

W efekcie nie umiała się niczym cieszyć. Budziła się rano i zanim jeszcze otworzyła oczy, widziała przed sobą dzień wypełniony korowodem trudnych do udźwignięcia obowiązków, począwszy od koszmarnych niekiedy kłótni z petentami w pracy, poprzez bieganie po sklepach, kolejkowe awantury, skończywszy na walce o wepchnięcie się do przepełnionego autobusu lub tramwaju, by wreszcie dowlec się do małego, ciasnego mieszkania, bardzo niefunkcjonalnego, pomimo trzech pokoi, zważywszy na fakt, że jeden z nich był pokojem przejściowym do wszystkich pozostałych pomieszczeń. Tam z kolei złana potem z wysiłku, nerwów i duchoty w pozbawionej okien kuchni pospiesznie

przygotowywała pracowito dwudaniowy obiad dla męża i synów, choć wszyscy razem i każdy z osobna starali się jej wytłumaczyć, że wcale od niej nie oczekują takiego poświęcenia i wysiłku. Na próżno. Irena – zdaniem całej rodziny – postawiła sobie za punkt honoru być idealną panią domu.

– Oni by woleli, abys przynajmniej od czasu do czasu zamiast tych pożywnych obiadków przygotowała jakąś małą przekąskę i usiadła z nimi, aby spokojnie porozmawiać – powiedziała jej kiedyś matka. – I to bynajmniej nie o kolejkach, tłustym mięsie i bezczelnej sprzedawczyni, która ci to mięso wcisnęła. Jest tyle innych tematów, które pozwoliłyby ci odpocząć od codzienności. Na litość boską! Przed wojną studiowałaś. Zrób czasem użytek z zalet swojego umysłu.

Jakże się wtedy Irena na nią oburzyła!

– A ty znowu o tych przedwojennych czasach! – krzyknęła, choć Adrianna wspomniała jedynie o przedwojennych studiach. – Głowa mnie boli, jak tylko zaczynasz te swoje stare śpiewki! Co z tego, że studiowałam?! Kogo teraz obchodzą moje humanistyczne, przedwojenne studia?! O tylek to potłuc! I przestań opowiadać bajdy, że Roman i chłopaki zadowoliliby się jakąś szybką potrawką. Za pół godziny znowu wołaliby jeść. I nie jestem salonową damą, by godzinami rozprawiać o dyrdymałach, skoro czeka mnie tyle domowej roboty!

Po tamtej awanturze nie odzywały się do siebie przez kilka tygodni. Adrianna nie chciała nawet słyszeć nieśmiałych sugestii męża, by pierwsza wyciągnęła rękę do zgody, bo, jak mówił, Irenie jest teraz pewnie zbyt głupio i niezręcznie to uczynić. „Wykluczone” – oświadczyła dotknięta do żywego. Przecież udzieliła córce jedynie dobrej rady i co ją w zamian spotkało?

Wreszcie, wspólnym wysiłkiem męża, zięcia i obu wnuków, doprowadzono do zgody między matką a córką. Od tamtej pory czasem zdarzały im się różnice zdań w tej czy innej sprawie, obie jednak, nauczone smutnym doświadczeniem, starały się nie dopuszczać do tego, by dyskusja przerodziła się w kłótnię. Miało to też drugą stronę medalu – unikały szczerzej rozmowy o tym, co je bolało. Ich rozmowy coraz częściej były płytkie, dotyczyły drugorzędnych tematów.

Przecież nie musisz wiecznie tak się spinać, chciała powiedzieć córce Adrianna. Owszem, nikt z nas nie ucieknie przed problemami i troskami codzienności. Oczywiście, podobnie jak wiele innych kobiet, jesteś cholernie przepracowana, ale czemu nie dostrzegasz tego, że w przeciwieństwie do tych kobiet doświadczyłaś także wiele szczęścia w życiu? Masz męża, który nie tylko jest dobrym, wartościowym i zapobiegliwym w codziennym bytowaniu człowiekiem, ale który kocha cię niezmiennie od tylu lat. Spostrzegłam to już wtedy, gdy został mi przedstawiony. Pierwszą moją myślą było: ten człowiek nie widzi świata poza Irenką. Moja córka będzie z nim szczęśliwa. I co? Miałam rację. Ten mężczyzna ani razu cię nie zawiódł, a przecież macie za sobą bardzo trudne doświadczenia. Trzy lata po waszym ślubie wybuchła wojna. Twój mąż był zawsze przy tobie, zawsze cię wspierał. Może nie ma za sobą bohaterskiej przeszłości frontowej ani konspiracyjnej, ale to dlatego, że wiedział, że ze względu na ciebie i dzieci nie wolno mu podejmować ryzyka. Pewnie też dzięki temu nowa władza nie czepiała się go po wojnie jak tylu innych. Twoje dzieci nie straciły ojca. Nie poszedł do lasu walczyć przeciwko komunistom, to fakt. Zamiast tego poszedł do ciężkiej pracy, aby wam niczego nie brakowało. A wobec mnie i twojego ojca zachowywał się zawsze bez zarzutu. I wciąż kocha cię taką, jaka jesteś, choć – co tu ukrywać – w dużej mierze z własnej winy nie przypominasz już księżniczki z bajki. To akurat najmniej ważne. Wszystkich nas dopada upływ czasu. Ale nieraz byłaś dla niego niemiła. I już dawno przestałaś się starać, aby stać się bardziej atrakcyjną także pod względem intelektualnym. A wiesz, dlaczego taka jesteś? Bo podświadomie masz pewność, że on i tak nie dostrzega tych wszystkich twoich wad i braków, które męczą wszystkich innych wokół ciebie. Obyś jednak nie przesadziła, moje dziecko. Jak powiadają: póty dżban wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie.

Adrianna wiedziała jednak, że nie powie takich słów Irenie. Milczała zatem, choć to milczenie coraz częściej stawało jej kością w gardle. Jak choćby dziś, gdy przyjechała do Warszawy i już na progu mieszkania córki i zięcia zauważyła jego zakłopotanie.

Musiała mu od rana ciosać kołki na głowie z powodu całej organizacji tego sobotniego dnia. I jaki miała ku temu powód? Że rzekomo nie zdążę przyjechać na przedstawienie w operze? Nawet wyjściem do teatru nie potrafi się cieszyć. Wszędzie widzi jakieś niedogodności i ciemne strony.

I rzeczywiście, na twarzy córki znowu dostrzegła ten jakby już do niej na stałe przyrośnięty wyraz zatroskania i napięcia.

– Bałam się, że nie zdążysz przyjechać i bilety się zmarnują – zaczęła lamentującym tonem Irena.

– Na miłość boską, czemu miałabym nie zdążyć? – odparła nieco już zirytowana Adrianna. – Jechałam z Broniszcz, a nie z Zakopanego.

– Ale sama wiesz, jak to jest z tymi pekaesami. Jeżdżą, jak chcą, zwłaszcza w soboty po południu. A poza tym autobus mógł być tak załadowany ludźmi, że nie zmieściłabyś się do środka. Po co takie ryzyko, skoro Roman wrócił wcześniej z pracy i mógł po ciebie pojechać?

A ty nie widzisz, jak często twój mąż jest wykończony? – zastanawiała się Adrianna. – Nie przyjdzie ci do głowy, że jego siły nie są niewyczerpane i potrzebuje odpoczynku? Wcale bym się nie dziwiła, gdyby ni z tego, ni z owego przestał wcześniej wracać z pracy, w każdym razie gdyby przestał wtedy wracać do ciebie. I może wreszcie przestałabyś mu wyszukiwać zajęcia związane z moją osobą. A to dzwonek u furki w Broniszczach, to znowu przywieź mamę, odwieź mamę! Mam ochotę zapaść się wtedy pod ziemię.

Tego oczywiście także nie powiedziała na głos. W zamian odparła, że córka niepotrzebnie tak się martwiła.

– Przyjechałam cała i zdrowa. Prześniemy już o tym debatować. – Wolą pominąć milczeniem fakt, że o miejscu siedzącym w pekaesie mogła sobie co najwyżej pomarzyć. W dodatku przez całą drogę darło się wniebogłosey jakieś dziecko. – I niby dlaczego wasze bilety miałyby się zmarnować? W razie gdybym nawet nie dojechała, poszlibyście do opery beze mnie. Chyba byście tam trafili bez mamy? – zażartowała, ale, jak się okazało, niepotrzebnie, bo Irena ponownie zmarszczyła brwi. – Gdzie dzieciaki? – zapytała wobec tego pospiesznie, pragnąc już z całego serca zmienić temat.

Nie byli stałymi bywalcami opery i teatrów, ale chęć zapewnienia Uli jak najlepszych wrażeń z pobytu w kraju nad Wisłą zmobilizowała de facto całą rodzinę do kupienia biletów, a w przypadku Ireny – także do sprawienia sobie nowej sukienki.

Nadal ma dobry gust, pomyślała z zadowoleniem Adrianna, obserwując córkę. Sukienka była szyta na zamówienie u krawca, w sklepach bowiem – jak skomentowała z przekąsem Irena – nie można było znaleźć niczego godnego uwagi. Wiśniowy kolor dobrze komponował się z jej ciemnymi włosami i śniadą cerą, a odpowiednio dobrany krój podkreślał zalety figury, minimalizując wady.

Dawno jej nie widziałam tak elegancko i gustownie ubranej i uczesanej. Mój Boże, przecież skończyła dopiero czterdzieści trzy lata. Jest jeszcze młodą kobietą. Powinna cieszyć się życiem, dodała w duchu.

Niewyrażone na głos uznanie babki Rawickiej podzielali wszyscy pozostali.

– Jesteś piękna, mamó – ocenił Jacek, a Adrianna skonstatowała w myślach, że córka powinna odczuwać zadowolenie z życia nie tylko dlatego, że trafiła na wspaniałego mężczyznę, ale także urodziła dwóch innych, z których jako matka powinna być dumna. I chyba była, tyle że rzadko o tym mówiła.

Tego wieczora Irena zresztą nie tylko wyglądała inaczej niż zwykle. Także zachowywała się inaczej, zdecydowanie bardziej powściągliwie niż zazwyczaj, a do tego niewiele się odzywała. Jakby tego było mało, Adrianna kilka razy podczas spektaklu podchwyciła na sobie jej zakłopotany wzrok.

O co jej chodzi? – zastanawiała się. – Czyżby jakiś problem z Ulą? Przecież bardzo chętnie ugospczę tę dziewczynę z powrotem w moim domu. A może to dotyczy Romana albo chłopców? No i oczywiście zawsze pozostaje Eliza. Może przed jej powrotem do Anglii miały jakieś nieporozumienie albo siostra przekazała jej jakąś złą wiadomość. Zwierzyła jej się z poważnego zmartwienia? Nie domyślę się przecież, nie jestem wróżką.

Od kilku dni było już uzgodnione, że Adrianna przenocuje w mieszkaniu Chojewiczów. To była ta mniej korzystna strona wyprawy do opery, ale nie było innego wyjścia ze względu na późną porę zakończenia przedstawienia. Powrót ostatnim tego wieczoru autobusem nie wchodził w grę. Wprawdzie Adrianna nie widziała problemu w tym, że do Broniszcz dotarłaby dopiero o wpół do dwunastej w nocy, jednak reszta rodziny nie chciała o tym słyszeć.

Irena oczywiście użyła argumentu, że jeśli matka tak bardzo upiera się, by wracać do domu, to

w takim razie Roman postara się ją odwieźć swoją taksówką – przeciwko czemu zięć jak zwykle nie zaprotestował – niemniej Rawicka nie zamierzała nadużywać jego dobroci.

Nie pozostawało jej nic innego, jak spędzić noc na Żoliborzu, choć nie podeszła do tego z entuzjazmem. Nie mogła tu spać, drażniły ją duchota, ciasnota i odgłosy dobiegające z innych mieszkań.

– Jakie odgłosy? – dziwiła się Irena, gdy czasami próbowała delikatnie wytłumaczyć córce powody swojej niechęci wobec nocowania w jej domu. – I ty uważasz, że to ja narzekam? Wokół jest sporo mieszkań, to prawda, ale w naszym bloku ludzie zachowują się stosunkowo spokojnie, jeśli się porówna, jak z tym bywa gdzie indziej.

Jednak do Adrianny, przyzwyczajonej do ciszy za oknem – poszczekiwania psów u mieszkających w oddaleniu sąsiadów, a także odgłosy innych zwierząt i ptaków z pobliskiego lasu wcale jej nie przeszkadzały – argumenty córki nie przemawiały. I powietrze było tam zupełnie inne. W odpowiedzi Irena niejednokrotnie stwierdzała, że to raczej ona nie zmrzyłaby oka, gdyby mieszkała samotnie na takim odludziu jak matka.

No cóż, jakoś przetrwam, pomyślała podczas kolacji Adrianna. W dodatku zapowiadało się, że tym razem – wbrew sugestiom Ireny, jakoby w tym bloku lokatorzy zachowywali się spokojniej niż gdzie indziej – z jednego z mieszkań piętro wyżej dochodził gwar wielu podniesionych głosów, głośnych śmiechów i śpiewu.

– To pewnie Filipiak obchodzi imieniny – mruknął Roman.

Irena nie zareagowała, a Adrianna ponownie – tak jak w Teatrze Wielkim – podchwyciła jej spojrzenie.

O co tu chodzi?

– Odpocznij, ja pozmywam – oświadczyła, gdy wszyscy już wstali od stołu.

– No co ty, mammo...

– Widzę, że jesteś zmęczona. Usiądź choćby przed telewizorem, obejrzyj jakiś film. Ja nawet w połowie nie prowadzę tak męczącego życia jak ty.

– Nie potrafię beczynnie siedzieć. Zaraz się zastanawiam, co by jeszcze zrobić w tym domu.

– W takim razie nie wdałaś się ani we mnie, ani w ojca. Bo my lubiliśmy czasami odłożyć wszystkie sprawy na bok i po prostu delektować się życiem. – Adrianna nie wytrzymała, choć wiedziała, że stąpa po bardzo kruchym lodzie. Przygotowywała się nawet na ostrą odpowiedź córki, ale wołała już to niż niepewne spojrzenia i milczenie, które ją coraz bardziej niepokoiło.

Jednak, ku jej zdumieniu, Irena nie podjęła rzuconej rękawicy. Wzruszyła jedynie ramionami.

– Dobrze, mammo. Jeśli wolisz dla odmiany w swej codziennej spokojnej egzystencji pobawić się brudnymi garami, to proszę bardzo. Tyle że stawia mnie to w niezręcznej sytuacji.

– Niepotrzebnie tak myślisz.

Adrianna wycierała już mokre naczynia, gdy Irena ponownie zajrzała do kuchni.

– No widzisz, wszystko już w porządku – zagadała pogodnie jej matka.

– Opowiedziałam Uli o konflikcie między tobą a ciotką Cecylią. – Usłyszała w odpowiedzi i wypuściła z rąk dwa widelce, które z głośnym brzękiem uderzyły o szklaną miskę stojącą w zlewie.

– No cóż – zachnęła się, ponownie polerując sztućce. – To właściwie żadna tajemnica, a jedynie stara, choć niezbyt chlubna rodzinna historia. Zresztą co nieco dowiedziała się już wcześniej od Elizy.

– Też tak pomyślałam, ale potem nie byłam pewna, czy powinnam była jednak o tym opowiadać bez pytania o zgodę ciebie.

– I właśnie ta sprawa tak cię gryzła cały wieczór? – Adrianna uśmiechnęła się szeroko. Z jednej strony poczuła ulgę, że wyraźne zatroskanie córki dotyczyło tak odległej przeszłości. Z drugiej zaś doświadczała uczucia trudnego do zniesienia dyskomfortu – jak za każdym razem, gdy ktokolwiek zrobił choćby najmniejszą wzmiankę na temat Cecylii, co na szczęście zdarzało się bardzo rzadko. Tak jak wtedy, w trzydziestym ósmym roku, gdy ciotka napisała do niej po raz ostatni, donosząc o swojej chorobie i prosząc, aby siostrzenica ją odwiedziła.

*Przyjeżdż, wyjaśnijmy sobie wszystko, zamknijmy to za sobą raz na zawsze.*

Nie pojechała, ale odpisała:

*Nie mamy już czego sobie wyjaśniać. Wszystko od dawna jest dla mnie oczywiste. I jeszcze jedno – ja już dawno zamknęłam za sobą tamte drzwi. Spotkanie z Tobą mogłoby je niepotrzebnie otworzyć.*

Ani słowem nie skomentowała wiadomości o śmierci Cecylii. Nie pojechała na jej pogrzeb.

– Nie tylko o to chodzi. – Słowa Ireny przywróciły Adriannę do rzeczywistości. W tonie głosu córki było coś, co ją na nowo zaniepokoiło. – Zapytała mnie, kim był doktor Damian Reński.

Adrianna ostrożnie odłożyła na bok talerze, które pierwotnie zamierzała wstawić do kuchennej szafki. Dłonie jej niebezpiecznie zdrząły, ale ukryła je pod fartuchem. Miała nadzieję, że córka nie zwróciła na to uwagi.

– Wspominałaś jej o nim? – spytała cicho. – Dlaczego?

– Tak jakoś wyszło. Po nitce do kłębka. Przecież te wszystkie wydarzenia z przeszłości są w przedziwny sposób ze sobą powiązane. Opowiada się o jednym i nie wiecieć kiedy pojawiają się następni ludzie, i tak dalej, i tak dalej.

– No cóż, w takim razie w porządku. – Adrianna schyliła się i otworzyła drzwiczki dolnej szafki. Nie patrząc na córkę, zaczęła z powrotem sprzątać naczynia. – Skoro był bratem Rozalii, faktycznie trudno pominąć go w opowieściach.

– Mamo... – Irena postąpiła krok naprzód i uczyniła taki ruch, jakby chciała dotknąć ramienia Adrianny.

Ta jednak w tym samym momencie przykucnęła, ustawiając talerze w głębi szafki.

– A tak w ogóle to skąd u ciebie takie zainteresowanie przeszłością? I opowiadanie o niej? – zagadła wesoło, wciąż nie odwracając głowy. – Nigdy wcześniej bym nie podejrzewała, że tak nagle i diametralnie zmienisz upodobania.

– Nie w tym rzecz – odparła Irena. – Mogę opowiadać o przeszłości, ale tylko wtedy, gdy mam pewność, że to już nie rzutuje na teraźniejszość. Ula jest tym zainteresowana, ale są takie sprawy, o których nie możemy z nią rozmawiać... – Zawahała się i ciszej dodała: – W każdym razie na pewno nie my.

– Słusznie.

– Tyle że obie musimy pilnować tej zasady.

Adrianna wreszcie się wyprostowała i spojrzała córce prosto w oczy.

– Wiem – rzekła spokojnie. – Mnie nie musisz tego przypominać.

Są takie sprawy, o których nie możemy jej powiedzieć...

Adrianna przypomniała sobie słowa córki następnego dnia, gdy wracając już do domu, patrzyła przez okna autobusu na mijane pola i łąki.

Nie my...

Padał deszcz. Po prawie czterech tygodniach suchej, gorącej aury pogoda się załamała. Deszcz oczywiście był potrzebny, Adrianna słyszała narzekania sąsiadów na panującą suszę, sama także musiała się porządnie natrudzić przy podlewaniu własnego ogrodu, niemniej rozmywający się za szybami pekaesu ponury krajobraz nastrojał ją nostalgicznie. Na ogół, wracając z hałaśliwej i brudnej Warszawy do Broniszcz, czuła błogi spokój i zadowolenie na myśl o swoim domu, ogrodzie, pobliskim lesie i łąkach. Tym razem tak nie było. I oczywiście wiedziała dlaczego.

To tylko ten deszcz tak na mnie wpływa, próbowała sobie tłumaczyć. Jutro, pojutrze prawdopodobnie wyrzy słońce i wszystko będzie wyglądało inaczej. Przede wszystkim zaś ona nabierze większego dystansu do tego, co jej powiedziała Irena.

Są takie sprawy, o których nie możemy jej powiedzieć. Oczywiście Adrianna wiedziała, co Irena miała na myśli. Tyle że niepotrzebnie to właśnie ona okazała się nadspodziewanie wylewna podczas rozmów z Ulą. Ona! Wspominanie osoby Damiana Reńskiego było nie tylko niepotrzebne, ale i nieroztropne. No ale Irena z tego akurat nie zdawała sobie sprawy.

A może jednak? Może coś podejrzewała?

Na samą myśl o tym Adrianna poczuła znajome ściskanie w mostku, ale po chwili odetchnęła głęboko. Uspokoila się – nie istniała najmniejsza możliwość, by córka cokolwiek wiedziała.

Już ona, jej matka, dobrze o to przed laty zadbała. Dla dobra całej rodziny. Tyle przynajmniej mogła jeszcze zrobić.

Późne lato... – dumiała, patrząc na spływające po szybie krople deszczu – niczym dojrzały człowiek, który mając już za sobą szaleństwa młodości, przygotowuje się do jesieni swego życia. I do pierwszych poważnych, naprawdę poważnych podsumowań.

Wtedy gdy umarł jej ojciec, także padał deszcz, jak dzisiaj. I także było późne lato.

Nie wyrzuciła listu, jaki Helena Jurczyńska napisała do męża tuż przed śmiercią. On także go nie wyrzucił. Adrianna nigdy nie dowiedziała się, dlaczego ojciec po prostu go nie zniszczył. Wytłumaczyła sobie, że widocznie o nim zapomniał. Musiał go otrzymać już wtedy, gdy Helena umierała w szpitalu albo nawet wkrótce po jej śmierci. A może – Adrianna nigdy nie mogła pozbyć się innego podejrzenia – nigdy go nawet nie przeczytał. Skoro dostał go wtedy, gdy życie jego żony dobiegało końca albo już nie żyła, nie widział powodu, by otwierać kopertę i czytać jej kolejne inwektywy. Te, które wcześniej do niego wysyłała, dotyczyły jego zakończonego już romansu z Rozalią. Może nigdy się nie dowiedział, że ten ostatni ujawniał jej wiedzę na temat Cecylii Barcińskiej.

Nie zapytałam przecież Rozalii, czy znalazła otwartą kopertę, czy też dopiero ona sama ją otworzyła, pomyślała Adrianna.

Nie napisała też do niej z takim pytaniem. Uznała, że wobec tego, co przeczytała, nie było to już ważne.

*Wiem o Was wszystko – pisała Helena – więc nie próbuj ani sobie, ani innym kiedykolwiek wmawiać, że pisząc te słowa, znajdowałam się w stanie niepoczytalności. Przeciwnie – chcę, abys miał świadomość, że nigdy dotąd nie myślałam tak trzeźwo jak teraz. Wczoraj, przyznaję to ze wstydem, zelżyłam osobę, która doniosła mi o wszystkim i dostarczyła dowodów. Dziś, gdy mam pewność, że osoba ta, aczkolwiek powodowana raczej niechęcią wobec Cecylii niż bezinteresowną życzliwością dla mnie, mówiła jednak prawdę, poczułam dziwny, niesamowity, straszny spokój. I nienawiść. Nigdy przedtem nie przypuszczałam, że jestem zdolna tak nienawidzić. Tak źle komukolwiek życzyć jak teraz – Wam obojgu.*

*Jeśli chodzi o Ciebie, mój Mężu, od dawna nie miałam już złudzeń, do czego jesteś zdolny. Guwernantkę bym zapewne jakoś przeboleła, tym bardziej że – o ile mi wiadomo – już od tygodni nie ma*



jej w Jurczewicach. No cóż, wytłumaczyłam sobie, że takie rzeczy zdarzają się w życiu. Niestety. Zepsutych, naiwnych dziewcząt nie brakuje. Lecz Cecylia? Gdybym miała rodzoną siostrę, nie byłaby mi tak bliska jak ona. Razem dorastałyśmy. Jej problemy były moimi problemami. Jej tajemnice – moimi. Byłam tego pewna, rękę dałabym sobie za to uciąć. Odkrycie tego, jak bardzo się w tej kwestii myliłam, napelnia mnie bólem, jakiego zapewne nie potrafisz sobie wyobrazić. Bo okazało się, że ona wiedziała o mnie wszystko. Ja jednak – nie wiedziałam o niej nic. Teraz nie mam już wątpliwości, że większość tego, co o sobie mówiła, było kłamstwem.

Żałuję z całego serca, że przed laty odmówiłam spotkania z Barcińskim, gdy mnie o to prosił. Twierdził, że ma mi coś do przekazania na temat swojej żony i Ciebie, ale odrzuciłam jego propozycję ze wzgardą i oburzeniem. Więcej nie napisał, a ja pozwalam dalej wodzić się za nos mojej kuzynce i Tobie. Byli jednak ludzie, którzy nie dali się wyprowadzić w pole, którzy obserwowali was od dawna. Byliście wystarczająco sprytni, by oszukiwać mnie – przyznaję, byłam łatwą ofiarą – i większość osób z towarzystwa. Nie dość jednak przebiegli, by oszukać wszystkich. I nie zrozum mnie źle. Nie mam żalu o to, że Cecylia była Ci bliska, zanim zdecydowałeś się mnie poślubić. Na to zapewne nie było rady. Ale potem? Potem nic Cię już nie usprawiedliwia, żadna miłość. Nie musiałeś się ze mną żenić, skoro miałeś w sercu kogoś innego.

Co do niej – żółć mnie zalewa, gdy przypomnę sobie jej wizyty w Jurczewicach, jej współczucie, gdy wypłakiwałam się na twoją obojętność, a potem jej gościnność, gdy przyjęła mnie i Adę pod swój dach. I wreszcie – jej oburzenie, wściekłość, gdy dowiedziała się o twoim romansie z Reńską. To ostatnie, to jedno było z jej strony szczere – nienawiść wobec głupiej guwernantki. Tyle że nie czuła tej nienawiści ze względu na mnie, lecz na siebie.

Ale dość już o tym. Napisałam do niej osobny list i wyłożyłam czarno na białym, co o niej myślę. Nie zamierzam już z nią rozmawiać ani dłużej przebywać w jej domu.

*Bądźcie przekłęci. Niech was piekło pochłonie.*

Pora zniszczyć ten list, postanowiła Ada, otwierając furtkę. Z rosnącej tuż przy wejściu tui, niczym z odkręconego prysznica, spadły na nią obfite krople wody. Nie zwróciła na to uwagi. Pora spalić ostatni list Heleny Jurczyńskiej i wreszcie raz na zawsze zamknąć tamtą sprawę. Taka pamiątka rodzinna nie jest nikomu potrzebna do szczęścia.

Zapaliła w kuchni światło i nastawiła czajnik. W pomieszczeniu od razu zrobiło się przytulniej, nawet mrok za oknem, spotęgowany przez przesuwające się po niebie ciężkie, ołowiane chmury, nie wpędzał już w smutny, depresyjny nastrój. Na wszelki wypadek dodała malin do herbaty i dopiero wtedy przyniosła z pokoju pudełko wypełnione starymi listami. Pomyślała o ojcu, który nie dość dokładnie zabezpieczył swoją korespondencję. Pozbył się wszystkich intymnych listów od Cecylii, a nie pomyślał o liście od Heleny. Nawet gdyby nie wpadł w ręce zdesperowanej Rozalii, mógłby zostać odnaleziony przez kogokolwiek innego. Choćby przez spadkobierczynię w osobie jego córki albo przez kolejnych potomnych.

Ja będę dokładniejsza, postanowiła. Przejrzę wszystko, kartka po kartce. Zajrzę do każdej, na pierwszy rzut oka pustej, koperty. Nie ma sensu pozostawiać po sobie spraw, które powinny odejść razem ze mną. I lepiej nie odkładać tego na później. Los ludzki jest taki nieprzewidywalny. A koniec może zaskoczyć nie wiadomo kiedy. O pewnych sprawach należy nie tylko milczeć, ale i nie pozostawiać po nich jakichkolwiek śladów. Tym bardziej że cała trójka moich wnuków jest niesłychanie zafascynowana przeszłością. Nawet bardziej, niż kiedykolwiek tego chciałam.

Po pierwsze ten list od matki. Znalazła go bez trudu, wszystko od lat starannie segregowała, była niczym skrupulatny pracownik archiwum. Przy takim porządku nawet średnio inteligentny człowiek bez trudu znalazłby wszystko, czego szukał i co go interesowało, a co dopiero Andrzej i Jacek. Bo Ula przecież tak czy inaczej wracała do Anglii, co najwyżej można było liczyć na sporadyczne wizyty z jej strony.

Raz jeszcze przeczytała słowa Heleny Jurczyńskiej. Oprócz nich jedyną zachowaną pamiątką po niej były dwie fotografie. Czy zdobędzie się jednak na to, aby zniszczyć skrawek papieru z zachowanym na nim pismem matki?

Oczywiście. Adrianna po chwili namysłu odrzuciła ostatnie skrupuły. Powinna była zrobić to już dawno temu. Na przykład po śmierci Cecylii. Chociażby nad jej grobem. Tyle że w tym celu musiałaby odwiedzić ten grób, a tego jeszcze ani razu nie zrobiła. I nie zamierzała zrobić. A list Heleny mogła zniszczyć teraz, nad kuchennym palnikiem.

Patrzyła potem na zmieniające się w popiół skrawki papieru i przyszła jej do głowy ponura myśl, że w ten sposób nie tylko rozprawia się ostatecznie z ciotką. Z nią na dobrą sprawę rozprawiła się przed laty. Teraz dokonała wreszcie porachunków z matką. Odpłaciła jej za chłód, za brak miłości, za milczenie ciągnące się tygodniami i gorsze jeszcze od milczenia słowa, które potrafiły ranić, i w niczym nie pomagało tu tłumaczenie, że przecież wypowiadała jej osoba chora na duszy i umyśle. Czasami bowiem matka potrafiła wybudzić się z tego stanu wewnętrznej izolacji, potrafiła logicznie myśleć i działać. Mimo to nigdy, przynajmniej Adrianna nie potrafiła sobie przypomnieć bodaj jednego razu, matka nie okazała jej czułości czy jakiegokolwiek wsparcia.

Przez dziesiątki lat byłam lojalna wobec ciebie i wobec pamięci po tobie, dumiała, strząsając z palnika resztki popiołu. To więcej, niż mogłabyś ode mnie oczekiwać. Wydałaś mnie na świat i na tym skończyła się twoja rola jako matki. Nie byłaś szczęśliwa w małżeństwie, ale to nie usprawiedliwia twojej obojętności wobec dzieci. Wypełniłam obowiązek wobec ciebie, ukarałam twoją kuzynkę, skazując ją na samotność w ostatnich latach życia. Ojca nie byłam w stanie ukarać, bo moja obojętność niewiele go obeszała. A nawet wcale. Ale od tej chwili także z tobą nie chcę mieć już nic wspólnego. Koniec z nami. Mam nadzieję, że gdziekolwiek teraz jesteś, to do ciebie dotarło.

Adrianna w każdym razie poczuła ulgę. Może od tej pory wspomnienie piekła jej dzieciństwa nie będzie tak paliło i bolało jak dotychczas. Tyle że dzieciństwo wycisnęło piętno na jej młodości, na wszystkich decyzjach, jakie wtedy podjęła. Na błędach, jakie popełniła – także w późniejszych latach życia. A tych wspomnień nie mogła spopielić jak kartki papieru. Musiała wyjść im naprzeciw, musiała spojrzeć im prosto w twarz i wreszcie się z nimi zmierzyć. Skutki tych błędów i decyzji wciąż się za nią ciągnęły. Co najwyżej udało się je uklepać, przydeptać, upchnąć gdzieś w schowku niczym stare, nieprzydatne już pamiątki, których jednak z różnych powodów nie sposób wyrzucić, więc trzeba przynajmniej sprawić, by nie rzucały się w oczy. I nie potykać się o nie przy każdej możliwej okazji.

Czasami jednak o sobie przypominały. Jak choćby wtedy, gdy umierał Dezydery. Jak teraz, gdy przyjechały do Polski Eliza i Ula. I gdy Eliza, w tej właśnie kuchni, rzuciła jej prosto w oczy, że w ciągu czterech dni aż dwukrotnie odwiedziła Powązki. Że dla niej to wciąż aktualna, dotykająca ją do żywego rana, a upływające lata niczego tu nie zmieniły. I choć nie powiedziała, że ta rana uniemożliwiła jej zbudowanie szczęśliwego życia, a wręcz przyczyniła się do rozpadu jej małżeństwa z Ryszardem Borzęckim, to jednak Adrianna nie potrafiła oprzeć się przekonaniu, że tak właśnie było i nadal jest.

A przecież, zanim dziewiętnastoletnia wówczas Eliza przedstawiła im jasnowłosego, wysokiego chłopaka w źle skrojonej, zdecydowanie zbyt obszernej marynarce, Adrianna od dawna wierzyła niezbitcie, że wszelki niepokój i rozterki ma już za sobą. Uporała się też z wyrzutami sumienia. Mogła z ręką na sercu wyznać, że była szczęśliwa. W powszechnej opinii oboje z Dezyderym uchodzili za dobrze dobrane małżeństwo. Plotki i pomówienia, które towarzyszyły im w początkach związku, należały już do przeszłości i jedynie bardzo nieliczni je pamiętali. Irena i Eliza wyrosły w ciepłym domu, otoczone ich wspólną miłością. Miały też dziadka, który je ubóstwiał, zresztą z wzajemnością, i którego śmierć w maju trzydziestego szóstego roku serdecznie opłakiwały. Były też wzajemnie do siebie przywiązane – pomimo tego, że stanowiły dwa diametralnie różne typy osobowości. Adrianna zawsze wiedziała, że miały przed nią swoje wspólne tajemnice.

– To chyba normalne – tłumaczył jej Dezydery, gdy się tym czasem trapiła. – Zarówno dla ciebie, jak i dla mnie to rzecz trudna do pojęcia, bo ja nie miałem rodzeństwa, a ty, chociaż miałaś braci, to jednak okoliczności tak się ułożyły, że z żadnym z nich się nie zaprzyjaźniłaś. Ale w młodości miałem przyjaciół, którzy traktowali swoich braci i siostry jak najlepszych powierników i spowiedników. Ich rodzice o większości ich spraw nie mieli pojęcia. Dla starych były przewidziane informacje starannie wcześniej przefiltrowane i ocenzone. Chyba nie mamy wyjścia, jak tylko się z tym pogodzić. My spełniamy wobec nich swoją rolę. A im trzeba pozwolić na te sekrety i szeptanki po kątach.

To z Elizą był zawsze większy problem. Irena była dużo bardziej uporządkowana, pilna i spokojniejsza. Typowa starsza siostra, przejawiająca instynkty opiekuńcze wobec tej młodszej, choć początkowo, jako małe dziecko, tak była zazdrosna o niemowlę, które ku jej strapieniu pojawiło się w Radziejowie i z którym należało się podzielić troską i miłością dziadka. Ale potem niania – gdy nikt z dorosłych tego nie zauważał – niejednokrotnie wykorzystywała fakt, że Irena bardzo chętnie zastępowała ją w opiece nad młodszym dzieckiem.

To zapewne sprawiło, że Irena dość szybko wydorosła i stała się bardzo odpowiedzialna jak na swój wiek. Natomiast Eliza, jako że była trzpiotowatym, ale bardzo wdzięcznym stworzeniem, szybko owinęła sobie prawie wszystkich wokół palca. Prawie wszystkich – Ada bowiem chyba jako jedyna nie pozwalała córce na wiele zachowań i wybryków. I zapewne dzięki temu nie rozpuściła jej jak dziadowski bicz. Bo choć ta od czasu do czasu próbowała wobec matki stawać okoniem, to jednak szybko nauczyła nieprzekraczania w jej obecności pewnych granic.

– Panna Eliza wyrośnie na silną i charakterną kobietę – twierdziły służące. – Już jest uparta i potrafi sobie dawać radę z ludźmi. Żaden chłop jej nie podskoczy. I będą ją bardziej kochać i szanować niż Irenkę.

– Przecież to niesprawiedliwe – oburzyła się wreszcie Ada. – Kocham je obie, ale Irena ma dużo lepszy charakter.

Kobiety, słysząc to, uśmiechnęły się do siebie pod nosem, ale kucharka, uważająca się za najbardziej doświadczoną z grona obecnych, nie wahała się odpowiedzieć szczerze i otwarcie:

– Może i niesprawiedliwe, ale tak to już jest. Niechże się tylko pani Adrianna rozejrzy po świecie. Im która kobieta bardziej charakterna i pyskata, tym jej lepiej w życiu, a kiedy jeszcze do tego taka wdzięczna jak nasza Eliza, to się od chłopów nie opędzi. I każdy będzie na jej rozkazy, sama się pani przekona. Irenka jest za dobra, za grzeczna, za bardzo pracowita i pilna. O takie dziewczęta mężczyźni także zabiegają, bo im z nimi wygodnie, tyle że jak już jest po ślubie, to przestają się przy nich starać. I szukają innej podniety.

Słowa: „takiej podniety jak panna Eliza” wisiały w powietrzu i choć kucharka nie odważyła się ich wypowiedzieć na głos, to każda z obecnych w kuchni kobiet, w tym Adrianna, w mig zrozumiała, w czym rzecz.

A jednak przepowiednia służącej nie sprawdziła się, przynajmniej w kwestii dotyczącej Ireny. Dziewczyna poznała syna prezesa jednego z warszawskich banków, któremu wrócono świetlaną karierę w świecie finansowym. Do tego młodzieniec miał całkiem przyjemną aparycję i jeszcze przyjemniejszy charakter. Wszyscy wokół zgodnie uznali, że młodzi dobrali się jak w korcu maku i zgodnie przyklasnęli, gdy Irena zaprezentowała zaręczynowy pierścionek. Jedna tylko Eliza wydeła pogardliwie wargi, a że nigdy nie miała w zwyczaju ukrywać tego, co myślała, od razu wyłożyła swoje zastrzeżenia:

– Roman jest miły, ale nudny. Ja bym nawet tygodnia z nim nie wytrzymała.

– I dobrze, bo to będzie mój, a nie twój, mąż – odparła oburzona Irena.

Dotąd jeszcze nie było między nimi większego starcia, toteż obie poczuły się bardzo niekomfortowo. Zwłaszcza Eliza, co było u niej zjawiskiem niezwykłym, uznała, że jednak zagalopowała się w swej szczerości.

– Oczywiście on jest bardzo dobrym człowiekiem i do tego całkiem, całkiem, tyle że... – Zawahała się. – Nie obraż się, ale czy ty musisz wychodzić za mąż za pierwszego chłopaka, jakiego bliżej poznałaś? Jesteś taka ładna, z pewnością niejeden zwróciłby jeszcze na ciebie uwagę.

– Zdumiewające, na co ty sobie pozwalasz! – wykrzyknęła Irena. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata, Eliza – osiemnaście, i choć zawsze wiedziała, że siostra miała większe od niej doświadczenie i obycie we flirtowaniu z młodymi ludźmi, to jednak nigdy z tego powodu nie czuła się od niej gorsza. Wręcz przeciwnie. Młodzieńcy, w których towarzystwie młodsza siostra znajdowała upodobanie, wywoływali jej niechęć i pogardę. Co najwyżej mogli liczyć na jej politowanie. Byli próżniakami, lekkoduchami, bez żadnego konkretnego zajęcia i bardziej wymagających zainteresowań. Irena nie potrafiła z nimi rozmawiać. Jedyнным wielbicielem niesfornej Elizy, który zyskał uznanie w oczach jej siostry, był niejaki Ryszard Borzęcki. Co z tego jednak, skoro Eliza ledwo zauważała jego istnienie!

W dodatku jakby nie dość, że nie była zdolna właściwie ocenić jedyne wartościowego młodego człowieka

w licznym gronie nierobów i lekkoduchów, którzy ją otaczali, to jeszcze ośmielała się krytykować narzeczonego siostry i namawiać ją do szukania innych wrażeń. I niby w jakim celu? Dla porównania?

– Twoje uwagi są nie na miejscu – oświadczyła lodowatym tonem Irena i przez dwa dni wyniośle odrzucała wszelkie próby pojednania podejmowane przez Elizę.

Wreszcie – oczywiście – pogodziły się. Podobnie jak wszyscy, Irena nie potrafiła się w nieskończoność gniewać na siostrę. Tym bardziej że Eliza, jeśli chciała, potrafiła być słodka jak miód i przyznać się do błędu.

Potem zresztą bardzo polubiła Romana, a kiedy Chojewiczom urodził się pierwszy syn, nie posiadała się wprost ze szczęścia, że została ciotką.

– Zazdroszczę ci – powiedziała nawet do siostry. – Miałś nosa do tego faceta. Mądra z ciebie dziewczyna.

A jej zdanie potwierdzali wszyscy, w tym służące w Radziejowie i kucharka, która swego czasu nie miała zbyt pomyślnych prognoz dla starszej panienki.

– Widać jestem już stara i głupia albo i czasy się zmieniły, a ja tego nie zauważyłam – gderała pogodnie, gdy wypominano jej pomyłkę. – Gdybym tylko zawsze tak szczęśliwie się myliła...

Jako że, co miała pokazać nadchodząca przyszłość, w kwestii przepowiadania przyszłości Elizie także się pomyliła. Jednak niestety mniej szczęśliwie.

Wiosną trzydziestego ósmego roku młodsza panna Rawicka, która od jesieni studiowała na Uniwersytecie Warszawskim i w związku z tym na stałe mieszkała w stolicy, pojawiła się w Radziejowie w towarzystwie młodego człowieka, o którego istnieniu ani Adrianna, ani Dezydery nie mieli zielonego pojęcia. Już to wystarczyło, by wprawić rodzinę w lekką konsternację. Elizie wprawdzie nigdy nie sprawiało problemów zawieranie nowych znajomości – również pod tym względem stanowiła przeciwieństwo swej zdecydowanie bardziej wycofanej i zamkniętej w sobie starszej siostry – cieszyła się także sporym powodzeniem u płci przeciwnej, niemniej na uroczystości stricte rodzinne nikogo ze swych przyjaciół i znajomych do tej pory nie zapraszała. Inna rzecz się miała, jeśli chodziło o bardziej otwarte spotkania towarzyskie – na tych nigdy nie brakowało barwnej plejady młodych ludzi, kolegów i koleżanek Elizy, którzy chętnie przyjeżdżali do Radziejowa i byli tu uprzejmie podejmowani przez właścicieli.

– Ja też za młodu otaczałem się różnymi pstrokatymi postaciami – śmiał się Dezydery, gdy Adrianna czasami przypatrywała się z powątpiewaniem temu czy innemu osobnikowi. – Jednak nawet nie ośmieliłem się pokazać ich mojemu nobliwemu ojcu. Umarłby pewnie na zawał, gdyby zobaczył którąkolwiek. Niech Eliza wie, że jej rodzice są bardziej otwarci na świat i ludzi i że nie musi ukrywać przed nimi swoich przyjaciół. Podobne szaleństwa są przywilejem młodości. Później nie ma już się na nie ani czasu, ani ochoty, a jeśli nawet jedno i drugie by się znalazło, to z pewnością siły już nie te, co za młodu. Wiem to po sobie. Sama popatrz i porównaj, jaki byłem przed laty i ile z tego jeszcze we mnie zostało. Ale cóż, taka kolej rzeczy. Jak by nie patrzeć, jestem już dziadkiem.

Jednakże nawet Dezydery uważał, że czym innym są otwarte spotkania towarzyskie połączone z rautami, wycieczkami i tańcami, a czym innym zamknięta uroczystość rodzinna. Na nią co najwyżej zapraszano najbliższych przyjaciół, nie zaś różnorodne grono kolegów i koleżanek. A taką uroczystością były bez wątpienia chrzciny małego Andrzeja. Toteż nawet tak bardzo tolerancyjny wobec pomysłów Elizy Dezydery zmarszczył brwi, gdy córka nie tylko wpadła do kościoła spóźniona, ale jeszcze z jakimś nowym znajomym u boku. Jakby tego było mało, chłopak był nie do końca odpowiednio ubrany – marynarka i spodnie pochodziły najwyraźniej każde z innego zestawu garniturowego i w dodatku zarówno jedno, jak i drugie dosłownie wisało na chudym młodzieńcu jak na przysłowiowym kiju.

Pani Chojewiczowa, matka Romana, nawet wyjęła binokle, by przypatrzeć się spóźnionej parze, a potem z powątpiewaniem na twarzy spojrzała na męża. Prezes Chojewicz starał się robić dobrą minę do złej gry, więc jedynie nieznacznie wzruszył ramionami, co mogło oznaczać, że zachowanie siostry

jego synowej nie ma dla niego większego znaczenia. Choć nie można było wykluczyć, że gest ten oznaczał coś całkiem przeciwnego. Adrianna zacisnęła usta, a Irena zaczerwieniła się po nasadę włosów. Jedyne Roman udawał, że niczego nie zauważył.

Na zewnątrz kościoła, już po zakończeniu ceremonii, Eliza podeszła do rodziców, ciągnąc za sobą wyraźnie stremowanego młodzieńca.

Przynajmniej on zdaje sobie sprawę z niestosowności całej tej sytuacji, pomyślała zagniewana Adrianna, postanawiając, że tym razem nie puści córce płazem wybryku. A Eliza z pewnością nie będzie mogła liczyć na pobłażliwość i obronę ze strony Dezyderego. Jeszcze w tym momencie nie miała żadnych złych przeczuc. Wielokrotnie potem, analizując we wspomnieniach tamtą chwilę, dochodziła do wniosku, że była zbyt oburzona, by dopuścić do siebie inne uczucia.

– Przepraszam za spóźnienie. – Eliza uśmiechnęła się zawadiacko, jakby opowiadała jakiś dowcip. – Ale to dlatego, że Stanisław boi się szybciej jeździć.

Stanisław był szoferem w Radziejowie i z tego powodu czasami przywoził Elizę z Warszawy. Stał nieopodal przy samochodzie, a jego mina świadczyła jednoznacznie o tym, że nie zgadza się, aby panna Rawicka robiła z niego kozła ofiarnego.

– Stanisław nie będzie traktował szosy prowadzącej z Warszawy jako toru wyścigowego tylko z tego powodu, że ty nie potrafisz przygotować się na czas do drogi – odparła gniewnie Adrianna, zanim zdołał to zrobić Dezydery.

– Oj, mamu, ty znowu swoje. – Eliza uśmiechnęła się pobłaźliwie.

Adrianna, którą irytował u córki zarówno ten ton, jak i uśmiech, już szykowałą się do ostrej riposty i to nie bacząc na stojącego obok coraz bardziej skonfundowanego młodego człowieka, ale Eliza do tego nie dopuściła.

– Chciałabym wam przedstawić mojego... – Zawahała się nieco teatralnie. Nikt z obecnych bowiem, Adrianna w każdym razie na pewno nie, nie umiał oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna starannie zaplanowała sobie każde słowo. – To mój nowy przyjaciel, Olgierd.

– Dzień dobry państwu. – Chłopak uklonił się trochę niezgrabnie. Jego mina świadczyła o tym, że najchętniej znalazłby się w jednej sekundzie setki kilometrów stąd. Albo też życzył sobie, aby ziemia się pod nim rozstąpiła.

To jego widoczne zażenowanie złagodziło zresztą oburzenie Adrianny. Ku jej zdumieniu chłopak wzbudził w niej nawet pewną sympatię. Kto wie, może wcale nie chciał przyjeżdżać, ale nie potrafił oprzeć się prośbom czy może nawet żądaniom Elizy? Akurat upór i skuteczność w dochodzeniu swego były wspólnymi cechami obu córek Adrianny.

– Dzień dobry, miło nam pana poznać – odparła uprzejmie.

– Ja naprawdę nie chciałem państwu przeszkadzać w takiej uroczystości... – dodał nieporadnie chłopak – ale Eliza... – Nie dokończył, napotkawszy spojrzenie Dezyderego.

No oczywiście, dokładnie tak, jak przypuszczałam, pomyślała Adrianna i rzuciła okiem na zbliżającą się do nich Irenę. Starsza córka miała jednak pogodny wyraz twarzy. W dodatku wyglądało na to, jakby cała sytuacja ją rozbawiła. Bo Irena, która nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie wybryki jak Eliza, potrafiła od czasu do czasu zdobyć się wobec młodszej siostry na daleko idącą pobłażliwość.

– Zapraszamy pana do naszego domu na małe przyjęcie – odezwał się wreszcie Dezydery.

– Dziękuję – wyjąkał młodzieniec.

– Tylko jeszcze jedno... – Dezydery najpierw zrobił poważną minę, ale widząc, że przyjaciel Elizy nie poznał się na żarcie, uśmiechnął się przyjaźnie. – Czy mi się zdaje, czy Eliza nie wymieniła pańskiego nazwiska? A może nie dosłyszałem, to też niestety u mnie możliwe. Od czasów wojny nieważnie niekiedy problemy ze słuchem.

Reszta rodziny od lat była przyzwyczajona do jego teatralnych póz i mimiki przybieranych na różne okoliczności, ale Olgierd patrzył na niego jeszcze bardziej niż wcześniej zmieszany.

Nie wiadomo, czy sama Eliza zna to nazwisko, pomyślała złośliwie Adrianna, niemniej ją też dopiero teraz uderzyło, że młodzieniec nie został im należycie przedstawiony.

– Och, przepraszam państwa. Zupełnie nie pomyślałem – odparł czerwony jak burak chłopak

i ponownie się uklonił, przez co jego źle zawiązany krawat zakołysał się na wszystkie strony. – To ja powinienem był się przestawić. Olgierd Reński.

Na moment zapadła cisza. Adrianna, Dezydery i Irena wymienili spojrzenia. Eliza, dla odmiany, natychmiast się nastroszyła.

– O co wam znowu chodzi? – spytała zaczepnie.

Adrianna nie zwróciła na nią uwagi.

– Co za nadzwyczajny zbieg okoliczności – wykrztusiła, zwracając się do młodego człowieka. – Czy pan ma coś wspólnego z rodziną Reńskich z Krakowa? Z moją... to znaczy z Rozalią Jurczyńską, z domu Reńską?

– Tak, to moja ciotka – powiedział Olgierd, zmieszany.

Nie wytrzymał spojrzenia Rawickiej i opuścił głowę.

– Ciotka? – powtórzyła bezwiednie Ada. Tysiące myśli przebiegały jej naraz przez głowę. Z niezadowolaniem poczuła, że drży, co zapewne lada chwila stanie się widoczne dla wszystkich pozostałych. – Jak ona się miewa? – spytała. Nie wypadało przecież nie zadać tego pytania.

– Nie najgorzej. – Chłopak ponownie się zmieszał. Patrzył pod nogi, ale w pewnym momencie podniósł wzrok i już spokojniej dodał: – Nie będę udawał, proszę pani. Nie mam zbyt częstego kontaktu z rodziną ojca, choć traktują mnie życzliwie. Tak się jednak złożyło, że... – Odetchnął głęboko jak człowiek, który zdejmuje z ramion ciężar, by po chwili podjąć go na nowo. – Tak się po prostu złożyło... – W tym miejscu urwał.

– Rozumiem. – Adrianna trudem skrzywiła wargi do uśmiechu. – Kiedyś miałam okazję poznać trzech braci Rozalii i jedną z jej siostr.

– Mamo... – zaczęła ostrzegawczo Eliza, której temat rozmowy najwyraźniej nie przypadł do gustu.

Olgierd jednak najwidoczniej trochę się ośmielił.

– Ja jestem synem Damiana Reńskiego, najstarszego z braci.

– Ach tak... – Tym razem z trudem wydobyła z siebie głos. W głowie miała kompletną pustkę. I pewnie to pierwsze oszołomienie sprawiło, że pozwoliła sobie na uwagę, którą powinna była raczej zachować dla siebie, w każdym razie nie wypowiadać jej na głos w tamtej chwili. Nie zastanawiała się jednak, co wypada, a co nie. – Nie miałam pojęcia, że Damian Reński się ożenił – stwierdziła, mając nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

– Chyba powinniśmy już jechać do domu – odezwał się zamiast Olgierda Dezydery. – Prezesostwo Chojewiczowie siedzą już w samochodzie i czekają, aż ruszemy.

– Dobry pomysł – poparła go Eliza, rzuciwszy niezadowolone spojrzenie na matkę.

Nic mnie to nie obchodzi, pomyślała wtedy gniewnie i desperacko Adrianna. Ani Chojewiczowie, ani nikt inny. Wszystko jest nieważne. Teraz liczy się tylko to, że ten chłopak jest synem Damiana. Co oznacza, że...

Przecież Damian nie planował życia rodzinnego. Chciał się poświęcić swojej pracy. Z takim przekonaniem twierdził, że nie zamierza powielać przykładu swojego ojca, który obarczony żoną i licznym potomstwem nie miał czasu na nic innego, jak tylko harować, by zapewnić im wszystkim byt. Ojciec Damiana nie mógł nawet marzyć o rozwijaniu swoich pasji naukowych, o sympozjach i spotkaniach, które wzbogaciłyby jego wiedzę medyczną o różne nowinki i odkrycia, pozwoliły na wymianę doświadczeń.

A tymczasem... proszę! Damian jednak założył rodzinę. Adrianna pomyślała, że przecież ten chłopak jest zapewne mniej więcej w wieku Elizy, a może i Ireny. A zatem...

Szarpnęła ze złością torebką. Najchętniej zaczęłaby z wściekłości tupać nogami – dokładnie tak, jak to się jeszcze czasem zdarzało Elizie.

Eliza... Sama myśl o córce sprawiła, że Adrianna niemal zamarła z przerażenia. Na ile poważna była jej znajomość z tym młodym człowiekiem? Może to tylko dobry kolega, względnie przelotna fascynacja, jakich w tak młodym wieku uzbierało się już dziewczynie co nieco? Jej zauroczenia jednak jak dotąd nie trwały długo, i to zarówno w odniesieniu do ludzi, jak i przedmiotów, które chciała zdobyć.

Gdy tylko cel zostawał osiągnięty, zainteresowanie zdobyczą mijało. Adrianna, którą podobne zachowania córki drażniły, tym razem gorąco się pomodliła, aby podobny los spotkał tego Olgierda. Syna Damiana. Boże drogi...

I wtedy usłyszała odpowiedź chłopaka:

– Moi rodzice nigdy nie byli małżeństwem. Matka już zresztą nie żyje. Ale ojciec dał mi swoje nazwisko i starał się, aby w sensie materialnym niczego mi nie brakowało. – Powiedział to bez śladu wcześniejszego onieśmienia, właściwie nawet z uśmiechem na ustach. I tym razem patrzył jej prosto w oczy.

– Nie musisz się spowiadać ze swoich spraw – oświadczyła Eliza, ale bardziej niż do Olgierda kierowała te słowa pod adresem matki. Tak jakby to ją oskarżała o nadmierne wścibstwo.

– Ale ja nie widzę powodu, dla którego miałbym to ukrywać – odparł swobodnie. – Lubię jasne sytuacje, przecież wiesz. I nie znoszę, gdy z podobnych spraw robi się wstydlive sekrety. W ogóle nie znoszę tak zwanych rodzinnych tajemnic.

Oszołomiona Adrianna ponownie odniosła wrażenie, że i tym razem te słowa były kierowane głównie pod jej adresem. Choć przecież, racjonalnie rzecz ujmując, było to niemożliwe. Olgierd Reński nie mógł nic wiedzieć o jej życiu ani o jej sprawach. To znaczy – nie powinien nic wiedzieć.

Gdybyś tylko miał pojęcie, jak ja nienawidzę tych tajemnic, myślała. I co z tego, skoro była na nie skazana. A przynajmniej na jedną z nich skazała się sama.

W ogóle cała ta sytuacja, wymiana zdań, ten chłopak, syn Damiana, który odgrywał jakąś rolę w życiu Elizy – wszystko to wydało jej się tak absurdalne, że równie dobrze mogłoby się okazać snem. I tego właśnie zapragnęła – aby to był sen, z którego w końcu się obudzi i z ulgą stwierdzi, że wszystko wokół jest takie jak do tej pory. Znane, w miarę poukładane, stabilne. Jeden dzień podobny do drugiego, spokojna egzystencja, myślenie o przyszłości. Żadnego już oglądania się w przeszłość. Tak bardzo chciała się już obudzić! Błagała Boga, aby tak właśnie się stało.

I doczekała się właśnie tego, choć w innym sensie, niż pragnęła. Stojąc wtedy w otoczeniu bliskich sobie osób i patrząc na Olgierda Reńskiego, wreszcie zrozumiała, że jej przekonanie o słuszności wszystkich dotychczasowych wyborów życiowych, o szczęśliwej rodzinie, którą dzięki tym wyborom stworzyła, było ułudą. Nie to, co działo się z jej życiem w tej chwili, lecz wszystkie lata, odkąd poślubiła Dezyderego, były snem, z którego rzeczywiście teraz się budziła. Snem, z którego jednak budzić się nie chciała.

Na tydzień przed terminem powrotu Uli do Londynu Andrzej i Jacek zabrali kuzynkę na wycieczkę do Krakowa.

– Zatrzymamy się w jakimś niedrogim schronisku, przecież pojedziemy raptem na trzy dni – przekonywali Irenę, która początkowo była dość sceptycznie nastawiona do tego pomysłu. – Trochę szkoda, aby jedynymi atrakcjami, jakie poznała w Polsce, były Warszawa i Broniszcze. Dobrze by było wyskoczyć jeszcze nad Bałtyk, no ale na to mamy za mało czasu.

Wreszcie uzyskali poparcie ojca, który wyasygnował na ten cel niezbędną kwotę.

– Jak ma się gościa z zagranicy, trzeba pokazać staropolski, sarmacki gest – oświadczył żonie. – Niczego nie ma za darmo. Nie wiadomo, kiedy ta dziewczyna ponownie się u nas pokaże, niech więc zachowa jak najlepsze wspomnienia. Nie tylko te związane z naszym ciasnym mieszkaniem.

Pojechali więc zatłoczonym jak zwykle o tej porze roku pociągiem, siedząc na podłodze w korytarzu, wśród innych współpasażerów.

– Trochę głupio wyszło z taką miejscówką – mruknął zażenowany Jacek, jednak Ula wydawała się jak najbardziej ubawiona podobnym stylem podróżowania. – Zapewne potraktuje to jak atrakcję turystyczną Polski, o ile nie cechą charakterystyczną naszego kraju. – Mimo wszystko był niepokieszony i zażenowany, dzieląc się swoją uwagą z bratem.

– Najważniejsze, że udało się nam wyrwać z domu – odparł Andrzej. – Ile można siedzieć w Warszawie i pokazywać wciąż od nowa te same obiekty? To proszenie matki o każdy grosz wpędza mnie w coraz większą frustrację. Powtarzam ci, że gdyby nie strach przed pójściem do wojska, rzuciłbym te bezsensowne studia i poszukał jakiejś pracy.

– Dlaczego uważasz swoje studia za bezsensowne? – zainteresowała się Ula, która usłyszała jego ostatnią uwagę.

Andrzej na chwilę zmieszał się i zawahał.

– Pewnie trudno ci zrozumieć, ale w tym kraju studiowanie jest po prostu sztuką dla sztuki. Studiujesz, aby rozwijać swoją pasję albo zdobyć wiedzę, niemniej nie przekłada się to na lepsze perspektywy zawodowe, na karierę, jak wy to tam na Zachodzie nazywacie. Tak zwana kariera w naszym kraju nie zależy od wyników w nauce czy nawet od możliwości intelektualnych i zdobytej wiedzy, a przynajmniej w większości przypadków tak nie jest. Najbardziej błyskotliwe moce twórcze twojego czy mojego umysłu nie pomogą, jeśli nie będziesz mieć dobrych układów z władzą. A przynajmniej warto siedzieć cicho i się nie narażać. Kiedy zaś proponują ci pójście na ten czy inny układ, warto z tego skorzystać. Bo ci, którzy tego nie robią, nigdy nie zostaną zauważeni – czy to jako wybitni naukowcy, czy utalentowani pisarze lub nawet zdolni inżynierowie. Zresztą dotyczy to także studentów. I jeszcze jedno – po skończeniu studiów często zarabia się mniej niż rówieśnicy po szkole zawodowej. Z tego powodu większość młodzieży od razu po podstawówce wybiera zawodówki, a nie licea ogólnokształcące.

– Więc żałujesz, że poszedłeś na studia?

– Czasem nachodzą mnie takie myśli. Studiowanie, owszem, jest fajne. Ale co potem? No i denerwuje mnie to wyciąganie pieniędzy od rodziców. Głupio się z tym czuję, coraz gorzej. W dodatku wiem, że i po skończeniu uniwersytetu nie dam sobie rady bez ich pomocy. Wolałbym już teraz zabrać się do sensownej, pełnoetatowej roboty. Te tak zwane propozycje wakacyjnej pracy dla studentów są śmiechu warte.

– Nie myśl teraz o tym. – Nie bardzo wiedziała, co mu odpowiedzieć, więc uciekła się do wyświechtanych formułek. – Porozmawiajmy lepiej o Krakowie.

– Pewnie masz rację. – Andrzej uśmiechnął się gorzko i wzruszył ramionami. – Na ogół staram się o tym nie myśleć, bo doskonale wiem, że nic to nie da. Ale czasem szlag mnie trafia przez taki brak perspektyw i beznadzieję.

Jakby na potwierdzenie jego słów usłyszeli wrzask małego dziecka, a potem zobaczyli kobietę



przedzierającą się przez siedzących na podłodze lub stojących w korytarzu pasażerów. Na jednej ręce trzymała wierzgającego berbecia, drugą ciągnęła za sobą kilkuletnią dziewczynkę. Zaczerwieniona i ledwo żywa ze zmęczenia, próbowała się odgryzać mruczącym z pretensjami, zirytowanym ludziami, których po drodze potraçała:

– Nic nie poradzę, proszę państwa. Dzieci muszą do ubikacji! A co? Mają narobić na podłogę?!

– Nikt by i tak nie zauważył różnicy – odpowiedział jakiś mężczyzna, patrząc znacząco pod nogi.

Na potwierdzenie swojej opinii co do czystości korytarza demonstracyjnie przestępował z nogi na nogę, ale nie usiadł.

Ula bez słowa komentarka podciągnęła kolana pod brodę, aby umożliwić na tyle, na ile się da, przejście kobiecie z dziećmi.

– Sama widzisz, jak tu się żyje – podjął ponuro Andrzej. – Kiedyś i ja się z tego rechotałem jak ci tam. – Wskazał na gromadkę pokładających się ze śmiechu nastolatków. – Ale już mnie to nie bawi. Odechciewa się zakładać rodzinę w takich warunkach. Zresztą codziennie miałaś okazję widzieć obrazki tego typu. Takie właśnie wyobrażenie o ojczyźnie swoich rodziców zabierzesz do Anglii. Może to nawet pod pewnymi względami cenniejsze doświadczenie niż oglądanie zabytków Warszawy, Krakowa tudzież tego, co zostało po Radziejowie i Jurczewicach.

– To wszystko prawda, ale Anglia także przeżywa swoje kłopoty i trudności – odparła Ula. – Po wojnie dość długo obowiązywała reglamentacja żywności i trzeba było bardzo oszczędzać na wszystkim. Nadal nie jest to eldorado. Amerykanie, którzy odwiedzają Anglię, postrzegają ją jako kraj szary, zmęczony i bynajmniej nie bogaty.

– A jednak w porównaniu z Polską, zresztą z całą tą częścią Europy, wy tam, na Zachodzie, macie prawdziwy raj – westchnął Andrzej. – Nie wmawiaj mi, że tak nie jest.

– Mówisz tak, jakbyś tam był – odpowiedziała na wpół urażonym tonem Ula. Pewność siebie, z jaką starszy cioteczny brat wygłaszał swoje opinie, nie przyjmując do wiadomości innych argumentów, już od jakiegoś czasu trochę ją irytowała.

– No właśnie, trafiłaś w sedno – odciął jej się natychmiast. – Nie byłem tam, to znaczy na Zachodzie, i raczej mam nikłe szanse, aby ten stan rzeczy kiedykolwiek uległ zmianie. Wyjazd stąd gdziekolwiek za granicę jest najeżony tyloma trudnościami natury prawnej, administracyjnej i biurokratycznej, że nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Nawet na wydanie paszportu, co de facto oznacza zgodę na wyjazd, trzeba sobie zasłużyć. Albo mieć szczęście i trafić na odpowiedni humor odpowiedzialnego za to urzędnika. Nie, Ulka, nie staraj się stawiać znaku równości między waszym życiem tam a naszym tutaj.

Na to już nie znalazła odpowiedzi, co najwyżej poczuła się niezręcznie. Miał przecież rację, temu zaprzeczyć nie mogła. Martwiła się jednak, że wycieczka do Krakowa zaczęła się tak mało fortunnie, że już od początku towarzyszy jej nie najlepszy nastrój jednego z kuzynów, co mogło rzutować na atmosferę całej eskapady. Wobec tego postanowiła odwrócić uwagę Andrzeja od jego ponurych rozmyślań i pomówić o Krakowie.

– Konkrety zobaczysz na miejscu – odparł Jacek, któremu także udzielił się nastrój starszego brata. – Zresztą już ci wspominałem, co będziemy oglądać.

– Tak, ale... – Zebrała się na odwagę. – Ja bym chciała zobaczyć tam coś jeszcze, poza Wawelem, kościołami, muzeami i dzielnicą Kazimierz.

– Co takiego niby? – prychnął Andrzej. – Może Nową Hutę? No cóż, na swój sposób może to być ciekawe doświadczenie turystyczne, ale bez mojego udziału.

– Myślałam o cmentarzu – wyrzuciła z siebie jednym tchem. Na wszelki wypadek nie patrzyła jednak na żadnego z braci.

– Jak to... o cmentarzu? – Jacek wybałuszył na nią oczy.

– No, słyszałam, że jest tam taki stary, zabytkowy cmentarz... – Zaczerwieniła się lekko. – Nie pamiętam jego nazwy.

– Pewnie chodzi ci o Rakowicki – mruknął Andrzej. W spojrzeniu, jakim obrzucił kuzynkę, była mieszanka pobłażliwości, ale i zaciekawienia. – Skąd u ciebie takie zainteresowanie cmentarzami?

Choćby po tym można poznać, że jesteś nieodrodną wnuczką babci Ady. Albo też to babcia zainfekowała cię swoimi cmentarnymi zainteresowaniami. Potrafi być w tym skuteczna, to jej muszę przyznać...

– Pójdziemy tam? – przerwała mu Ula.

– Tak ci na tym zależy? – zainteresował się Jacek.

– Chyba tak.

– Chyba? Jak to chyba? – Andrzej nie był entuzjastą tego pomysłu. – Nie wiem, czy zdążymy.

Cmentarz jest dość daleko od miejsc, które chcielibyśmy ci pokazać. Sam Wawel zajmie nam kilka godzin, a jest tyle innych atrakcji do zobaczenia.

– Wiem, ale... to ważne.

– Masz na uwadze jakiś konkretny grób, pomnik czy też... jest tam pochowany ktoś z rodziny twojego ojca? – Upór kuzynki zastanowił Andrzeja jeszcze bardziej. – Jeśli tak, to wiesz, jak trafić w konkretne miejsce pochówku? W przeciwnym wypadku nie będzie łatwo. Może być tak, że stracimy dużo czasu, a nie znajdziemy grobu, który chcesz odwiedzić.

– Nie. – Pokręciła głową i popatrzyła na nich z łagodną prośbą w oczach. – Chodzi mi... to znaczy chciałabym zobaczyć miejsce spoczynku rodziny Reńskich...

– Reńskich? Jakich Reńskich? – Jacek w pierwszej chwili nie zaskoczył, ale Andrzej nie potrzebował wyjaśnień. Był jednak nie mniej zaskoczony od brata, choć z innego powodu.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – spytał.

Czyżby to był pomysł babki? Bardzo wątpliwe. Rawicka nigdy nie zachęcała i nie prosiła żadnego ze swoich wnuków o odwiedzenie grobu Rozalii i Krzysia. Ireny także do tego nie zobowiązała. Sama od lat nie była w Krakowie. Prawdopodobieństwo, że podobne zadanie mogła zlecić Uli, było więc bliskie zeru. Choć tak zupełnie nie mógł tego wykluczyć. Obie przecież – jak Andrzej niejednokrotnie zauważył – przejawiały zastanawiające zainteresowanie cmentarzami.

– Pomyślałam, że może wypadaloby... – Zmieszała się. – Ktoś powinien tam zajrzeć. To przecież... rodzina.

– I akurat tobie przyszło to do głowy? – roześmiał się Jacek. – Przecież do niedawna nie wiedziałaś nawet o istnieniu Reńskich. Na mój gust coś kręcisz.

– Akurat tu się mylisz. Wiedziałałam o Rozalii i jej synu. Matka mi kiedyś o nich wspominała.

– Wyjątkowo się nimi przejęłaś – stwierdził z przekąsem Andrzej.

Mylisz się, zareplikowała, choć przezornie tylko w myślach. Nie o nich jej chodziło. Nie o Rozalię i tego nieszczęsnego chłopca, brata babki. Tak naprawdę miała na myśli kogoś zupełnie innego. Na razie badała grunt, ile oni obaj wiedzieli na temat interesującej ją sprawy.

– Zaciekawiała mnie ta historia. – Starannie przemyślała odpowiedź. Nie zamierzała tak od razu wyklądać swoich kart. – Wasza matka dość dokładnie mi ją opowiedziała. Te stare miłości, zdrady, intrygi... Było w tym coś takiego... Sama nie wiem...

– Takich historii i teraz nie brakuje.

– Wiem. – Ula spochmurniała. Obaj odgadli, że musiała pomyśleć o własnych rodzicach, więc zamilkli zakłopotani. Ona jednak dokończyła już znacznie pogodniej: – Jednak dziś stało się to na tyle nagminne, że aż spadło do poziomu nędznej groteski. Kiedyś ludzie mieli w sobie więcej klasy.

– I zdradzali z większą klasą? – zakpił Jacek, zanim Andrzej zdążył dać mu ostrzegawczego kuksańca w bok. W dodatku powiedział to na tyle głośno, że siedząca niedaleko nich młoda kobieta spojrzęła na niego z niemym wyrzutem.

Ula jednak nie wyglądała na oburzoną.

– Teraz nawet zdrada skarłała. O miłości nie wspominając.

– Trudno, żeby tak nie było... w takich parszywych warunkach bytowych – prychnął Andrzej, usiłując poruszyć zdrętwiałymi nogami. – Mnie już dawno wywietrzały z głowy różne romantyzmy i tym podobne historie. A co do tego cmentarza...

– Nie chcę was do niczego zmuszać – zastrzegła.

– Zresztą i tak nie trafimy do konkretnego grobowca czy też pomnika – wtrącił Jacek. On z kolei nie był zwolennikiem odwiedzania tego typu miejsc poza przewidzianymi ku temu terminami

w kalendarzu.

– Ani razu tam nie byliście?

– Wieki temu. Jeszcze przed odwilżą polityczną – zażartował Andrzej. – A tak na poważnie... Byłem tam bodaj dziesięć lat temu, może jeszcze dawniej. Z dziadkami. Czy teraz trafię? Można spróbować.

– Naprawdę? – Ula nie wierzyła własnym uszom.

– Stracimy na to pół dnia albo i więcej. – Jacek nie krył niezadowolenia.

– Nie. Umówmy się w ten sposób, że jeśli w ciągu godziny nie trafię do właściwej kwatery, to sobie darujemy dalsze poszukiwania. Tak czy owak, nie będzie to zmarnowany czas. Ten cmentarz sam w sobie warto zobaczyć – rozstrzygnął Andrzej. – No to jak będzie? Zgoda?

Udali się tam drugiego dnia pobytu, już po południu. Przed południem zwiedzili kościół Mariacki, kościół Świętych Piotra i Pawła, Stare Miasto i bazylikę Świętego Franciszka. Dzień wcześniej zachwycona Ula miała okazję poznać Wawel. W duchu nie dziwiła się, że Rozalia Reńska tak tęskniła za tym miastem, że wobec klęski jej małżeństwa postanowiła tu wrócić, pochować jedyne dziecko i zakończyć własne życie.

Mając do wyboru cmentarz Rakowicki i tamten w Broniszczach, też wybrałabym na miejsce wiecznego spoczynku ten w Krakowie, zdecydowała w duchu Ula, oczywiście nie dzieląc się swoją refleksją z kuzynami. Nie wiązała zresztą wielkich nadziei na odnalezienie grobowca Reńskich. Czy cała ta rodzina spoczęła razem, w jednym miejscu, jak na przykład Jurczyńscy w Broniszczach. Nie należała, by kontynuować poszukiwania, gdy po ponad godzinie nic z nich nie wyszło. Nie zamierzała łamać umowy, jaką w tej sprawie zawarli w pociągu.

To Andrzej postanowił, że sprawdzą jeszcze jedną alejkę.

– Przypomniało mi się, że wtedy z dziadkami skręciliśmy w prawo obok takiego wielkiego drzewa – przekonywał tak, jakby nagle i dla niego znalezienie grobu Rozalii stało się ważnym zadaniem.

– Świetnie. Co za precyzyjna wskazówka – mruknął Jacek.

– Nie marudź. To już ostatnia alejka, którą sprawdzimy. Obiecuję.

Wyrwał do przodu tak, jakby go ktoś przyzywał. Ula i Jacek z trudem za nim nadążali.

– Z nim tak zawsze. Najpierw krytykuje każdy cudzy pomysł, a potem ni z tego, ni z owego tak się do tego pomysłu zapala, jakby wyszedł z jego głowy – jęczał Jacek.

– Nie miałam pojęcia, że tak będzie – tłumaczyła się skruszona Ula, czując się winna całemu zamieszaniu.

– Jest! – Usłyszeli w tym samym momencie. – Tak mi się wydawało, że to tu.

Stary pomnik wyglądał na zadbany i nie ulegało wątpliwości, że nie było to miejsce zapomniane przez żyjących.

– A ty pewnie spodziewałaś się zobaczyć tu ruinę – zakpił Jacek. – Sądziłaś, że przybędziemy na ratunek niczym krzyżowcy z krucjatą. A tymczasem Reńscy byli liczną rodziną, wzajemnie się wspierającą i, jak widać, kolejne pokolenia pamiętają o swoich przodkach.

– Widzę – potwierdziła na odczepnego Ula. Wzrokiem wodziła po imionach i nazwiskach pochowanych tu osób. Rozalia i jej syn, a oprócz nich dwoje innych ludzi, przypuszczalnie rodzice Rozalii. – Ona miała dość liczne rodzeństwo – dodała po chwili ostrożnie.

– Litości! Chyba nie zaczniecie ich tu teraz szukać! – zawołał rozpaczliwie Jacek.

– To byłoby bezcelowe, zwłaszcza że większość z nas żyje – Usłyszeli nagle za plecami niski, kobiecy głos, co sprawiło, że wszyscy troje jak na komendę podskoczyli. Potrzebowali dłuższej chwili, by otrząsnąć się z pierwszego, zdecydowanie niesamowitego wrażenia.

Głos należał do postaci z krwi i kości, nie zaś do ducha, jak początkowo zasugerował im instynkt. Stojąca za nimi kobieta nie była staruszką, wyglądała na osobę mniej więcej sześćdziesięcioletnią. Była drobna, miała pomarszczoną twarz, ale jej wyraziste oczy rzucały wesołe iskry. Najwyraźniej reakcja trójki młodych ludzi bardzo ją ubawiła, choć miała przecież prawo poprosić o wyjaśnienia.

– Tylko dwie najstarsze siostry odeszły już do Pana – dodała pogodnie. – Reszta z nas, w różnej wprawdzie kondycji, ale nadal dzielnie się zmagają z przeciwnościami losu na tym łez padole. Nazywam

się Hanna Wojciechowska, z domu Reńska. Poczytuję sobie za zaszczyt, że jestem najmłodsza z rodzeństwa. Choć kiedyś było to dla mnie powodem niemałego strapienia.

Wciąż stali i patrzyli na tę kobietę jak osłupiali, tak że ponownie uśmiechnęła się i przejęła inicjatywę.

– A wy co? Nie przedstawicie mi się?

– Bardzo panią przepraszamy – wydukał wreszcie kompletnie zbity z tropu Andrzej. – Nie spodziewaliśmy się kogokolwiek tu zastać. Nie wierzyliśmy nawet, że tu trafimy. Nazywam się Andrzej Chojewicz, a to mój brat Jacek i cioteczna siostra Ula. Jesteśmy wnukami Adrianny Rawickiej z domu Jurczyńskiej. Nie jestem pewien, czy przypomina sobie pani, kto to taki, ale nasza babka była...

– Czy przypominam sobie Adrianę Jurczyńską? – Uśmiech nie zniknął z twarzy kobiety, choć w jej oczach pojawił się osobliwy i trudny do jednoznacznego określenia wyraz. – Ależ młody człowieku, ja jej nigdy nie zapomniałam. Aczkolwiek ona z pewnością miałaby trudności z przypomnieniem sobie mojej osoby. A propos, pozwólcie, że zapytam, chociaż nie chciałabym popełnić brzydkiego faux pas... Czy wasza babka... jeszcze żyje?

– Tak. I ma się całkiem nieźle. Niestety dziadek już nie żyje, ale jego pani zapewne nie miała okazji poznać, więc...

– Poznałam go – ponownie weszła mu w słowo pani Hanna. – To było na pogrzebie Krzysia... mojego siostrzeńca, syna Rozalki. No, ale potem już nie miałam okazji zobaczyć ani waszego dziadka, ani... jej. To znaczy – poprawiła się – waszej babki. Dlatego nie przypuszczam, aby ona kiedykolwiek wam o mnie wspomniała.

Trójka wnuków Adrianny przyjęła to oświadczenie w milczeniu. Żadne z nich nie miało pojęcia, jak zareagować.

– No cóż, miło nam było panią poznać – odezwał się wreszcie po dłuższej chwili Jacek. – Niestety musimy już iść dalej, bo...

– Czy to babka poleciła wam odwiedzić to miejsce? – po raz kolejny mu przerwała Wojciechowska.

W jej głosie usłyszeli ciekawość, ale i nutkę ironii.

– Nie, proszę pani – odparł chłodno Andrzej.

Później, gdy analizował tę rozmowę, przyszło mu do głowy, że gdyby nie owa słaba, ale jednak dostrzegalna, ironia w pytaniu tej kobiety, może odpowiedziałby jej twierdząco, choć niezgodnie z prawdą. Że to babka poprosiła ich, aby także w jej imieniu pomodlili się nad grobem jej brata i macochy. Dwuznaczne zachowanie i słowa najmłodszej siostry Rozalii obróciły wniwecz jego dobre, jak mniemał, zamiary.

– To był pomysł naszej kuzynki, która odwiedzając Polskę, postanowiła poznać jak najwięcej miejsc związanych z rodziną.

– Ach tak... – Pani Hanna skierowała ponownie wzrok na Ulę, a ta, tknięta tym spojrzeniem, postanowiła wreszcie zadać na głos pytanie, które nie dawało jej spokoju, odkąd znalazła się w tym miejscu:

– A zatem pani brat, Damian Reński, wciąż żyje?

Obaj cioteczni bracia najpierw wymienili między sobą zdumione spojrzenia, a potem skierowali wzrok na Ulę. Nie tylko zresztą oni. Wojciechowska także przypatrywała się jej uważnie.

– Babka ci o nim mówiła? – spytała i tym razem w jej głosie nie było ani krzty uszczypliwości. Tylko ciekawość i chyba... wzruszenie.

– Nie – zaprzeczyła Ula, choć w pierwszej chwili niewiele brakowało, a uległaby tej samej pokusie co Andrzej, aby odpowiedzieć niezgodnie z prawdą, czyli twierdząco. Szóstym zmysłem czuła, że tego właśnie oczekiwała od niej ta dziwna kobieta. Zwalczyła w sobie jednak tę pokusę, choć poruszyło ją rozczarowanie, jakie odmalowało się na twarzy pani Hanny. Toteż zaraz dodała: – O panu Damianie wspomniała mi moja ciotka Irena, córka babki. Ale jestem pewna, że babcia prędzej czy później także by to zrobiła, skoro opowiedziała mi o drugiej żonie swojego ojca i o przyrodnim bracie. Nawet pokazała mi ich zdjęcia.

Rozczarowanie na twarzy Hanny ustąpiło teraz miejsca ciepłemu uśmiechowi. Choć trudno było ustalić, na ile szczerzy był to uśmiech.

– Byłoby mi miło, gdybyście zechcieli mnie odwiedzić – rzekła.

– Nam także byłoby miło, ale nie mamy na to czasu – odparł pośpiesznie Jacek. – Jutro wracamy do Warszawy, a chcielibyśmy pokazać naszej kuzynce jak najwięcej ciekawych miejsc. Zaplanowaliśmy na dzisiaj kościół Na Skalce.

To ostatnie nie było prawdą. Wymieniony tak skwapliwie kościół oglądali wczoraj. Jacek był jednak zdeterminowany, by jak najszybciej zakończyć tę dziwną rozmowę. „Miałem takie cholerne przeczucie, żeby lepiej dać temu spokój” – tłumaczył później. Tyle że Ula miała przeczucie zupełnie innego rodzaju i gdy tylko Wojciechowska zaczęła nalegać, by w takim razie odwiedzili ją zaraz, natychmiast – mieszkała bowiem w pobliżu – dziewczyna zgodziła się przyjąć zaproszenie.

– Wstąpimy tylko na chwilę, na przysłowiową herbatę – zwróciła się do chłopców.

Potem, już po zakończeniu wizyty, tłumaczyła im, że jej zdaniem nie wypadało odmówić.

– Przyznaj się, że byłaś ciekawa, co ta kobieta ma do powiedzenia – mruknął niezadowolony Jacek. – I co, teraz jesteś zadowolona? Naprawdę wierzysz w te wszystkie dyrdymały? Pamiętaj, że nasza babka nigdy nie ufała tej rodzinie.

– Ja odniosłam wrażenie, że w pewnym momencie jej nastawienie do Reńskich się zmieniło – odparła Ula. – Pogodziła się przecież ze swoją macochą.

– Owszem, ale nie utrzymywały ze sobą kontaktów. – Jacek był nieprzejednany. – Od pogrzebu jej ojca, czy też od załatwienia spraw związanych z jego testamentem, już się nie spotkały. I my także powinniśmy się tego trzymać.

Ula, rozumiejąc obiekcje ciotecznego brata i niezdecydowanie Andrzeja, była jednak zadowolona, że wszyscy troje odwiedzili najmłodszą siostrę Rozalii. Mieszkała rzeczywiście niedaleko cmentarza, w małej kamienicy, a jej mieszkanie było także nieduże.

– Cieszę się, że przyszliście – oświadczyła, stawiając na stole, pomimo protestów młodzieży, talerz z kanapkami i drugi talerz z sałatką z pomidorów. – Jestem trochę samotna, na co dzień rzadko ktoś mnie odwiedza.

– Jak to? – zdziwiła się Ula. Samotne były ona i jej matka, tam, w Londynie. – Przecież ma pani dużą rodzinę. Sama pani powiedziała, że większość rodzeństwa jeszcze żyje. A każde z nich ma zapewne swoje dzieci i wnuki.

Z biciem serca czekała na odpowiedź. Nawet nie przypuszczała, że tak szybko poruszą temat, który szczególnie ją interesował. O męża nie wypadało pytać. Wzmianka pani domu o samotności mogła sugerować, że była wdową. I rzeczywiście, Hanna Wojciechowska natychmiast potwierdziła te przypuszczenia.

– Mój mąż zginął w wypadku pod koniec wojny – oświadczyła, wskazując stojące na niskiej komodzie zdjęcie.

– Był żołnierzem? A może służył w ruchu oporu? – zainteresował się Andrzej. Do tej pory bowiem dość sceptycznie podchodził do pomysłu odwiedzin, choć nie z taką niechęcią jak Jacek.

– Ani jedno, ani drugie. – Pani Hanna uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Był spokojnym człowiekiem, nie żadnym wielkim bohaterem. A nawet uważał, że jako naród dużo lepiej wyszlibyśmy na tej wojnie i okupacji, gdybyśmy wzorem innych europejskich nacji zachowywali się wobec Niemców... z większym umiarem. A kiedy z kolei zbliżał się do naszego kraju front sowiecki czy – jak kto woli – wschodni, należało w ogóle zaprzestać wszelkich form walki, nie narażać cywilów, tylko obserwować, jak Niemcy i Rosjanie nawzajem się wyrzynają. To było, jak mawiał mój mąż, i zapewniam was, że nie tylko on, najbardziej dla nas korzystne.

Na moment zapanowała niezręczna cisza. Przerwał ją Jacek, nie starając się nawet za bardzo wyciszyć oburzenia w swoim głosie:

– Pani wybacz, ale takie opinie... są dzisiaj... w świetle pamięci o milionach ofiar... Takie słowa są źle widziane. I to w różnych środowiskach.

– O tak, wiem – odparła pełnym ironii tonem. – Wtedy też tak uważano. Głosy rozsądku oburzały

zarówno tych związanych z AK, jak i komunistów, choć jedni i drudzy oceniali to ze swojego punktu widzenia. Mówisz o milionach ofiar. Może nie byłoby ich aż tyle, gdyby Polskie Państwo Podziemne wykazało w niektórych kwestiach... więcej rozsądku. Jak chociażby Francuzi, Holendrzy, Czesi... i tylu innych. Może nie byłoby tylu tablic na rogach ulic upamiętniających rozstrzelanych przez Niemców niewinnych ludzi. Przypomnę, że za jednego zabitego w Generalnej Guberni Niemca oni w odwecie rozstrzelali niekiedy nawet stu Polaków. O tragedii powstania w Warszawie już nie wspominając.

– Proszę pani – Jacek demonstracyjnie podniósł się z krzesła – ja nie mam zamiaru słuchać podobnych opinii. Byliśmy w innej sytuacji niż wymienieni przez panią Francuzi, Holendrzy i pozostali. Niemcy od samego początku traktowali ludność Europy Wschodniej zdecydowanie gorzej, bestialsko, niczym podludzi. Sami to zresztą mówili. I pani powinna to pamiętać. A potem, gdy zbliżał się sowiecki front, jedynym sposobem zaakcentowania naszej woli istnienia były walka i opór.

– Tak, i wiele nam z tego przyszło... – Pani Hanna pokiwała smutno głową, wcale niezrażona jego pełnym oburzenia gestem. Niewykluczone zresztą, że była przyzwyczajona do podobnej reakcji na swoje poglądy. – Nasz los został już postanowiony w Teheranie, i to bez żadnego naszego udziału.

– Siadaj, nie wkurzaj się. – Andrzej pociągnął brata za rękaw z powrotem na krzesło. – Tylko rozmawiamy. Zresztą jaka to różnica, co teraz powiemy. Tyle naszego, że sobie pogadamy. I tak na nic nie mamy wpływu.

Ula, nie do końca rozumiejąc, o co im wszystkim chodzi, myślała jedynie z niezadowoleniem, że odeszli od zagadnienia, które najbardziej ją interesowało. Od losów rodziny Reńskich. A konkretnie jednego człowieka, którego nazwisko padło na cmentarzu Rakowickim – Damiana Reńskiego. Jaką rolę odegrał w życiu Adrianny Rawickiej, a wcześniej Jurczyńskiej? Czy mógł odegrać jakąś rolę w życiu jej córek? Dlaczego w pewnym momencie Eliza stała się osobą zgorzkniałą, ze wszystkiego niezadowoloną, skoro wedle wspomnień ciotki Ireny i wuja Romana wcześniej była wesoła, pełna życia, działająca niekiedy wszystkim wokół na nerwy, lecz przy tym pełna takiego uroku, że nie sposób było się na nią długo gniewać. Ula nie pamiętała matki w tak radosnej odsłonie. Odkąd sięgała pamięcią, Eliza była stale niezadowolona, skora do nieprzyjemnej wymiany zdań zarówno z mężem, jak i wszystkimi dookoła. To, co Ulę przed kilkoma laty szczególnie zabolalo i na wspomnienie czego na nowo czuła tamten ból, była rozmowa dwóch sąsiadek, jaką podsłuchiwała na klatce schodowej, niedługo po odejściu ojca. Mówiły o jej rodzicach.

– Nie dziwię się, że ją zostawił – twierdziła pani Betsy Eliot, Ula poznała ją po głosie. – Święty by tego nie wytrzymał. Czepiała się go z byle powodu, przez ściany niejedno słyszałam. I taka wiecznie skrzywiona. Na co takiemu przystojnemu, sympatycznemu mężczyźnie podobna kobieta?!

Oczywiście Ula domyślała się, że jej matka wciąż żywiła pretensje o coś – tylko o co? – do Dezyderego Rawickiego. Nie chciała przyjechać do Polski, dopóki on żył. Niemniej bardzo chłodno traktowała również Adriannę. Nie sposób było tego nie zauważyć. I jeszcze ta tajemnicza mogiła na Powązkach, którą matka odwiedziła przynajmniej dwa razy – przynajmniej o tych dwóch razach była mowa – lecz niewykluczone, że podczas swojej wizyty w Warszawie bywała tam częściej. Odkąd Ula usłyszała wzmiankę o Damianie Reńskim, czuła nieokreślony niepokój. Zauważyła przy tym, że i ciotka Irena miała taką minę, jakby żałowała, że w ogóle wymieniła nazwisko tamtego człowieka. Tak jakby pojawił się w jej wspomnieniach niepotrzebnie, niechcący. Uli nawet przyszło do głowy, że to może jego miejsce wiecznego spoczynku było celem wypraw matki na cmentarz, jednak właśnie dzisiaj z ust jego siostry dowiedziała się, że żył. Gdzie jednak przebywał?

Ula nie umiałaby nikomu uzasadnić swojego coraz większego zainteresowania losami tego człowieka. Zdawała sobie sprawę, że w oczach postronnych mogłoby to wyglądać podejrzanie. Co z tego, skoro na samo wspomnienie o nim czuła dziwny niepokój i napięcie, wynikające z jakiegoś absurdalnego zapewne, ale uporczywie powracającego przekonania, że może się on stać kluczem do zrozumienia, dlaczego jej matka stała się w pewnym momencie życia osobą tak zgorzkniałą i zrezygnowaną. I oto okazało się, że była tak blisko poznania prawdy o losach Damiana Reńskiego. Z ust jego własnej siostry. Hanna Wojciechowska zaczęła o nim mówić jeszcze przy rodzinnym grobie. Zaprosiła całą ich trójkę do domu, a Ula przyjęła to zaproszenie głównie ze względu na perspektywę

dowiedzenia się czegokolwiek więcej na temat owego człowieka. A tymczasem siedzieli tu i rozprawiali o polskich dylematach dotyczących najnowszej historii. I o czym tu dyskutować, skoro, jak Andrzej sam stwierdził, niczego to już nie zmieni? Na co komu takie przelewanie z pustego w próżne?

Ula oczywiście w głębi duszy przyznawała ze wstydem, że jako ewentualna przyszła studentka historii nie powinna tak myśleć, ale nic nie mogła poradzić na to, że chciała rozmawiać na inny temat. A miała ku temu okazję jedną na milion. I co? Zaraz stąd wyjdą, bo Jacek, w gorącej wodzie kąpany, jest tak oburzony, że gotów potraktować tę kobietę jak zdrajczynię i opuścić jej mieszkanie, trzaskając przy tym drzwiami. A ona, Ula, i Andrzej nie będą mieli innego wyjścia, jak podążyć jego śladem.

Niedoczekanie! – podjęła nagle decyzję. – Nie odpuszczę. Za kilka dni wyjeżdżam i muszę się dowiedzieć. Muszę i koniec. Zapytam wprost. Z głupia frant. Postawię wszystko na jedną kartę.

Nie zdążyła jednak tego zrobić, bo pierwszy odezwał się Andrzej:

– A zatem pani mąż zginął w wypadku niezwiązanym z wojną?

Ula niemal zgrzytnęła zębami. Znowu padło pytanie, które nie miało nic wspólnego z tym, co ona chciała wiedzieć. Nie miała jednak innego wyjścia, jak grzecznie poczekać na odpowiedź. Nie wypadało wyskakiwać teraz z pytaniem o Damiana.

– I tak, i nie – odparła ze smutkiem Wojciechowska. – To było w pierwszych dniach po tym, jak Niemcy wycofali się przed nacierającymi Rosjanami. Czy to nie ironia okrutnego losu? Mój mąż przeżył niemiecką okupację, a zginął wkrótce potem pod kołami radzieckiej ciężarówki. Kierowca nie był trzeźwy, to fakt. Ale mój mąż także nie uważał, był niekiedy taki rozkojarzony. Po prostu wszedł na jezdnię, nie zauważywszy samochodu wyjeżdżającego zza zakrętu. – Westchnęła, po czym podniosła się, by dolać herbaty do filiżanek. Ula, która zdążyła już podzielić marzenie Jacka o wyjściu z tego domu, nadstawiła jednak uszu. I wtedy pani Hanna zaczęła nawiązywać do spraw, które tak bardzo intrygowały dziewczynę: – Nie mieliśmy dzieci, tak jakoś wyszło. Zostali mi dwaj bracia, Janek i Tomek, na szczęście żonaci i dzieciaci, w przeciwnym razie zostałabym sama jak palec.

– A pani trzeci brat? Ten najstarszy? – spytała z zapartym tchem Ula, świadomie nie używając jego imienia, by nie wzbudzić podejrzeń gospodyni. Wojciechowska miała przecież prawo zainteresować się, czemu wnuczka Adrianny Rawickiej już po raz drugi pyta o Damiana. I rzeczywiście, tym razem przyjrzała się Uli uważnie, choć powstrzymała się od komentarza. Udzieliła jednak odpowiedzi.

– Damian opuścił kraj jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Był lekarzem wojskowym i razem z oddziałem przedostał się najpierw do Rumunii, a potem do Francji. Podczas kampanii francuskiej pracował w szpitalu polowym i potem, gdy Anglicy ewakuowali z Francji swoich żołnierzy i część Polaków, razem z nimi przedostał się do Wielkiej Brytanii. Na krótko, bo w następnej kolejności znalazł się w Afryce. Po wojnie nie zdecydował się wracać do kraju. Dzięki Bogu zresztą. Nasza władza ludowa dość szybko przestała być łaskawa dla tych, co zdecydowali się tu wrócić.

– Moi rodzice także nie wrócili – odezwała się Ula, jakby na poparcie dopiero co usłyszanych słów.

Ponownie poczuła na sobie przenikliwe spojrzenie tamtej. I ponownie nie doczekała się żadnego komentarza.

– Mój brat od lat mieszka w Kanadzie. – Usłyszała i serce ponownie zabiło jej mocniej.

W Kanadzie! Tam gdzie jej ojciec!

Zaraz jednak wrócił jej rozsądek. Przecież Kanada to drugi co do wielkości kraj świata. Możliwość, by Ryszard Borzęcki natknął się gdzieś tam na Damiana Reńskiego, była równa zero. A poza tym... jaki to mogło mieć sens? Czy nie wystarczy fakt, że najwyraźniej jednak nie ten człowiek był powodem, dla którego Eliza odwiedziła na Powązkach uczyniła głównym punktem wizyty w Polsce!? Po blisko dwudziestu latach nieobecności w rodzinnym kraju?

Wystarczy w zupełności, zdecydowała Ula. Przynajmniej taki plus z wizyty w domu tej kobiety, że dowiedziałam się, że jej najstarszy brat żyje. I wbrew moim wcześniejszym przypuszczeniom nie odegrał żadnej roli w życiu mamy.

Popatrzyła przy tym ze skrucą na Jacka, jakby go przepraszała, że przez swój upór, aby poznać bliżej Wojciechowską i z nią porozmawiać, zabrała czas, jaki chciał poświęcić spacerom po Krakowie.

A wtedy pani Hanna powiedziała coś, co ponownie ją niemal zelektryzowało:

– I pomyśleć, że dawno, dawno temu przyszło mi do głowy, że znajomość Damiana i waszej babki przerodzi się w coś... poważniejszego! Nie tylko ja zresztą snułam takie przypuszczenia. Mnie i moich opinii nie traktowano wtedy poważnie. Ostatecznie byłam jeszcze smarkulą. Ale wielu innych podzielało ten pogląd. W tym moi bracia, Janek i Tomek, cała jurczewicka służba, a przede wszystkim Rozalia. I niewykluczone, że także jej mąż brał to pod uwagę, choć, jak się domyślam, nie podzielał entuzjazmu mojej siostry. Teraz nawet potrafię zrozumieć jego punkt widzenia. Ostatecznie młody lekarz bez grosza przy duszy nie był z jego punktu widzenia wymarzoną kandydatką na zięcia. Jednak muszę przyznać, że nigdy nie zauważyłam, by w jakikolwiek sposób pan Jurczyński dawał wyraz swojemu niezadowoleniu. Za to Rozalia nie kryła radości... a potem rozczarowania, gdy okazało się, że z jej marzeń dotyczących przyszłości brata nic nie wyszło.

– Pani twierdzi, że... – zająknęła się Ula i rzuciła okiem na kuzynów. Obaj jednak milczeli, choć po ich minach poznała, że także byli zaskoczeni. – Sugeruje pani, że nasza babcia i pan Damian...

I zaraz zrozumiała, że właściwie wcale nie jest zdumiona. Tak jakby to, co usłyszała, było najbardziej oczywistą sprawą na świecie. A w każdym razie zupełnie naturalną. Ot kolejna, sympatyczna, romantyczna historia.

– Tak to wyglądało, naprawdę – mówiła dalej Wojciechowska, a jej wzrok błędził gdzieś za oknem, jakby odnajdował tam dawno minione dni i przypominał dawno zapomniane marzenia. – Przez całe dwa tygodnie naszego pobytu w Jurczewicach ona i mój brat byli niemal nierozłączni. Spacerowali, mieli sobie dużo do powiedzenia. Właściwie nie potrzebowali innego towarzystwa. Służba szeptała po kątach, a wszyscy oczekiwali albo skandalu, albo informacji o zaręczynach. Jednak – wzruszyła ramionami – nie doszło ani do jednego, ani do drugiego. Przypuszczam, że mój drogi brat potrafił być niekiedy irytujący. Chodził swoimi ścieżkami i wygłaszał opinie, które początkowo wprawdzie mogły zaciekawiać niejedną dziewczynę, ale koniec końców każdą w końcu skutecznie płoszyły. Te jego poglądy na małżeństwo i rodzinę... Moje starsze siostry dziesiątki razy próbowały mu włożyć do głowy, by nieco zmodyfikował swoje poglądy, bo zostanie w końcu sam jak palec na tym świecie. Ale tłumacz tu upartemu osłu! A może nie potrafił wyznać jej tego, co do niej czuł? To nie każdemu przychodzi łatwo. Tak czy owak, pisali jeszcze do siebie przez pewien czas po tamtych wakacjach, ale Adrianna kilka miesięcy później wyszła za swojego kuzyna. Pewnie w swoich staraniach był bardziej przekonujący od mojego brata. No i pochodził z tej samej sfery, a to w tamtych czasach było ważne. Nadal zresztą jest, choć słowa „sfera” już się nie używa. Teraz się raczej mówi o pokrewieństwie kulturowym. Rozalia była wtedy bardzo rozczarowana, wręcz przybita. Damian nawet jej powiedział, że pod pewnymi względami jest gorsza od naszej matki. A ja dokuczałam im obojgu. „Nie wyszło wam z tą księżniczką” – kpiłam. Jakoś nie mogłam przekonać się do panny Ady i wcale nie żałowałam, że to nie poszło dalej. A wasza babka, z tego, co sobie przypominam, traktowała mnie i moje rodzeństwo z góry. Jak ludzi z niższej kasty, do których można łaskawie się uśmiechnąć i od wielkiego dzwonu zagadać, ale z pewnością nie wchodzić w bliższą komitywę. Tylko Damiana traktowała inaczej, ale to nie znaczy, że byłaby dla niego dobrą żoną. On zresztą także przyjął bardzo spokojnie wiadomość o jej zaręczynach, a potem o ślubie. „Skoro tak postanowiła, to znaczy, że miała ku temu swoje ważne powody” – tak to tylko skwitował. Potem, o ile wiem, spotkali się jeszcze na pogrzebie Krzysia i nawet przez chwilę rozmawiali. Sama widziałam. Ot i cała historia. – Pani Hanna uśmiechnęła się i wskazała na talerze. – Czemu nie jecie? Zaraz przyniosę coś słodkiego.

– Nie ma takiej potrzeby – zaoponował Andrzej. – My już naprawdę musimy iść...

– Pan Damian nigdy się nie ożenił? – spytała Ula.

Wolała nie wyprowadzać tej kobiety z przekonania, że pomiędzy wakacjami w Jurczewicach a pogrzebem młodego Jurczyńskiego Adrianna i Damian nie mieli okazji się zobaczyć. Wojciechowska nie wiedziała, że jej brat był obecny przy Adriannie, gdy rodziła swoją starszą córkę, i niech tak zostanie.

– Nie – odparła krótko na jej pytanie Wojciechowska. Przestała się jednak uśmiechać, twarz jej się ściągnęła, a ona sama jakby się skurczyła.

– Może pragnął zostać sam – wtrąciła łagodnie Ula. – Niektórym ludziom samotność nie



przeszkadza. Wolą ją od gromady ludzi w domu, siedzących sobie wzajemnie na głowie.

– On tak właśnie mówił. Niemal słowo w słowo. – Znowu to uważne spojrzenie. – Chyba byście się dobrze nawzajem zrozumieli.

– Na nas już czas – oznajmił Jacek, podnosząc się po raz drugi z miejsca. – Dziękujemy pani za gościnę, ja przepraszam za moje wcześniejsze słowa...

– Ależ nie musisz mnie za nic przeproszać – zapewniła go Wojciechowska, po czym widząc, że w ślad za bratem podniósł się także Andrzej, z westchnieniem żalu zrobiła to samo. – Szkoda, że nie możecie dłużej zostać. Oczywiście chciałabym was jeszcze kiedyś zobaczyć, ale nie mogę wymuszać na was takiej deklaracji. I naprawdę doceniam fakt, że wnuki Adrianny przyjechały na grób Rozalii i Krzysia.

– Do zobaczenia – rzekła Ula, nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby od siebie dodać. Wystarczyło, że podniosła się jako ostatnia.

Tuż przy drzwiach pani Hania rzuciła jeszcze od niechcienia, że Damian tak naprawdę nie był zupełnie sam. Przynajmniej nie zawsze.

– Oczywiście. Miał przecież jeszcze wtedy rodziców, wciąż ma rodzeństwo – zgodziła się bez większego przekonania Ula.

Rodzice i rodzeństwo nie mogą jednak wypełnić człowiekowi tych przestrzeni serca, które są przeznaczone dla kogoś, kto nie jest ani matką, ani ojcem czy też bratem lub siostrą.

– Damian miał syna – oświadczyła niespodziewanie Wojciechowska, otwierając już drzwi i nie patrząc w oczy swoim gościom. – Dość późno dowiedział się o jego istnieniu i w rezultacie nigdy nie było między nimi silnej więzi. Nasza matka desperowała z tego powodu, bo dziecko było nieślubne. Damian jednak łożył na utrzymanie i wykształcenie chłopca. Potem zarówno ja, jak i pozostali krewni czasem myśleliśmy, że śmierć syna miała także jakiś wpływ na jego decyzję, aby wraz z resztą oddziału przepłynąć do Rumunii. Może jednak ten chłopak znaczył dla niego więcej, niż nam się wcześniej wydawało, i po jego śmierci brat nie widział już dla siebie miejsca w kraju? Tym bardziej że na ogół starał się zachować pewien dystans wobec reszty rodziny. On jeden. Chyba ta nasza familiarność, jak ją kiedyś nazwał, ta wzajemna troska o siebie i w konsekwencji niejednokrotne siedzenie sobie nawzajem na karku czasem go irytowały.

Ula patrzyła na nią jak zaklęta, nie reagując ani na otwarte drzwi na korytarz, ani na Jacka, który niecierpliwym gestem dotknął jej ramienia, dając do zrozumienia, że najwyższa pora już wyjść.

– Więc to dziecko umarło? – spytała cicho i natychmiast poczuła na sobie uważne spojrzenia obu ciotecznych braci. Nie zwracała jednak na nich uwagi. Nie spuszczała wzroku z Wojciechowskiej.

– Nie było już małym dzieckiem – odparła lekko drżącym głosem Wojciechowska. – Syn Damiana miał dwadzieścia dwa lata. Zginął w pierwszych dniach września trzydziestego dziewiątego roku.

– Chodź do stołu! Ile razy mam cię wołać?!

Głos matki wyrwał Ulę z zamyślenia, w jakie często popadała od powrotu z Warszawy. Wakacje się skończyły, rozpoczął się rok szkolny, a to oznaczało intensywne przygotowania do końcowych egzaminów, od których zależało przyjęcie na dobrą uczelnię. Była tego świadoma, zdawała sobie sprawę, że powinna skupić uwagę na teraźniejszości i intensywnej nauce, ale nic nie mogła poradzić na to, że głowę miała pełną wspomnień z pobytu w Polsce, wszystkiego, co tam zobaczyła i usłyszała. Bliskiej rodziny, którą wreszcie poznała i z którą od razu poczuła silną więź. Eliza widziała rozkojarzenie córki i bynajmniej nie unikała pełnych niezadowolenia uwag na ten temat.

– Wiedziałam, że tak będzie, ale ty oczywiście nie chciałaś mnie słuchać, gdy sprzeciwiałam się przedłużeniu twojego pobytu... tam.

– Jak zwykle przesadzasz, mamo.

– Oczywiście. Jak zwykle przesadzam. Tylko sama widzisz, co się teraz z tobą dzieje. Gdybyś wróciła razem ze mną, miałabyś czas, aby nabrać dystansu do swoich przeżyć z podróży. Nigdy nie pochwalałam powrotu z jakiegokolwiek wakacyjnego wyjazdu tuż przed rozpoczęciem szkoły. Czy ty w ogóle jesteś w stanie skupić się na lekcjach? Chodzisz z wiecznie nieprzytomnym wyrazem twarzy, trzeba dwa razy do ciebie wołać, abys usłyszała, i kilka razy powtarzać, byś zrozumiała, co się do ciebie mówi.

Siedząc nad porcją ryby z frytkami, Ula przyjrzała się matce z uwagą. Eliza, odwzajemniając spojrzenie, nie dostrzegła jednak we wzroku córki rozkojarzenia, które przed chwilą jej zarzucała.

– Dlaczego jesteś taka smutna, mamo?

Borzęcka, słysząc pytanie córki, na moment znieruchomiała. Opanowała jednak zaskoczenie i opuściła dłoń z widelcem na talerz.

– A co to za nowa bzdura? – mruknęła, nakładając sobie porcję sałatki.

Poczerwieniała jednak na twarzy i była wyraźnie wzburzona.

Dam jej spokój, pomyślała skruszona Ula. Nie będę jej męczyć takimi pytaniami i uwagami. To ją tylko niepotrzebnie zdenerwuje i awantura gotowa.

Jak na zawołanie przypomniały jej się podobne sceny, gdy to ojciec próbował przeprowadzić z matką poważną rozmowę. „Powiedz, o co ci chodzi, czego ode mnie chcesz!” – krzyczał. „Nie jestem przecież jasnowidzem ani Duchem Świętym. Co robię źle? Co mówię nie tak?”

„Daj mi wreszcie spokój” – wrzasnęła pewnego razu Eliza. „Wiecznie gadasz, wiecznie pytasz. Muszę mieć trochę swobody, duszę się, nie rozumiesz? Pojmij wreszcie, że nie wszystko musi się stać przedmiotem debaty i analizy. Że pewne sprawy człowiek chce zachować dla siebie”.

Ojciec miał na to jedną odpowiedź, a mianowicie, że żyjący ze sobą we wspólnym związku ludzie powinni mówić sobie o wszystkim. A jeśli pojawia się jakikolwiek problem – natychmiast go razem wyjaśniać. Nic nie zabija związku skuteczniej niż milczenie, sekrety, niewypowiedziane na głos pretensje i skargi.

„Na litość boską, człowieku!” – wołała wtedy Eliza. „Zamknij się wreszcie! Czy naprawdę mogę się cieszyć swobodą i spokojem jedynie wtedy, gdy nie ma cię w domu?”

No i wykrakała, pomyślała Ula, ojciec w końcu nie wrócił do domu. A matka zamiast cieszyć się z tego powodu swobodą i spokojem – jak wcześniej twierdziła – gorzkniała coraz bardziej. A zatem samotność w niczym nie poprawiła jej nastroju. Wręcz przeciwnie.

A przecież – Ula ponownie przywołała swoją wcześniejszą refleksję – we wspomnieniach ciotki Ireny i wuja Romana Eliza jako młoda dziewczyna była zupełnie inna. Jakby to nie była ta sama osoba.

I pewnie ta myśl sprawiła, że wreszcie, po kilkakrotnie przerywanych próbach, zdecydowała się powiedzieć wprost to, co od tygodni, a zwłaszcza od wizyty w domu Hanny Wojciechowskiej, nie dawało jej spokoju:

– Czy to mogła syna Damiana Reńskiego była celem twoich częstych wypraw na Powązki?

Sztucce wypadły z rąk Borzęckiej i z głośnym brzękiem uderzyły o talerz.

– Kto ci to powiedział? – spytała ostro.

Przestraszona Ula miała wrażenie, jakby pałający gniewem wzrok matki prześwietlał ją na wylot.

– Tak mi przyszło do głowy – wyjąkała, zdając sobie sprawę, jak beznadziejnie głupio zabrzmiało to wyjaśnienie. Mówiła jednak szczerze, tak przecież było.

– Nie kręć! Masz mnie za idiotkę?! Kto ci o tym powiedział?! Irena?! Roman?! A może jednak babka?!

– Nie... – wyszeptała dziewczyna, czując taką pustkę w głowie, że nie potrafiła w tym momencie wydusić żadnego więcej słowa. – Nie... naprawdę...

– W takim razie masz zdolności paranormalne. – Eliza nie tuiła teraz złośliwej ironii, choć nadal była wściekła. – Właściwie nie powinno mnie to dziwić. W naszej rodzinie nie brakowało pomyleńców.

– Przestań tak mówić! – Ostatnie słowa matki podziały na Ulę mobilizująco. Po raz pierwszy w życiu podniosła na nią głos, choć przecież już wcześniej słyszała z jej ust równie nieprzyjemne uwagi. Tym razem jednak cierpliwość dziewczyny się wyczerpała.

Zdumiona Eliza niemal wybałuszyła na nią oczy.

Nie mogąc jej pozwolić dojść do głosu, postanowiła Ula. Wiedziała, że będzie to oznaczało koniec jakiegokolwiek wymiany zdań, nawet nie mówiąc o dyskusji.

– Ciotka i babka nie powiedziały mi o tym – rzekła już spokojniej. – Ale sama wiesz, jak to jest – przypadki chodzą po ludziach. Widocznie tak miało być, że się dowiedziałam. Byłam w Krakowie z Andrzejem i Jackiem. Poszliśmy na cmentarz Rakowicki i... jakkolwiek niewiarygodnie to zabrzmiało, natknęliśmy się tam na najmłodszą siostrę Rozalii Reńskiej. Zaprosiła nas do domu. Nie uwierzysz mi, ale tak właśnie było. Sama bym tego nie wymyśliła. Hanna Wojciechowska opowiedziała nam to i owo. Jej nie zobowiązałaś do milczenia. A nie wszyscy unikają normalnej rozmowy tak jak ty.

– W ogóle nie powinno cię to interesować – odburknęła Eliza. Była jednak wyraźnie spokojniejsza niż jeszcze przed chwilą.

– Trudno, abym się nie zainteresowała twoimi częstymi wyprawami na Powązki. Przecież poza nimi właściwie nic więcej nie miało tam dla ciebie znaczenia. Choć nie byłaś w swoim kraju osiemnaście lat.

Eliza nie odpowiedziała. Dokończyła kolację, pomimo że trudno było nie zauważyć, że zrobiła to bez apetytu. Kiedy wstała, aby sprzątnąć talerze ze stołu, Ula nie wytrzymała.

– Nadal nie chcesz mi nic o tym powiedzieć?

– O czym? Przecież już wypytałaś o wszystko siostrę Rozalii. Tę, na którą przypadkiem natknęliście się na cmentarzu Rakowickim. Na ten cmentarz też zapewne trafiliście przypadkiem, pierwotnie szukając zupełnie innej atrakcji.

– Znowu to robisz – stwierdziła Ula z żalem.

– Niby co? – Eliza, trzymając w rękach zabrudzone naczynia, wyprostowała się i popatrzyła na córkę.

– Znowu zaczynasz być złośliwa. Jak tylko próbuję się czegoś dowiedzieć.

– Nie są to sprawy, o których miałabym ochotę rozmawiać. Już dawno powinnaś była to odgadnąć i dać mi spokój. Ja nie nakłaniam ludzi do zwierzeń, gdy widzę, że nie mają na nie ochoty.

– Wiem. Zauważyłam to, ale... – Ula świadomie zawiesiła głos, mając nadzieję, że w ten sposób może sprowokuje matkę do jakiegokolwiek odpowiedzi, a nawet pytania. Kiedy jednak spostrzegła, że Eliza ruszyła w kierunku kuchni, tego azylu i twierdzy zarazem, w której kryła się od lat przed niewygodnymi tematami, dodała szybko, z bynajmniej nieudawanym smutkiem w głosie: – Ale chcę wreszcie zrozumieć, dlaczego jest w tobie tyle gorczy. O co masz taki żal do swoich rodziców, zwłaszcza do dziadka. I co ma z tym wspólnego syn Damiana Reńskiego, którego grób codziennie albo prawie codziennie odwiedzałaś. Tak jakbyś tylko po to pojechała do Polski. Tylko dla niego.

I wtedy zrozumiała. Tak jakby własne słowa otworzyły do tej pory zbyt mocno zatrzęsniętą klapkę w jej mózgu. Mogła już tylko obserwować, jak Eliza odwróciła się na pięcie i pomalutku, ostrożnie odłożyła talerze i sztucce na stół.

– Sama sobie odpowiedziałaś na to pytanie – rzekła spokojnie matka. – Gdybyś pomyślała wcześniej, oszczędziłaś mi tego całego gadania.

– Przepraszam – odparła cicho Ula – ale to dlatego, że zrobiłaś z tego taką tajemnicę. Dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś... Co w tym niezwykłego, że zanim wyszłaś za tatę, podobał ci się kto inny?

– Podobał mi się? – parsknęła z ironią Eliza, ale zaraz spoważniała. – Doczekać się nie mogłam, kiedy mi się oświadczy. Byłby pierwszym, któremu bym nie odmówiła. A co do twojego ojca, to poznałam go wcześniej. Wcześniej niż Olgierda.

Ula, słysząc to, stropiła się, ale nie śmiała już o nic pytać. Jednak Eliza nie odeszła.

– Dobrze, powiem ci – westchnęła. – Inaczej gotowa jesteś snuć nie wiadomo jakie domysły. A w tej historii nie ma w gruncie rzeczy nic niezwykłego. Jeśli nastawiałaś się na wstrząsające tajemnice, to cię rozczaruję. Zakochałam się w chłopaku, który nie spodobał się moim rodzicom. Głównie dlatego, że wymarzoną kandydatem na zięcia był w ich przekonaniu Ryszard, czyli twój ojciec. Bo to on pochodził z tej samej klasy społecznej co moja rodzina, był dobrze urodzony, dobrze wychowany, wykształcony. Moi rodzice zawsze cieszyli się z jego odwiedzin, zdecydowanie bardziej niż ja. Dlatego gdy przedstawiłam im Olgierda, nie byli, delikatnie mówiąc, zachwyceni. Liczyłam się z tym, ale nie przypuszczałam, że tak się zawezmą. W końcu ojciec dopiął swego. Sprawił, że Olgierd zerwał ze mną znajomość. I nawet niczego mi nie wyjaśnił, nie chciał rozmawiać. Powiedział tylko, że tak będzie lepiej, także dla mnie. Błagałam go, aby zmienił zdanie, aby chociaż zdradził mi coś więcej. Przecież nawet do końca nie wiem, jakich argumentów użył mój ojciec, aby przekonać Olgierda do zerwania ze mną. A Olgierd pewnego dnia... po prostu zniknął. Wyjechał za granicę i nie powiedział mi dokąd. Jego matka już od dawna nie żyła, wychowywali go wuj z żoną. Prawie ich nie znałam, ale wiedziałam, gdzie mieszkali. Pytałam, czy coś wiedzą, czy mają jego adres, gdzie mogłabym go odnaleźć, ale i oni mi nie pomogli. Powiedzieli mi to samo co każdy, do kogo się zwróciłam – abym dała spokój. Dla jego dobra, i swojego także. Jak widzisz, twój dziadek miał w tamtych czasach wielkie możliwości. I dużo prominentnych znajomych.

– Próboweś go przekonać? Mam na myśli dziadka Dezyderego.

– Próbowalam, ale to miało się z celem. – W oczach matki Ula po raz pierwszy zobaczyła nienawiść. Nie ironię, złość, wściekłość, ale zimną, latami hodowaną nienawiść. – A moja matka, ta podziwiana przez ciebie babcia Adrianna, oczywiście podzielała jego zdanie. Z pewnością nie mogłam liczyć na jej wsparcie. Jednak mnie nie zaskoczyła, bo zawsze taka była. Zaskoczył mnie ojciec. I kompletnie rozczarował, bo całe lata udawał kogoś innego niż tego, kim się w rzeczywistości okazał. Nie chciałam go już znać. Ale nie dziw się też, że także twojej babce nie okazywałam podczas odwiedzin w Polsce jakoś szczególnie wylewnie uczuć.

– Nie próbowałaś skontaktować się z... – zająknęła się Ula. – Z jego ojcem? Z panem Damianem Reńskim?

– Nie! A niby w jakim celu? Przecież on na ogół trzymał się z daleka od spraw własnego syna.

– I co było potem?

– Potem? – Eliza wzruszyła ramionami i ponownie zajęła się porządkowaniem zastawy stołowej.

– Potem zrobiłam tak, jak mi radzili wszyscy dookoła. Dałam sobie spokój i wyszłam za twojego ojca. Zaraz potem wyjechaliśmy do Londynu, bo został tu skierowany do pracy w konsulacie jako radca prawny.

– Myślałaś, że... spotkasz tu tamtego? – spytała konspiracyjnym szeptem Ula. Tak jakby obawiała się, że ktoś mógłby ją usłyszeć, choć przecież było to absurdalne. Przecież od kilku lat mieszkały tu tylko one.

Eliza roześmiała się, ale śmiech ten zabrzmiał sztucznie, afektowanie.

– Nie, nic podobnego. Zresztą Olgierd wrócił do Polski latem trzydziestego dziewiątego roku. Wtedy gdy ja i mój mąż dopiero co ją opuściliśmy. Może nawet gdzieś po drodze się minęliśmy? A potem... zresztą sama już wiesz, co się z nim stało. Ja o jego śmierci dowiedziałam się dopiero po wojnie. – Eliza mówiła spokojnym, wypranym już z wszelkich emocji głosem. Dlatego hałas, jaki

powodowały wrzucane do zlewu naczynia, przyprowadził Ulę o dreszcze. – Ot i cała historia. Taka zwykła i banalna, jakich wiele na tym świecie.

I jakby na potwierdzenie teorii o prozaiczności ludzkiego losu z kuchni rozległ się teraz z kolei szum wypuszczonej z kranu wody. Jednak gdy Ula wreszcie odważyła się tam wejść, zobaczyła, że matka stała nieruchomo przy zlewie i nawet nie patrzyła na płynącą niepotrzebnie wodę. Najwyraźniej tym razem podobne marnotrawstwo w ogóle Elizie nie przeszkadzało. Córka przytuliła się nieśmiało do jej pleców.

– Jeśli to taka zwykła, jak twierdzisz, i banalna historia, to dlaczego nie chciałaś mi wcześniej tego opowiedzieć? – spytała cicho i ostrożnie. – Chociażby wtedy, w Broniszczach, gdy cię pytałam...

Eliza nie odsunęła się od niej, jak to robiła niemal za każdym razem, gdy mąż albo córka próbowali okazać jej czułość. Nie odwzajemniła wprawdzie gestu Uli, ale przynajmniej dotknęła delikatnie jej dłoni na swoim ramieniu.

– Bo widzisz, ta banalna i pod każdym względem prozaiczna historia to była... moja historia... Własna, osobista.

Mówiła szeptem, a mimo to Ula wyraźnie usłyszała łzy w jej głosie. I w tym momencie już była pewna, że nie wolno jej dalej drażnić tego tematu. W każdym razie nie z matką.

Zmywając talerze, Eliza robiła więcej hałasu, niż należało. Potem szorowała kuchenne blaty, choć nie było takiej potrzeby. Gdyby nie późna pora i ciemności za oknem, rzuciłaby się do pastowania podłóg, mycia okien, czyszczenia mebli w całym domu – jednym słowem robiłaby wszystko, cokolwiek, by spróbować nie wracać do tamtych wspomnień, nie myśleć, nie analizować, nie zastanawiać się nad alternatywą dla swoich życiowych decyzji. To od lat był jej sposób na uporanie się z własnym losem. Dzięki temu mieszkanie Borzęckich zawsze lśniło czystością. Nawet wtedy, gdy w czterdziestym piątym roku wskutek cofnięcia uznania rządu brytyjskiego dla polskiego rządu emigracyjnego Ryszard stracił lukratywną posadę, a ponieważ nie zdecydowali się na powrót do Polski, trzeba było się pogodzić z drastycznym obniżeniem poziomu życia i przede wszystkim zrezygnować z pomocy domowej. Dla Elizy w pewnym sensie okazało się to wybawieniem. Wysiłek fizyczny, związany z prowadzeniem domu i wychowywaniem małego dziecka, konieczność nauczenia się takich czynności jak gotowanie, sprzątanie, pranie i robienie zakupów, połączone z opanowaniem sprawnego zarządzania skromnym budżetem domowym – wszystko to sprawiło, że była wprawdzie chronicznie zmęczona, ale miała mniej czasu na refleksje, na analizowanie, na rozpacz, gdy dowiedziała się o śmierci Olgerda.

Oczywiście ceną tego było wieczne rozdrażnienie, postępujące zgorzknienie, zniechęcenie i unikanie kontaktów z ludźmi. Ludzie bowiem obserwowali ją i zadawali pytania. Jakby nie mieli własnych problemów! Jakby nie mieli nic lepszego do roboty! Z polską emigracją na Wyspach nie miała w ogóle ochoty rozmawiać. Było to środowisko ludzi rozgoryczonych, niepewnych własnych wyborów, szarpiących się między uzasadnionymi obawami przed powrotem do ojczyzny i szaloną tęsknotą za nią, a niejednokrotnie także za bliskimi, którzy zostali w Polsce. Całe lata kontakt z nimi był praktycznie niemożliwy, a pomysły sprowadzenia ich do Anglii bądź gdziekolwiek na Zachód – karkołomne. Pozostawały więc gorycz, żal, nawet wściekłość wobec zachodnich sojuszników z czasów wojny, którzy zdradzili, wystawili Polaków Stalinowi, politycznie uznali utworzony w większości przez komunistów Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej w Warszawie, a polskich emigrantów na Zachodzie traktowali jako uciążliwy balast, wyrzut sumienia, którego za wszelką cenę trzeba się pozbyć, a swoją postawę wytłumaczyć w każdy, nawet najbardziej absurdalny sposób.

Polskie środowisko emigracyjne pozostawało zatem wciąż wierne swoim przekonaniom, nie godziło się na zaakceptowanie tego, co na Zachodzie nazywano realizmem politycznym, którego – wedle zachodnich polityków – polskiemu rządowi emigracyjnemu w Londynie w pewnym momencie zabrakło. Nie, Polacy, którzy nie zdecydowali się, pomimo różnych zachęt, a potem nacisków, wracać do kraju, nie zgadzali się na podobne rozumienie realizmu, tkwili w nieustającym żalu wobec „sojuszników” i we wrogości wobec komunistycznego reżimu w Polsce. Gdy spotykali się ze sobą, przeważnie rozmawiali właśnie o tym, i to był jeden z powodów, dla których Eliza unikała tych ludzi. Oczywiście gdy już uniknąć ich z różnych powodów nie zdołała, kiwała głową i potakiwała, gdy mówili. W gruncie rzeczy

jednak niewiele ją to obchodziło, a każda nostalgiczna refleksja o „zniewolonym i zdradzonym kraju” wywoływała w niej dodatkowo bolesne wspomnienia natury osobistej. Te wspomnienia, od których latami starała się uciekać. Ciężka praca fizyczna jej w tym pomagała. Spotkania z Polakami utrudniały. Wolą już, choć też bez nawiązywania szczególnie bliskich znajomości, kontaktować się z Anglikami. Nie wszyscy bowiem byli Niemili dla Polaków, niektórzy wciąż chętnie wspominali wyczyny polskich pilotów pod londyńskim niebem w czterdziestym roku. A w ich towarzystwie mogła uniknąć tego gorzkiego patosu, jaki cechował polską emigrację, tego odwracania się ku przeszłości, której przecież nic już nie mogło wskrzesić. Tego rozdzierania szat nad „naszą biedną, nieszczęśliwą, zdradzoną ojczyzną”.

Anglicy rozmawiali o terażniejszości. O trudach powojennego bytowania, o nędznej aprowizacji, konieczności oszczędzania, reglamentacji żywności. Bo takie były te pierwsze powojenne lata i oni starali się temu sprostać. A zarazem planowali przyszłość.

– W pani mieszkaniu można jeść z podłogi – mówiły nie bez odrobiny zazdrości angielskie sąsiadki, a ponieważ wiedziały, że urodziła się i wychowała w domu pełnym służby, tym bardziej nadziwić się nie mogły jej zaradności.

Przyjmowała te komplementy, uśmiechając się przy tym z lekką ironią. Gdyby te kobiety wiedziały, jaką tęsknotę i żal próbowała w sobie zagłuszyć, szorując te nieszczęsne podłogi! Chociaż z pewnością posłuchałyby z zainteresowaniem historii o jedynym w jej życiu uczuciu, które traktowała poważnie. I akurat ten związek rozpadł się tak nagle, tak bez sensu. Ona bowiem – ani wtedy, ani potem, ani teraz – nie potrafiła tego do końca zrozumieć i poskładać w całość. Wprawdzie powiedziała dziś córce, że winę za to ponoszą jej rodzice, niemniej nadal nie pojmowała, dlaczego poszło im obojgu tak łatwo. Zwłaszcza ojcu, który nakłonił Olgierda do zerwania z nią, a więc poniechania bardzo już wtedy konkretnych planów na wspólną przyszłość, jakie oboje mieli, matka zaś biernie, by nie rzec: bezwolnie, poparła poczynania męża. Dlaczego jedna rozmowa wystarczyła, by Olgierd postanowił definitywnie zerwać z nią wszelkie kontakty? A potem – nagle – po prostu wyjechał. Nigdy nie wątpiła, że bez interwencji i znajomości jej ojca tego typu wyjazd był dla niezamożnego studenta medycyny po prostu nieosiągalny. Czy... czy dostał od jej ojca potrzebne fundusze, środki, słowem wszystko, byleby tylko znalazł się jak najdalej od niej? Ojciec był tak zdeterminowany, że mógł mu to zaproponować, lecz na miłość boską, czy Olgierd mógłby w taki sposób sprzedąć ich miłość, ich marzenia o wspólnej przyszłości? Przecież to niemożliwe, przecież tak dobrze go poznała, przecież tyle razy jej mówił, że pieniądze nie mają dla niego znaczenia. Przecież mu bezgranicznie wierzyła – jak żadnemu ze swoich dotychczasowych licznych adoratorów.

A jednak... nie mogła zaprzeczać faktom. Te były bezlitosne. Zerwał z nią znajomość bez podania żadnej sensownie brzmiącej przyczyny. Przynajmniej ona nie mogła znaleźć w tym żadnego sensu. Siedząc teraz przy kuchennym oknie i patrząc na światła, które po kolei gasły w oknach sąsiedniej kamienicy, nie mogła już uciec od wspomnienia tamtego styczniowego dnia trzydziestego dziewiątego roku. Takie były konsekwencje rozmowy z Ulą, Eliza wiedziała o tym już w momencie, gdy postanowiła uchylić przed córką rąbka latami skrywanej tajemnicy. Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak raz jeszcze odważnie spojrzeć w przeszłość, choć nie miała cienia wątpliwości, że i tym razem nie znajdzie odpowiedzi na dręczące ją wtedy i teraz pytania.

Po pierwsze: dlaczego tak się stało?

\*

– Dlaczego? – wyjąkała zdumiona, wybałuszając na niego oczy. – O Boże, czy zrobiłam coś nie tak? Czy cię obraziłam? Powiedz. Ja przepraszam, przepraszam, naprawdę... Przepraszam, ale to niechcący...

Nie miała wprawdzie pojęcia, za co miałyby przepraszać, bo to był jedyny jej kolega, potem przyjaciel, a w końcu chłopak, przy którym tak bardzo się starała, tak bardzo uważała, by nie powiedzieć czegoś, co mogło zboleć, wywołać zażenowanie, obrazić. W obecności którego zawsze chciała wypaść dobrze. Zawsze zachować się właściwie. Wiedziała jednak, że czasem bywała bezmyślna i mogła

niechcący coś głupiego palnąć, dlatego patrząc teraz na niego z rozpaczą, wysilała jednocześnie pamięć, by przypomnieć sobie, co mogło sprawić, że Olgierd postanowił zakończyć ich znajomość, ich przyjaźń, miłość, a na dobra sprawę – związek. Początkowo myślała, że tylko bezmyślnie z niej zażartował, ale przecież wiedziała, że to niemożliwe, bo przecież on nigdy nie postępował bezmyślnie. Przynajmniej w takich sprawach. Jego sublokator i kolega ze studiów, z którym dzielił wynajmowany w zaniebanej kamienicy pokój, dyskretnie się wyniósł, gdy tylko przyszła, ale w tym akurat nie widziała niczego nadzwyczajnego. Zawsze tak robił, gdy odwiedzała Olgierda. Byli więc sami, marzyła o tej chwili od tygodnia. Cały tydzień się nie widzieli, bo Olgierd miał zaplanowane zajęcia laboratoryjne po zakończeniu przedpołudniowych wykładów. Dlatego dziś, gdy wreszcie mogli się spotkać, biegła jak na skrzydłach do jego mieszkania i natychmiast rzuciła mu się na szyję. On jednak nie odpowiedział uściskiem na jej gest, nie wziął jej w ramiona jak zawsze, gdy mogli być tylko we dwoje.

Zamiast tego powiedział... powiedział...

– Dlaczego? – powtarzała.

Jeszcze wtedy nie płakała, choć już straciła nadzieję, że to tylko żart. Albo niedobry sen. Niemniej miała zbyt wielki chaos w głowie, była zbyt zaskoczona, wstrząśnięta, by poddać się łzom. One przeważnie pojawiają się wtedy, gdy do człowieka dociera w pełni cały ogrom cierpienia, wzruszenia i żalu. W każdym razie w jej przypadku tak właśnie było.

– Bo tak trzeba – odpowiedział krótko Olgierd. Nie patrzył jej w oczy, od razu to spostrzegła. – Wierz mi, nie ma innego wyjścia. Tak będzie najlepiej dla ciebie i dla mnie.

Był taki chłodny, daleki, taki... obcy. Przyszła jej nawet do głowy absurdalna myśl, że to może nie on. Może to ktoś ładząco do niego podobny, jakiś cholerny sobowtór. Pojawił się tu, skradł tożsamość człowieka, którego kochała i tak dobrze przecież знаła. A jej prawdziwy Olgierd siedzi gdzieś uwięziony albo został zamordowany, albo cokolwiek... Musiała mocno potrząsnąć głową, by wyrzucić z niej podobne, durne przecież myśli. Tylko że... co mu się stało? Co sprawiło, że w ciągu kilku dni tak się zmienił?

Wzięła się w garść. Postanowiła, że nie pozwoli potraktować się w ten sposób, choć równocześnie przecież wiedziała, że właśnie tak, nie inaczej, ona sama kończyła wszystkie dotychczasowe znajomości. Czasami nawet używała takich samych słów, jakie teraz słyszała od Olgierda. I nigdy nie łamała sobie głowy tym, jak to przyjął jej adorator lub wielbiciel. Żadnych wyrzutów sumienia, pomimo że dwóch lub trzech miało prawo żyć wobec niej uzasadnione nadzieje. No cóż, teraz przynajmniej wiedziała, jak się wtedy czuli. Jeśli jednak los postanowił wymierzyć jej sprawiedliwość, to ona nie zamierzała się temu bezwzględnie poddać.

– To mi nie wystarcza – odpowiedziała hardo. – Takimi argumentami się mnie nie pozbędziesz. Niedoczekanie... – Jednak głos znów jej się załamał. – Powiedz prawdę. O co chodzi? Wyjaśnij mi to jak normalny człowiek.

– Nie pasujemy do siebie – odparł wreszcie po tak długiej chwili milczenia, że już była pewna, że nic od niego nie usłyszy. Nie patrzył jednak na nią. Stał odwrócony tyłem i wyglądał przez okno. – Pochodzimy z różnych środowisk, inaczej nas wychowano. Mamy inne przyzwyczajenia. Nie przyjmę się w twoim środowisku ani ty w moim. Realia nas przerosną, nie damy rady. Wiązać się powinni ludzie do siebie podobni. W końcu i ty to zrozumiesz.

Na razie jednak wciąż nic nie rozumiała. Podeszła do niego, przytuliła się do jego pleców, ale odsunął się – łagodnie, choć zdecydowanie.

– Nie – powiedział cicho. – Daj spokój.

– Oszalałeś, co się z tobą stało?! – wrzasnęła wreszcie na całe gardło. Nie obchodziło jej to, że jej słowa usłyszą lokatorzy sąsiednich pokoi i mieszkań. – Nagle doznałeś objawienia? Tak ni z tego, ni z owego? Nie pasujemy do siebie? Tydzień temu mówiłeś co innego. Dobrze sobie! Znajdź lepiej inną wymówkę, a nie gadaj ze mną jak pięćdziesięciolatek znudzony swoją partnerką. Powiedz wprost, że znalazłeś sobie inną!

Oczywiście nie wierzyła w to ostatnie oskarżenie, ale miała nadzieję, że sprowokuje go to do powiedzenia prawdy. Będzie przecież zaprzeczał, pewnie się pokłóca, choć prawie nigdy do tej pory tego

nie robili. Tylko na początku znajomości, gdy jeszcze nie byli parą, ale już się sobą wzajemnie interesowali, pomimo słownych utarczek. A może także dzięki nim. Eliza zresztą nie bała się kłótni, z każdej szermierki słownej wychodziła zwycięsko. Wszyscy jej w końcu ustępowali.

Tym razem jednak jej nadzieje spełzły na niczym. Olgierd nie podniósł rzuconej rękawicy.

– Możesz na ten temat myśleć, co ci się podoba – odparł, wruszając ramionami. – To już i tak bez znaczenia.

I to był właśnie ten moment, gdy poczuła się zupełnie bezsilna i popłynęły jej łzy.

– Dlaczego taki jesteś? – szlochała. – Nie poznaję cię. Wytlumacz mi... co cię tak zmieniło? A może kto?

Wtedy jakby na moment odtajał. Odwrócił się w jej stronę i nawet dotknął spływającej po jej policzku łzy. Trwało to jednak krótko, bo wbrew głosowi rozsądku, który wyraźnie usłyszała w swojej głowie, ponownie chwyciła obie jego dłonie i przylgnęła do niego całym ciałem. A on ponownie się odsunął.

– Już ci wyjaśniłem – oznajmił szorstkim głosem. – Nie wymagaj, abym się powtarzał. – Na moment zawahał się, zanim dodał: – Zresztą zdecydowałem, że wyjeżdżam. Podobna okazja już się nie powtórzy. Byłbym głupcem, gdybym nie skorzystał.

– Wyjeżdżasz? – Niemal się zachłysnęła. – Dokąd?

– Daj spokój. To moja sprawa.

– Zabierz mnie ze sobą – błagała.

– Nie mogę. Jadę, aby kontynuować tam studia. Nie chcę, aby ktokolwiek mnie rozpraszał.

– Dlaczego dowiaduję się o tych planach dopiero teraz?! – Tym razem podniosła głos. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej była aż tak wzburzona, choć przecież jej żywy temperament znany był całej rodzinie i wszystkim znajomym.

– Choćby dlatego, że ja sam dopiero się o tym dowiedziałem – odparł nie mniej gwałtownie i zanim zdołała znaleźć celną ripostę, dodał: – Dla ciebie wyjazd za granicę to jak kupienie nowego fatalaska. Niczego ci nigdy nie brakowało, zwiedziłaś już Włochy i Szwajcarię. A dla mnie to jak złapać Pana Boga za nogi. Nie śmiałem nawet o tym marzyć. Nikt by mi tego nie sfinansował, nawet zwykłej podróży, a co dopiero studiów. To było poza zasięgiem kogoś takiego jak ja.

– Więc jak to się stało, że jednak wyjeżdżasz? – spytała rozsądnie.

Stropił się na moment, zanim odparł, że dostał stypendium. Za wyniki w nauce.

Stypendium za wyniki w nauce? Co ty opowiadasz? – chciała zawołać. – Nie lubisz tych studiów. Twierdziłeś, że podjąłeś je tylko dlatego, że twoi wujowie uznali, że zawód lekarza zapewni ci przyszłość i utrzymanie. Bo ludzie zawsze będą potrzebować lekarzy. A poza tym twój ojciec też jest lekarzem i był gotów łożyć na te studia. Wprawdzie nie jest ci kimś specjalnie bliskim, ale chciałbyś mu pod pewnymi względami dorównać.

Tym razem jednak wołała posłuchać głosu rozsądku i nie mówić tego na głos.

– Ja mogę poczekać, aż wrócisz – oświadczyła cicho.

W odpowiedzi westchnął i podał jej płaszcz.

– Musisz już iść – rzekł cicho, a kiedy chciała zaprotestować, dodał już głośniejszym i bardziej zdecydowanym głosem: – Nie utrudniaj tego.

– Ja... utrudniam...? – wykrztusiła.

– W każdym razie ja wychodzę, a ty nie możesz tu zostać sama.

Gdyby tak mogła zniechęcić go za ten obojętny ton! Niestety – nie potrafiła. Choć tak właśnie powiedziała.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła, wrywając płaszcz z jego rąk. – Jesteś zwykłym tchórzem i nędznym, małym wiarołomcą!

To były jej ostatnie słowa, jakie do niego skierowała. Zrobiła to, choć zbiegając po schodach na dół i połykając łzy, nawet nie brała pod uwagę takiej ewentualności. Już po dziesięciu dniach złamała swoje własne postanowienie, że nie będzie już próbowała się z nim spotkać. Schowała dumę do kieszeni i ponownie przyszła pod drzwi jego mieszkania. Nikt jej jednak nie otworzył. Podobnie było w ciągu



kolejnych trzech dni, aż wreszcie właścicielka kamienicy, prawdopodobnie zaalarmowana przez innych lokatorów, oznajmiła jej, aby dała wreszcie spokój.

– Tam nikt nie mieszka – oświadczyła, lustrując Elizę pełnym dezaprobaty wzrokiem. – Zarówno jeden, jak i drugi wyprowadzili się.

– Wyprowadzili się? – Eliza nie wierzyła własnym uszom. – Kiedy? Dokąd?

– Nie wiem dokąd. Nie moja sprawa. Jeden z nich jeszcze dzisiaj wieczorem przyjdzie zabrać resztę rzeczy, bo jak dotąd wyprowadził się tylko z książkami.

– Dziś wieczorem? – podchwyciła.

Właścicielka zrobiła taką minę, jakby pożałowała swojej pochopnej szczerości.

– Proszę już sobie iść – rzekła suchym, bardzo nieprzyjaznym tonem. – To doprawdy wstyd, aby młoda panna tak się zachowywała i poniżała. Jakby nie dość było obrazy boskiej do tej pory.

A co ty możesz o tym wszystkim wiedzieć, stara kłepo? – wygrażała w myślach Eliza, wychodząc przed budynek. Nigdy dotąd wygląd kamienicy i jej otoczenia nie napawał jej takim wstrętem. Nie odeszła jednak daleko. Przecież, wedle słów tej kamieniczniczki, wieczorem miał przyjść Olgierd albo ten jego kolega, Tadek. Nawet jeśli pojawi się ten drugi, prawdopodobnie będzie wiedział, gdzie podziewa się Reński. Na wszelki wypadek wołała więc nie odchodzić daleko i mieć na oku bramę. Przecież Olgierd albo Tadek mogli jednak, wbrew zapowiedziom, przyjść wcześniej, wcale nie czekając do wieczora.

Około ósmej spostrzegła Tadka i choć w pierwszej chwili poczuła się zawiedziona – liczyła na spotkanie z Olgierdem – to jednak postanowiła zaczekać, aż chłopak pozałatwia z właścicielką swoje sprawy. Podejdzie do niego, gdy tylko ten wyjdzie z powrotem na ulicę. Nie знаła go zbyt dobrze. Dotychczasowa konwersacja między nimi ograniczała się do wymiany pozdrowień, gdy tu przychodziła, a on opuszczał pokój. Teraz jednak mógł być dla niej jedynym źródłem informacji na temat Olgierda i okoliczności dotyczących jego niespodziewanego wyjazdu.

Pokazał się z powrotem na ulicy po jakichś dwudziestu minutach, ale minął ją, nie zwróciwszy na nią najmniejszej uwagi.

„To doprawdy wstyd, aby młoda panna tak się zachowywała i poniżała – słowa właścicielki kamienicy raz jeszcze zadzwoniły w uszach Elizy, zanim zebrała się na odwagę i go zawołała. Nigdy jeszcze nie czuła się tak onieśmielona.

Tadeusz zatrzymał się i odwrócił w jej stronę, a ona natychmiast zobaczyła wyraz niezadowolenia na jego twarzy.

– Tadek, gdzie on jest? – spytała i aż się zatrzęsła, usłyszawszy w swoim głosie coś, co przypominało żalodne skomlenie.

– Nie wiem. – Usłyszała w odpowiedzi.

– Jak to nie wiesz? – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Na pewno wiesz. Może nadal razem mieszkacie.

– Czy ty coś sugerujesz?

Zaczerwieniła się, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów.

– Nie wygłupiaj się – wykrztusiła. – Jesteście przecież przyjaciółmi.

– Na Boga, dziewczyno! Nie jesteśmy przyjaciółmi, tylko znajomymi z wydziału, którzy wynajmowali wspólny pokój, bo tak było taniej. Gdy Olgierd postanowił się wyprowadzić, musiałem zrobić to samo, bo za nic nie starczyłoby mi na czynsz, a ta stara dała mi za mało czasu, abym mógł znaleźć innego sublokatora. Szczęśliwie kilku kumpli przyjęło mnie do swojego mieszkania. Gdzie poszedł twój Olgierd, nie wiem.

– A ja myślę, że to on zobowiązał cię do dyskrecji – odparła przygnębiona i bliska płaczu.

– Nawet jeśli tak rozumujesz, to na jedno wychodzi. Nie uważasz? – Nie odszedł jednak, choć nie wątpiła, że najchętniej by tak właśnie zrobił. Przeciwnie – zbliżył się do niej. – Odsuść to. W takich przypadkach nie warto się upierać. To taka dobra rada ode mnie.

– Wiesz, co go napadło? – spytała po chwili, gdy wytarła oczy i nos. – Co to za historia z tym stypendium?

– Z jakim stypendium?

Od razu się zorientowała, że nie było to udawane zdumienie.

– Mogłam się domyślić. Do tego jeszcze mnie okłamał. – Znowu poczuła atak wściekłości, do którego teraz dołączyło upokorzenie. – Wydrapię jej oczy. Dowiem się, kto to jest, i...

– A może po prostu porozmawiaj z ojcem – powiedział to tak spokojnie i rzeczowo, jakby udzielał jej urzędowej bądź prawnej informacji.

– Z jego ojcem? Chyba żartujesz! – Machnęła ręką w geście, który miał oznaczać krańcowe lekceważenie, ale Tadeusz w tej samej chwili delikatnie przytrzymał jej tę dłoń.

– Miałem na myśli twojego ojca – sprostował łagodnie.

– Jak to? – wyjąkała. – No co ty...

– Przyszedł do nas mniej więcej trzy tygodnie temu, pamiętam, że to był wtorek, bo tego dnia wyjeżdżałem na trzy dni do domu, na pogrzeb stryja.

– Trzy tygodnie temu, we wtorek?

Dzień po dniu cofała się w przeszłość. Wtorek, trzy tygodnie temu. Była wtedy u Olgierda. To był właśnie ostatni dzień, gdy jeszcze zapewniał ją o swojej miłości, gdy czuła się przy nim taka szczęśliwa. Wyszła stamtąd w błogim przeświadczeniu, że spędzi z nim resztę życia. A kilka dni później Olgierd oznajmił jej, że z nimi koniec.

Ale... ojciec? Czy miał z tym cokolwiek wspólnego?

Ależ oczywiście! Że też była taka głupia! W tym nie ma żadnego przypadku. Jednak jakim cudem ojciec znał ten adres?

– O czym rozmawiali? – spytała nie swoim głosem.

– Nie wiem. Zaraz wyszedłem. – Tadeusz wzruszył ramionami, ale w jego wzroku widziała współczucie.

Nikt do tej pory jej nie współczuł, przeciwnie – na ogół była obiektem podziwu i zazdrości. Należało to już jednak do przeszłości. Aż tak nisko upadła? Może więc powinna posłuchać rady wszystkich wokół, z Olgierdem włącznie, i dać temu spokój? Przestać się poniżać, jak to ujęła właścicielka kamienicy? Na razie jednak nie była do tego zdolna. Patrzyła na Tadeusza z uwagą i napięciem, aby nie uronić ani jednego słowa.

– Twój ojciec poprosił mnie, abym zostawił ich samych – kontynuował niechętnie. – I tak zresztą spieszyłem się na pociąg. Wróciłem dopiero po kilku dniach, późno w nocy. Olgierd już spał.

– Może tylko udawał, że śpi.

– Może – zgodził się. – Tak czy owak, nie chciał gadać. Następnego dnia też nie. A ja nie widziałem powodu, by go wypytywać. To przecież jego sprawy, nie moje.

– I moje – sprostowała bezwiednie takim tonem, jakby miała do niego pretensje, choć przecież wcale tak nie było.

– Dlatego najlepiej będzie, jak zapytasz o to ojca. – Poprawił torbę pod pachą. – Muszę już iść. Trzymaj się.

Nie powiedział jak zwykle „do widzenia” – pomyślała Eliza, odprowadzając go wzrokiem, aż zniknął za rogami. To zapewne znaczyło, że nie liczył się już z możliwością ponownego spotkania. I kto wie? Może dał jej w ten sposób do zrozumienia, że takie właśnie jest jego życzenie? Szkoda, ale mniejsza z tym. Miała inne problemy.

Ojciec... Co mu strzeliło do głowy, aby przychodzić do wynajmowanego przez Olgierda pokoju?!

Na litość boską, pomijając już fakt, skąd wziął adres – ta trudność była przecież, dzięki sprytowi i uporowi, do pokonania. Ale przecież to zachowanie było zupełnie niepodobne do Dezyderego Rawickiego! Wesołego, otwartego na świat i ludzi człowieka! Niejednokrotnie bronił jej przed zdecydowaniem bardziej dogmatyczną w tych kwestiach żoną. Nigdy nie komentował jej przyjaźni i znajomości z różnymi, co tu dużo mówić, niekiedy dość oryginalnymi indywiduami.

Czy to dlatego, że zdawał sobie sprawę, że Eliza także traktowała tych ludzi dość lekko i pobłaźliwie, nawiązywała i zrywała kontakty z zadziwiająco niekiedy dezynwolturą? Czy dlatego

dochodził do wniosku, że nie ma sensu ingerować w coś, co nie ma znaczenia i jest nietrwałe?

Może zatem zaniepokoiło go to, że w stosunku do Olgierda Reńskiego jego niefrasobliwa córka zachowuje się zupełnie inaczej, traktując tę znajomość bardzo poważnie? Dlaczego jednak miałyby mu się to nie podobać? Lubił Olgierda, choć rzadko miał okazję go widywać. Czy ojciec mógł mieć jakieś uprzedzenia dotyczące pochodzenia i niezamożności ewentualnego kandydata na zięcia? To także było do niego niepodobne, niemniej po tym, przez co ostatnio przeszła, już niczego nie mogła być pewna.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? – wyrzuciła z siebie jednym tchem, gdy wreszcie, najszybciej, jak zdołała, dotarła do Radziejowa i stanęła przed jego obliczem.

Miał prawo się zdziwić jej niespodziewanym przyjazdem, podobnie matka, jednak nie wyglądali na specjalnie zaskoczonych. Matka tylko zapytała, czy to mądre opuszczać zajęcia na uniwersytecie, zwłaszcza gdy zbliżają się egzaminy.

– Miałam ochotę was odwiedzić i zapytać ojca, dlaczego on z kolei nie odwiedził mnie, skoro trzy tygodnie temu był w Warszawie i złożył wizytę Olgierdowi – odparła zaczepnie. Nie miała bowiem ochoty bawić się w podchody i wstępy. Wolą od razu przejść do rzeczy, jak zwykle zresztą.

Matka umilkła, wyraźnie zmieszana, i cofnęła się w róg gabinetu, gdzie usiadła na małej kanapie. Eliza nie patrzyła na nią, z jej punktu widzenia Adrianna Rawicka mogłaby równie dobrze opuścić pomieszczenie. Ważna była tylko rozmowa z ojcem.

Dezydery, w przeciwieństwie do żony, w ogóle się nie stropił albo tak dobrze udawał. Od wczesnej młodości był mistrzem w przybieraniu pokerowych min.

– Usiądź – poprosił spokojnie.

– Nie, do czorta, nie usiądę! – Podeszła bliżej niego. – Powiedz, dlaczego to zrobiłeś! Po twojej wizycie Olgierd postanowił zakończyć znajomość ze mną. Obiecałeś mi załatwienie zagranicznego wyjazdu, byle tylko przestał się ze mną spotykać, tak?!

– Zagraniczny wyjazd? – zdziwił się Dezydery, ale nie uwierzyła w jego zdumienie. Nie zamierzała mu też niczego wyjaśniać. Oburzenie dodatkowo podkreślało jej złość.

– Co masz przeciwko niemu?! Jego nieprawie pochodzenie? – Świadomie z ironią zaakcentowała słowo „nieprawie”. – Tak bywa, nie pierwszy to przypadek w dziejach świata. Nie wiem, czemu ciebie miałyby to oburzać, skoro, jak wieść gminna niesie, w młodości także niczego sobie nie odmawiałeś.

– Elizo, przekraczasz granicę. – Usłyszała za plecami surowy, ale też trochę zaniepokojony, głos matki. Nie odwróciła się jednak w jej stronę, tym bardziej że Dezydery dał znak żonie, aby dała spokój podobnym uwagom.

– A może przeszkadza ci to, że Olgierd nie ma majątku?! – krzyczała dalej Eliza. Nie obchodziło jej, że być może słyszy ją służba. – No cóż, nie każdy odziedziczył rodową posiadłość, w której występuje się pracą innych! Większość ludzi na tym świecie musi ciężko pracować na swoje utrzymanie, bo nie należy do uprzywilejowanej kasty bogatych nierobów! – Wiedziała, że ten przytyk w odniesieniu do ojca nie był sprawiedliwy. Dezydery osobiście zajmował się zarządzaniem Radziejowem, a nie było to proste zadanie. Nie zależało jej jednak na sprawiedliwości. Chciała go obrazić, sprawić mu ból. Ona także cierpiała, a ojciec ponosił za to winę.

Nie zareagował na jej zaczepkę i fakt ten także nie wpłynął na złagodzenie jej nastroju.

– Nie obchodzą mnie twoje pieniądze, nienawidzę ich. Potrafię się bez nich obyć!

– Skąd to wiesz? Próbowalaś? – Tym razem usłyszała w jego głosie wyraźną ironię.

Zatrzęsła się ze złości, ale zanim znalazła odpowiednio ciętą ripostę, Dezydery podniósł się z fotela i do niej podszedł.

– Nie masz pojęcia o życiu bez sporych zasobów pieniężnych. Nigdy niczego ci nie brakowało. Nigdy nie musiałaś się brać do żadnej poważnej pracy. Nawet studiów nie potrafisz traktować poważnie, a wiesz dlaczego? Bo w gruncie rzeczy nie są ci do niczego potrzebne. To jedynie twoja kolejna fanaberia, aby wyrwać się z domu. Pozwoliłem na to, bo – jak sama zauważyłaś – mam pieniądze, a skoro tak, to nie widzę powodu, abym miał ci odmawiać czegoś, co mogłoby mieć sens, gdybyś się do tego przyłożyła.

– Nie zmieniaj tematu, tato! – Tupnęła nogą. – Nie przyjechałam tu, aby rozprawiać o moich

studiach!

– A jednak jedno z drugim ma związek, bo ty niczego nie traktujesz poważnie. Ani nikogo. Pozwalałeś mi na to! – chciała wrzasnąć. – Bawiło cię to, więc skąd teraz te wymówki?

Nie miała jednak zamiaru dyskutować na temat ich wzajemnych relacji, tak jak wcześniej na temat jej podejścia do zajęć uniwersyteckich. Ojcu by to pewnie odpowiadało, bo tym samym kwestia jego „wizyty” u Olgierda zeszlaby na plan dalszy albo w ogóle została zapomniana. Eliza nie miała zamiaru do tego dopuścić.

– Olgierda traktowałam poważnie – rzekła drżącym głosem. Tym razem nie krzyknęła.

– Prędzej czy później znudziłabyś się nim jak każdym innym.

– Nieprawda...

– Gdybyś za niego wyszła, urządzałabyś mu piekielne sceny o brak pieniędzy.

– Nieprawda. Nie mów tak! – Znów się najeżyła i zacisnęła obie dłonie, by opanować emocje i nie zacząć znowu krzyczeć i tupać. Krzyki nie robiły na ojcu wrażenia, zawsze o tym wiedziała, tyle że nie zawsze chciała i potrafiła powściągnąć swój temperament.

Przecież ty pierwszy nie dopuściłbyś do tego, aby mi zabrakło pieniędzy. A poza tym razem z Ireną jestem spadkobierczynią Radziejowa. Chyba że wydziedziczyłbyś mnie w testamencie, przemknęło jej przez głowę, zanim zdołała powstrzymać podobną myśl. Niestety myśli, w przeciwieństwie do wypowiedzianych słów, są całkowicie niezależne od woli. Wypływają z podświadomości. Czyżby więc podświadomie liczyła na to, że nawet po poślubieniu Olgierda miałyby zapewniony dopływ gotówki od ojca?

Uświadomienie sobie tego nie wpłynęło na nią łagodząco. Aż tak była uzależniona od statusu materialnego rodziców, od poczucia bezpieczeństwa, jakie jej zapewniali?

Niedoczekanie, muszę z tym skończyć, pomyślała. Muszę wreszcie stanąć na własnych nogach.

– Jako ojcu winna ci jestem szacunek i posłuszeństwo, ale to, co zrobiłeś, nie mieści mi się w głowie – rzekła lodowatym tonem. – Tego kompletnie się po tobie nie spodziewałam. Nie po tobie, tato... Nie różnisz się niczym od tych nadętych bufonów ze swojej sfery. Mentalnie zatrzymaliście się sto lat temu albo dawniej i uparcie nie zauważacie, że świat się zmienił. Wciąż idzie do przodu. Także, a nawet przede wszystkim, pod względem obyczajowym. Nie zatrzymasz tego.

Odpowiedziało jej milczenie. Ojciec nie spuszczał z niej wzroku i pewnie dlatego zobaczyła w jego oczach troskę i smutek, za to nawet cienia wyrzutu i gniewu. Następnie rzuciła okiem na poszarzałą twarz matki, ale nie spodziewała się wsparcia z jej strony. Matka, w przeciwieństwie do ojca, na ogół nie szczędziła jej słów krytyki i zawsze próbowała wziąć ją w karby. I na pewno nie zamierzała stawać teraz po jej stronie. W gruncie rzeczy nigdy się przecież nie rozumiały.

Odwróciła się do drzwi i nacisnęła klamkę.

– Wracam do Warszawy – oświadczyła stanowczo. – Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej.

– Dlaczego przyjechałaś dopiero teraz, skoro wiesz o tym wszystkim od pewnego czasu? – zapytał nagle Dezydery.

Zatrzasnęła z hukiem dopiero co otwarte drzwi.

– Bo o tym, że to ty za wszystkim stałeś, dowiedziałam się dopiero dzisiaj. I to bynajmniej nie od Olgierda. Jego pewnie nakłoniłeś do milczenia. Zapomniałeś jednak o jego koledze, który cię wtedy widział i potrafił połączyć fakty.

– Elizo... – ponownie wtrąciła się matka, choć zaraz przerwała dopiero co rozpoczętą kwestię. Jakby zabrakło jej tchu... a może sensownego pomysłu na to, co dalej mówić.

Eliza po raz pierwszy w życiu popatrzyła na nią z politowaniem.

– Jak tu duszno – stwierdziła po chwili. – Ja w każdym razie się duszę.

To był jej ostatni pobyt w rodzinnym domu.

Irena, którą odwiedzała w Warszawie, niewiele jej mogła pomóc i doradzić, zresztą Eliza dość szybko się zorientowała, że siostra o całej sprawie nic nie wie, a całą jej uwagę pochłania dziecko. Jednak to właśnie u niej w domu, kilka miesięcy później, już wiosną, spotkała Ryszarda Borzęckiego, o którego istnieniu od dłuższego czasu nie pamiętała. Początkowo nie ucieszył ją jego widok, wręcz przeciwnie.

Ulubieniec mojego ojca i matki, pomyślała posępnie. Od pierwszego dnia rozpływali się nad nim. Jaki mądry, poważny, odpowiedzialny młody człowiek, mówili. Dobrze wychowany, starannie wykształcony, ma przed sobą wielkie perspektywy. Inny niż ta gromada postrzelców, w których gustujesz.

I choć nigdy nie powiedzieli tego wprost, nie miała nawet cienia wątpliwości, że Ryszard Borzęcki odpowiadałby im jako zięć. Zdanie to zresztą podzielała Irena, która w przeciwieństwie do rodziców oznajmiła to siostrze bez ogródek.

– Chyba żartujesz – obruszyła się wtedy Eliza. – Równie dobrze mogłabym poślubić chodzący paragraf prawny albo ustawę sejmową. To największy nudziarz, jakiego znam.

– Niedawno za największego nudziarza uważałaś mojego Romana – przypomniała jej rezolutnie Irena. – W twoich oczach nudziarzem jest każdy, kto poważnie podchodzi do życia i nie ucieka od odpowiedzialności.

W pewnym sensie była to prawda, dlatego Eliza wolała nie podejmować dyskusji. Później zresztą poznała Olgierda i tym samym wszyscy jej dotychczasowi znajomi poszli w odstawkę.

Toteż gdy w maju zobaczyła Borzęckiego w salonie Chojewiczów, z trudem powstrzymała odruch, aby wyjść. Popatrzyła nawet podejrzliwie na Irenę, posądzając ją o nieczyny podstęp, a może nawet o znowę z rodzicami. Ryszard jednak, przywitawszy się z nią uprzejmie, nawet nie próbował się do niej zbliżyć. Zresztą zarówno jego, jak i zebranych gości zdecydowanie bardziej interesowały temat napiętej sytuacji politycznej i komentarze po ostatnim sejmowym wystąpieniu ministra Becka. Eliza początkowo słuchała tego jednym uchem. Polityką nie interesowała się nigdy, a w ostatnich miesiącach jej myśli zajęte były wyłącznie Olgierdem – dowiedziała się, że wyjechał na początku marca. Oczywiście echa odpowiedzi Becka pod adresem kanclerza Niemiec dotarły także i do niej. Nie sposób było nie zobaczyć entuzjastycznych nagłówek w gazetach i nie usłyszeć peanów na cześć ministra. Tylko nieliczni mieli odwagę, by wystąpić z bardziej powściągliwą oceną, a opinie negatywne wyrażano raczej w gronie zaufanych osób. W przeciwnym razie ryzykowano powszechnym ostracyzmem, a bywało jeszcze gorzej. Eliza nie miała na ten temat wyrobionego zdania, spostrzegła jednak, że Ryszard to zdanie nie tylko posiadał – co nie mogło oczywiście dziwić, jako że obracał się w gronie dyplomatów i polityków – ale jego ocena ministra Becka była daleka od entuzjazmu.

– Marszałek Piłsudski inaczej prowadził politykę – przekonywał, choć trud to był daremny, przynajmniej jeśli chodziło o większość gości. – Przestrzegał przed równoczesnym konfliktem z Rosją i Niemcami. Nie jesteśmy w stanie wygrać ewentualnej wojny na dwa fronty. Nie znajdziecie rządu w Europie, i nie tylko w Europie, który nie chciałby za wszelką cenę tego uniknąć. Oczywiście z wyjątkiem rządu polskiego.

– O czym pan mówi, młody człowieku?! – oburzył się radca Markiewicz. Przy czym określenie „młody człowieku” zostało dodatkowo zaakcentowane, jakby miało zaznaczyć niedoświadczenie Borzęckiego tudzież niedostatki w jego edukacji. – Nie ma mowy o wojnie na dwa fronty. Z Rosją może nie mamy szczególnie przyjaznych stosunków, ale przecież traktat o nieagresji znaczy więcej niż pańskie ponure prognozy. A niby to z jakiego powodu Rosja miałaby zaczynać z nami wojnę? Oznaczałoby to współdziałanie z Hitlerem, a Stalin z pewnością zdaje sobie sprawę z tego, że byłoby to błędem.

– Nie ręczyłbym za tok rozumowania Stalina – odparł natychmiast Ryszard.

– Z punktu widzenia Stalina to raczej kraje zachodnie są zagrożeniem dla Rosji, nie Niemcy – wtrącił nieśmiało ktoś siedzący z tyłu, ale zaraz zamilkł, toteż ani Ryszard, ani radca Markiewicz nie zdążyli go wypatrzeć.

– Nawet wojna z samymi Niemcami może być dla nas problemem – ponownie powiedział Ryszard.

– A to niby czemu? Skąd ten pesymizm u tak młodego człowieka? – W tonie radcy pojawiła się teraz pełna protekcji pobłażliwość. – Mamy porządnie przygotowaną armię. Czy pan nie słyszał...

– Tak – przerwał z ironią Borzęcki. – Gdzie się nie ruszę, słyszę o tekturowych czołgach niemieckiej armii. A przy okazji wezwania do obywatelskiej akcji zbiórek na dobrojenie naszego wojska.

Uwaga ta spowodowała nieprzyjazny pomruk w salonie. Kilka pań zgłosiło pomysł, by „pomówić o czymś innym, przyjemniejszym”, ale nie zdołały zyskać większości głosów.

– Nie jesteśmy sami. Mamy brytyjskie gwarancje i sojusz z Francją – zauważył spokojnie prezes Chojewicz, teść Ireny. – Słusznie pan stwierdził, że nikt na świecie nie pali się do prowadzenia wojny na dwa fronty. Hitler też tego nie zaryzykuje.

– Nie jestem pewien, czy Anglia jest przygotowana do wojny – zauważył ponuro jego syn Roman, który na ogół starał się nie zabierać głosu w politycznych dyskusjach.

– A to co znowu?! – zaperzył się na nowo Markiewicz.

– Anglia z pewnością nie chce być zaatakowana jako pierwsza. Może szuka ochotnika, który zamiast niej weźmie na siebie pierwsze uderzenie? Polska pasuje do tego jak ulał.

– Nawet jeśli... Gwarancja jest gwarancją. To świętość... niczym Biblia – odparł prezes. Mówił jednak spokojnie, bez tej zapalczowości, jaką słyszało się w głosie radcy. – Dotrzymanie tych gwarancji jest jak najbardziej w interesie Anglii – kontynuował. – Bo powtarzam: wojny na dwa fronty Niemcy nie mogliby wygrać. Zresztą przekonali się o tym podczas poprzedniej wojny. Hitler także to pamięta. I ogromna większość polityków europejskich.

– To tylko nadzieja – odezwał się po chwili Ryszard. – Tym samym przyszłość naszego państwa opiera się wyłącznie na nadziei, że Anglicy dotrzymają tych gwarancji, a Francja wypełni zobowiązania sojusznicze. Ale nie mieszałbym do tego Biblii. Z naszego punktu widzenia rozsądek nakazuje Anglikom, by w razie zaatakowania Polski przez Niemcy dotrzymać złożonych nam obietnic. Ale to nasz punkt widzenia. Oni tam, na swojej wyspie, kierują się własnym interesem narodowym i być może inaczej rozumieją rozsądek niż my. A we Francji po ostatniej wojnie mało kto się pali do następnej, zwłaszcza nie we własnej, przynajmniej na razie, obronie. Nie jesteśmy pępkiem świata, panowie. Musimy być przygotowani na to, by w razie potrzeby o swoje interesy i bezpieczeństwo zadbać sami. Dopóki nie jesteśmy w stanie tego dokonać i opieramy nasze szanse na niepewnych zobowiązaniach sojuszników, dopóty rzucanie Hitlerowi w twarz słów, że pokój za wszelką cenę nie jest bezcenny, bo bezcenny może być tylko honor, jest w wysokim stopniu nieroztropne.

Ponownie odpowiedział mu pomruk niezadowolenia, aczkolwiek nie tak stanowczy jak poprzednio.

– A zatem pana zdaniem należało zgodzić się na żądania niemieckie w sprawie Gdańska i korytarza? – wykrzyknął tym razem radca Bednarek. – Jak pan to sobie wyobraża? Polska miałaby prowadzić politykę na kolanach, być wasalem Niemiec? Już nie mówiąc o tym, że upadają wszelkie wartości, na których całe pokolenia w tym kraju były wychowane, skoro otwarcie można zaprzeczyć słowom, że honor jest bezcenny!

Ryszard odczekał, aż umilkną słowa uznania pod adresem pana Bednarka, i ponownie podjął rękawicę.

– Nie twierdzę, że trzeba ustępować Hitlerowi, ale można było jakoś spróbować grać na zwłokę.

– A jeśli nie było to już możliwe?!

– Czytałem kiedyś, że skuteczna polityka nie polega na beznadziejnym tłuczeniu głową w ścianę. Polityka to sztuka kompromisu, elastyczności, umiejętności wyczekania na tę właściwą okazję. A przede wszystkim chwywanie się każdej sposobności, by obronić własne państwo i naród przez biologicznym wyniszczeniem.

Patrząc na niego, Eliza odgadła, że był już zmęczony i tracił ochotę do dyskusji. Nie reagował na rejdach, jaki ponownie wzniciły jego słowa. Szczęśliwie do salonu weszła Irena, oznajmiając, że kolacja gotowa i zaprasza do jadalni.

– Przy stole jednak obowiązuje zakaz mówienia o polityce – dodała dowcipnie, a radczyni Markiewiczowa zaraz ją poparła, wtrącając jedną ze swoich słynnych porad zdrowotnych. Otóż jedzenie w trakcie zajadłej dyskusji, której towarzyszą nerwy, sprzyja powstawaniu wrzodów na żołądku.

Podczas kolacji, która – czy to pod wpływem uwagi pani domu i przestrogi radczyni, czy też z powodu wyostrzonych po dyskusji apetytów – przebiegła spokojnie, Eliza nigdzie nie wypatrzyła Borzęckiego. Żalowała, że wyszedł. Chyba po raz pierwszy zatęskniła za jego obecnością.

Natknęła się na niego na ulicy, gdy godzinę później także i ona opuściła mieszkanie siostry i szwagra. Stał zamyślony, wpatrzony gdzieś przed siebie. Gdyby minęła go bez słowa, z pewnością by jej nawet nie zauważył. Potem, wspominając tę sytuację, niejednokrotnie zastanawiała się, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby tak właśnie zrobiła. Gdyby minęła go bez słowa. I niekiedy żałowała, że tak się nie stało. Bo może gdyby do niego nie podeszła i nie zagadała, tylko poszła dalej, nie wyjechałaby kilka miesięcy później jako jego żona za granicę, tylko zostałaby w kraju i doczekała powrotu Olgierda. Nie pozwoliłaby mu pójść do wojska, nie zginąłby zaraz na początku września. Może by jednak byli razem, może udaloby się jeszcze wszystko odbudować, wyjaśnić. Może. Bo pewności przecież mieć nie mogła.

Jednak wtedy, w maju trzydziestego dziewiątego roku, nie była w stanie niczego takiego przewidzieć. Nie brała pod uwagę wojny, która sprawiła, że Olgierd zdecydował się porzucić studia we Francji, wrócić do kraju i wstąpić do wojska. Niewykluczone zatem, że nawet ona nie odwiedłaby go od tego pomysłu. Już raz przecież okazał, że potrafił być nieprzejednany wobec jej próśb i zakłęb.

W każdym razie w maju trzydziestego dziewiątego roku była pewna, że już go nie zobaczy. Nie wyobrażała sobie jednak powrotu do Radziejowa, w dalszym ciągu wyniośle odrzucała wszelkie rodzicielskie próby pojednania, mediacja, jakiej w tej sprawie podjęła się Irena, także była w tych warunkach skazana na niepowodzenie. Nie miała też głowy ani zapału do nauki, na zajęciach bywała od wielkiego dzwonu, mimo to ojciec w dalszym ciągu regularnie przysyłał jej pieniądze na studia i kosztowne utrzymanie w Warszawie. Uznała, że będzie z nich korzystać. Skoro ojciec uważał, że nie potrafiłaby się obyć bez wygód, jakie zapewniają solidne środki finansowe, niechże i tak będzie. Nie miała zamiaru udowadniać mu niczego innego. Rozbił jej związek z Olgierdem w przekonaniu, że i tak nie miałby szans z powodu jej przyzwyczajenia do życia w dostatku, więc niech teraz za to płaci.

Czasami jednak, w chwilach zwątpienia, przychodziło jej do głowy, że żyjąc w taki sposób, zmierzała donikąd. Czasu przecież zatrzymać nie mogła.

Wiedziona jakimś dla niej samej niezrozumiałym po latach impulsem, podeszła do Ryszarda. Może dlatego, że przez cały czas bytności w domu Chojewiczów – poza podaniem ręki na przywitanie – nie starał się znaleźć blisko niej. W ogóle nie zwracał na nią uwagi.

– Czy nie powinieneś wyrażać się bardziej entuzjastycznie o decyzji ministra Becka, skoro starasz się o pracę w placówce dyplomatycznej za granicą? – powiedziała to pół żartem, pół serio.

Na dźwięk jej głosu drgnął i natychmiast zgasił papierosa. Popatrzył na nią bez uśmiechu.

– To już koniec – oznajmił.

W pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że mówił o nich dwojgu. Tak jakby dawał jej do zrozumienia, że skoro kiedyś, w przeszłości, traktowała go „per noga”, a jeśli już zauważała jego istnienie, to jedynie po to, by z niego drwić, teraz nie widzi sensu, aby próbowała wkraść się w jego łaski albo przynajmniej zwrócić na siebie jego uwagę. Na samo przypuszczenie, że mógłby tak pomyśleć, poczuła gorąco w całym ciele. Dziękowała Bogu, że było już ciemno i Ryszard nie mógł widzieć rumieńca wstydu i gniewu na jej twarzy. Ale zaraz potem się opanowała. Przecież nie może być końca, jeśli nie było żadnego początku. Zatem albo Ryszard oszalał, albo miał na myśli coś zupełnie innego.

– Koniec? – powtórzyła na wszelki wypadek.

Skinął głową.

– Tak. To już ostatnie tygodnie naszego świata, zwyczajów, a może i cywilizacji.

Przez moment patrzyła na niego osłupiała. Wiedziała, że nie żartował. W przeciwieństwie do większości jej znajomych Ryszard był przeważnie zawsze poważny. Pewnie dlatego nie czuł się dobrze w towarzystwie, w którym rozmawiano o wszystkim i o niczym, a żarty i kpiny były ma porządku dziennym. Pewnie dlatego on sam był ich częstym celem. Nie miała wątpliwości, że nie odwrócił się całkowicie od tego środowiska tylko ze względu na nią. Bo tylko wtedy miał w ogóle okazję ją spotkać, popatrzeć na nią, a czasem nawet zamienić z nią kilka słów. Tamten etap w jej życiu należał już do przeszłości. Odkąd związała się z Olgierdem, nie czuła już potrzeby przebywania z ludźmi, którzy poza pomysłami na wesołe, niekiedy szalone zabawy nie mieli jej nic innego do zaoferowania. W pewnym sensie wyrosła z nich, sama to czuła, i nawet po odejściu Olgierda nie miała ochoty na odnawianie

kontaktów z nimi. Pewnie to był właśnie powód, dla którego tym razem nie skwitowała słów Ryszarda jakąś pełną złośliwej ironii kpina, jak to kiedyś miała w zwyczaju, a zamiast tego przyglądała mu się z uwagą i ze skupieniem. W dodatku po dłuższej chwili milczenia dotarło do niej, że chyba go rozumie.

– Myślisz, że wybuchnie wojna? – spytała cicho.

– Oczywiście, że wybuchnie – odparł. – Po tej wymianie dyplomatycznych ciosów, dokonanych zresztą publicznie, na oczach całego świata, nie ma już odwrotu od wojny. Zmierzamy wszyscy prostą drogą ku katastrofie. To jest jak walec, który, do tej pory leniwie popychany, trafił wreszcie na równię pochyłą.

Poczuła zimny dreszcz na plecach, co jeszcze do tej pory nie miało miejsca, gdy słuchała rozmów o polityce. Inna sprawa, że do tej pory niespecjalnie się nimi interesowała. Niemniej coś tam obilo się nawet o jej uszy, a przeglądając gazety, nie sposób było nie spostrzec niektórych nagłówków, choć w treść artykułów się nie wgłębiała. Postanowiła zatem wykorzystać te skrawki wiedzy na temat ostatnich wydarzeń, jakimi dysponowała. I oczywiście przy okazji zupełnie niepotrzebnie powtórzyła usłyszane w domu Ireny opinie.

– Przecież to nie musi być katastrofa, nawet jeśli ta wojna rzeczywiście wybuchnie. Dlaczego mielibyśmy ją przegrać? Czytałam, że większość niemieckiego uzbrojenia to atrapy na pokaz, aby postraszyć Europę. Poza tym Polska nie jest sama. Mamy gwarancje sojusznicze. Hitler nie zaryzykuje wojny na dwa fronty. Nieraz przecież mówił, że Niemcy przegrały poprzednią wojnę właśnie z powodu walki na dwa fronty.

Gdy to powiedziała, od razu poczuła się pewniej. Nie tylko zresztą z powodu przedstawienia optymistycznej wizji zdarzeń. Także dlatego, że popisała się swoją wiedzą i zrobiła to – wedle własnej oceny – wyjątkowo dobrze. Mimo że była tak mało skrupulatna w przyswajaniu podobnych informacji. Dlatego ze zdumieniem stwierdziła, że na Ryszardzie jej słowa nie zrobiły wrażenia. Patrzył na nią z nieskrywaną pobłażliwością, by nie rzec: z politowaniem, co do tej pory, przynajmniej w odniesieniu do niej, nigdy mu się nie zdarzało.

– Ale widzę, że ty jesteś innego zdania – skwitowała z urazą swoje spostrzeżenie.

– Dostaniemy po dupie.

Ponownie osłupiała. Nie tylko dlatego, że wyraził na głos opinię uznawaną w powszechnym przekonaniu za herezję. Także dlatego, że wyraził to w taki sposób, zupełnie do niego niepodobny. Nigdy dotąd nie posądzała go o podobne słownictwo. Gdyby jej ktoś o tym opowiedział, nie uwierzyłaby. A jednak...

– Tak to wyrażają niektórzy eksperci. – Wreszcie się lekko uśmiechnął na widok jej wyrazu twarzy.

– Przecież to herezja. – Sama nie wiedziała, czemu odwzajemniła ten uśmiech.

– Jeszcze jaka! Ale chyba mnie nie wydasz? – Teraz już oczywiście otwarcie żartował, co przyjęła z nieskrywaną ulgą. Poza tym po raz pierwszy usłyszała, że potrafił w sposób naturalny mówić wesołym tonem. Wcześniej czasami wysiłał się na taki ton w obecności jej rodziców, którzy potem nigdy nie szczędzili pochwał pod jego adresem. Tylko Eliza odgadywała, że próbując dobrze przed nimi wypaść pod względem obycia towarzyskiego, Ryszard nie czuł się w tej roli komfortowo. Teraz, gdy stali na chodniku obok zapalanej ulicznej latarni, zachowywał się całkiem inaczej – w sposób jak najbardziej naturalny, niewymuszony okolicznościami.

– Siostra i szwagier pozwolili, abys po zmroku wracała sama do domu? – zagadnął po chwili.

– Przekonałam ich, że pojedę taksówką – odparła, dostosowując się do jego tonu.

– Uwierzili ci?

– Nie dałam im czasu na refleksję. Powiedziałam, że taksówkarz już na mnie czeka.

Próbowała się roześmiać, ale dała temu spokój. Głośny śmiech mógłby wypaść zbyt afektownie, a Ryszard już nieraz w przeszłości miał okazję, by coś takiego słyszeć w jej wykonaniu. Dlatego teraz nie miała ochoty przypominać mu podobnych sytuacji.

– Poczekaj chwilę, znajdę dla ciebie taksówkę – zaproponował wesoło, bez dawnej nieśmiałości.

– Nie, nie chcę – zaprotestowała, a napotkawszy jego wzrok, dodała już łagodniej: – Mam ochotę



przejsć się pieszo.

– Czy to... roztropne o tej porze?

– Dlaczego nie? – odparła z dawną brawurą. – Jest ciepło, świecą się latarnie i neony, nie brakuje ludzi na ulicach...

– Tak, ale... nie wszyscy ci ludzie mogą mieć dobre zamiary. – Zawahał się i znowu popatrzył na nią z taką nieśmiałością i obawą jak kiedyś. – Pozwól, że cię odprowadzę. Nie zrozum mnie źle, nie chcę być nachalny, ale... Cóż, nie zaznam spokoju, dopóki nie zobaczę, że wchodzisz bezpiecznie do swojej kamienicy.

Już to jego spojrzenie ją zirytowało, o słowach nie wspominając. W pierwszej chwili miała odpowiedzieć mu tak jak kiedyś: z bezlitosną kpina, co myśli o podobnej, denerwującej ją opiekuńczości i trosce, ale powstrzymało ją spostrzeżenie, że to przecież ona pierwsza do niego podeszła. Przez cały wieczór Ryszard w ogóle się jej nie narzucał, nie zwracał na nią uwagi.

Dlatego postanowiła, że jednak będzie dla niego miła.

– Przynajmniej taka byłaby z tego korzyść, że niepokoiłbyś się w innej sprawie niż nadciągająca katastrofa wojenna – zażartowała.

– No, fakt. – Zrobił komiczną minę. – O tym nie pomyślałem.

I wtedy podjęła decyzję.

– Ale wiesz co? Chętnie się przejdę w twoim towarzystwie. Chyba mam ochotę pogadać. Tylko jeden warunek – nie pytaj, co u mnie. Zresztą pewnie już wiesz. Cała Warszawa wie.

– Dobrze. – Wyraźnie się ucieszył, choć nie była pewna, czy z powodu tego jej warunku, czy samej możliwości spędzenia z nią większej ilości czasu. – Opowiem ci o moich planach, ale także stawiam warunek: jeśli zacznę przynudzać, powiedz o tym otwarcie.

– Masz to jak w banku. – Tym razem roześmiała się, zanim zdążyła się powstrzymać. A jej śmiech wcale nie zabrzmiał sztucznie, jak się tego wcześniej obawiała.

Ryszard powiedział jej wtedy o swoich planach pracy w palcówce dyplomatycznej, co akurat nie było niczym dla niej nowym, bo nieraz, chcąc nie chcąc, o tym słyszała. Tyle że tym razem mówił o bardzo już konkretnych zabiegach i krokach. Choć z drugiej strony nie był pewien, czy gwałtownie pogarszająca się sytuacja międzynarodowa nie przyczyni się do pogrzebienia tych marzeń.

– Zwłaszcza jeśli nadal będziesz wygłaszać swoje poglądy na temat wystąpienia ministra spraw zagranicznych i polskich szans w nadchodzącej wojnie. – Chciała zażartować, ale niechcący zabrzmiało to całkiem serio.

Zapatrzył się w pogodne niebo i cicho westchnął.

– Wiesz co? – odezwał się po chwili. – Mam takie głupie przeczucie, że jeśli nie dostanę tej pracy do lipca, czy też najpóźniej do sierpnia i do tego czasu stąd nie wyjadę... to później z pewnością nic z tego nie wyjdzie.

W połowie sierpnia oboje wyjechali do Londynu. Tydzień wcześniej wzięli ślub.

\*

Eliza po raz pierwszy od kilku lat patrzyła na zdjęcie byłego męża, które odnalazła w albumie, dziwiąc się przy okazji, że go nie wyrzuciła po rozwodzie razem z innymi szpargałami przypominającymi Ryszarda. Miała wrażenie, że odzywają się w niej wreszcie dobre uczucia wobec niego. Jak choćby to wspomnienie, gdy po raz pierwszy zobaczyła w nim człowieka, który mógłby ją szczerze zainteresować. I gdy po raz kolejny mogła przekonać się o jego bezwarunkowym przywiązaniu. Przecież zawsze wiedziała, co do niej czuł. I wtedy, zanim zakochała się bez pamięci w Olgierdzie, i potem, gdy wreszcie zdobył się na odwagę i zaproponował jej małżeństwo. Wreszcie wtedy, gdy przez kolejne, wspólnie spędzone lata, dzień po dniu, poddawała jego miłość coraz większym próbom. Aż w końcu jego cierpliwość się wyczerpała.

– Przepraszam cię – szepnęła, dotykając delikatnie jego twarzy na fotografii, jakby ten pieszczotliwy gest mógł zrekompensować i wynagrodzić brak czułości z jej strony, gdy byli jeszcze razem. No i oczywiście było już na to za późno. Ryszard już tego od niej nie potrzebował. Odnalazł

szczęście, którego przy niej nie zaznał. Mimo to powtarzała: – Przepraszam za tamto... za wszystko. Pogubiłam się i niestety przy tej okazji także tobie niepotrzebnie zabrałam kilkanaście lat życia. Nie ma na to usprawiedliwienia, bo powinnam była wiedzieć...

Powinna była przecież wiedzieć, że nie można stworzyć szczęśliwego związku z drugim człowiekiem, jeśli serce i myśli ma się wypełnione kimś zupełnie innym. Zwłaszcza gdy towarzyszą temu pełne udręki pytania o przeszłość.

– Mam cię! Znów cię przyłapałem.

– Na czym, tato?

– Znowu bacznie mnie obserwujesz, gdy wydaje ci się, że tego nie widzę.

Ula zaczerwieniła się i przytuliła mocniej do ramienia ojca.

– To dlatego, że wciąż nie wierzę, że cię widzę – odparła, co jednak nie do końca było prawdą, bo przecież przebywali ze sobą niemal non stop od dwóch dni, to znaczy odkąd spotkali się w Rzymie. Przez ten czas zdążyła już uwierzyć, że ojciec naprawdę jest blisko niej. Trudniej jej było uwierzyć, gdy dwa miesiące temu, w lutym, Ryszard Borzęcki napisał do niej, że w kwietniu przyjeżdża do Rzymu w sprawach służbowych i czy wobec tego udałoby jej się uszczknąć ze szkolnego kalendarza trzy, cztery dni bezpośrednio po wielkanocnej przerwie świątecznej i także przybyć do Wiecznego Miasta.

*Wiem, że to ostatni rok w szkole i w związku z tym zależy Ci na jak najlepszych wynikach – pisał – dlatego mam wyrzuty sumienia, że namawiam Cię do wagarów, ale tak dawno się nie widzieliśmy, a okazja jest naprawdę wyjątkowa. Po raz pierwszy od dłuższego czasu znajdziemy się po tej samej stronie Atlantyku. Z mojej perspektywy Rzym leży od Londynu o rzut beretem. Nie wiem, kiedy podobna sytuacja się powtórzy. Porozmawiaj o tym z mamą. Ja także do niej napiszę.*

Ku jej zdumieniu matka nie protestowała i nie robiła zgryźliwych uwag na temat zaniedbywania szkoły, choć oczywiście na entuzjastyczne poparcie z jej strony także nie należało liczyć.

– Mam nadzieję, że nadrobisz szkolne zaległości – westchnęła tylko.

– Nadrobię, obiecuję. Nie będziesz się za mnie wstydziła – zapewniła ją z wdzięcznością Ula i byłaby ucałowała matkę, ale ponieważ miała wątpliwości, czy tamta sobie tego życzyła, na wszelki wypadek ograniczyła się do pogłaskania jej po rękę.

Od tej pory liczyła dni do spotkania z ojcem. Za przysłane przez niego pieniądze matka kupiła jej bilet lotniczy do Rzymu i teraz trzeba było tylko cierpliwie doczekać terminu wylotu, co nie było proste, choć równocześnie nie mogła zaniedbać przygotowań do kolejnych testów i sprawdzianów.

Ojciec znalazł się w Rzymie dzień wcześniej i czekał na nią na lotnisku w Fiumicino. Widziała go po raz pierwszy od ponad dwóch lat i od razu stwierdziła, że zmienił się na korzyść, pod każdym względem.

– Nikt nie ma tak przystojnego ojca jak ja – powiedziała mu potem, co przyjął z rozbawieniem, ale i zadowoleniem.

– Wyrosłaś na najpiękniejszą dziewczynę, jaką widziałem w życiu – zrewanżował się jej.

– Dobrze, dajmy spokój temu słodzeniu sobie nawzajem! – Skrzywiła się w udanym grymasie i zaraz dodała, że nie może uwierzyć, że go widzi. Że to się dzieje naprawdę, a nie jest złudzeniem.

Potem powtórzyła to jeszcze raz albo dwa razy, bo tylko na takie wyjaśnienie potrafiła się zdobyć, gdy wylapywał jej pełne podziwu spojrzenia. Wyglądał dziesięć lat młodziej, niż wskazywałby jego wiek, młodziej niż Eliza. Był świetnie ubrany, z zapalem odkrywał przed nią skarby Wiecznego Miasta. To nie był jego pierwszy pobyt w Rzymie, odwiedził go jeszcze przed wojną, lecz – jak twierdził – teraz dostrzega w nim wiele nowych dowodów na twórczy geniusz człowieka, które wtedy, przed laty, mu umknęły. Co pewien czas powtarzał, co jako przyszły historyk powinna zobaczyć, na co zwrócić uwagę, niekiedy znów pytał, z czym jako przyszłemu historykowi kojarzy jej się to czy tamto.

Kiwała głową na znak potwierdzenia, choć nie zawsze była w stanie nadążyć za tempem jego „wykładów”, za tą kopalnią wiedzy, jaką jej, nie po raz pierwszy zresztą w życiu, zaprezentował.

– Twój ojciec to chodząca encyklopedia – powiedziała kiedyś, jeszcze przed rozwodem, matka. Słowom tym nieodmiennie towarzyszył wówczas pełen goryczy grymas. – No cóż, skończył studia z wyróżnieniem. Już wtedy nazywano go prymusikiem.

Ula słuchała tych słów z przykrością, jak zresztą większości komentarzy Elizy na temat ojca, lecz była przekonana, że gorycz matki w tym wypadku jest spowodowana faktem, że ona sama nie mogła pochwalić się uniwersyteckim dyplomem i pewnie nie najlepiej się z tym czuła. Odważyła się zrobić

uwagę, że przecież wielu młodym ludziom to się wtedy nie udało. Przecież wybuchła wojna, a niemiecka okupacja oznaczała zamknięcie wyższych uczelni.

– I tak nie ukończyłabym uniwersytetu – skwitowała jej słowa matka. – Przerwałam studia jeszcze przed wybuchem wojny i wyjechałam z twoim ojcem do Londynu. Nie, on tego ode mnie nie wymagał – dodała, a spostrzegłszy wyraz przykrości na twarzy córki, zdobyła się na uczciwą uwagę pod adresem męża: – To raczej ja nie miałam głowy i zapału do ślęczenia nad książkami, a na wykładach nudziłam się jak mops. W ostatnich miesiącach mojego „studiowania” rzadko widywano mnie na uczelni. Moja matka załamywała nade mną ręce i nie szczędziła mi połajanek przy każdej nadarzającej się okazji, ale ojciec mnie bronił. Uważał, że kiedy się wyszumię, będą ze mnie ludzie. Oczywiście się mylił, ale... Cóż, nietrafne decyzje i uczynki były jego specjalnością.

To właśnie takie wspomnienia nie pozwalały teraz Uli w pełni skupić uwagi na urokach Rzymu. Patrząc ukradkiem na ojca, musiała przecież przyznać, że gdy mieszkali jeszcze razem we troje, w Londynie, nawet w jednej czwartej nie miał w sobie tego wigoru, radości życia, entuzjazmu i młodzieńczości. Pomimo że był wówczas młodszy niż obecnie, w ostatnich latach małżeństwa wyglądał i zachowywał się jak

rozczarowany życiem, zrezygnowany, przegrany człowiek w średnim wieku. Tak było, dopóki nie poznał Carol.

– Wciąż nie możesz uwierzyć, że jesteśmy razem? – Żartobliwy ton głosu ojca wybudził ją z zamyślenia. – Bo znowu masz nie do końca przytomny wyraz twarzy.

Tym razem jednak oprócz pogodnego tonu usłyszała wyraźną troskę. Potrasnęła głową i rozejrzała się wokół. Z Campo di Fiori, przeszli już na Piazza Navona i właśnie stali przed kościołem Świętej Agnieszki.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć na pytanie ojca, więc uśmiechnęła się trochę bezradnie.

– Może usiądziemy gdzieś na chwilę – zaproponowała nie dlatego, że czuła się zmęczona, ale zdając sobie sprawę, że powinna jakoś odnieść się do uwagi ojca.

– Myślałem, że wejdziemy najpierw do kościoła, ale dobrze... skoro wolisz teraz odpocząć, możemy przycupnąć w tamtej knajpce. Jesteś głodna?

– Napiłabym się czegoś zimnego.

Usiedli przy jednym ze stolików w nasłonecznionym miejscu. Wszystkie, które choćby częściowo stały w cieniu, były już zajęte.

– Wytrzymasz na tym słońcu? W kwietniu w tym kraju mocno już przygrzewa – zafrasował się Ryszard.

– Bez obawy, tato. – Znowu się uśmiechnęła. – Uwielbiam słońce. Pogoda w Londynie ostatnio nie rozpieszczała. Zresztą chyba jeszcze pamiętasz, jak z tym bywało...

Przerwała zmieszana, przeklinając w duchu własną bezmyślność. Ojciec mógł ją przecież źle zrozumieć. Mógł pomyśleć, że robiła jakiś przytyk do przeszłości, do tego, co się stało z ich rodziną. I że był to przytyk pod jego adresem.

Nawet jeśli istotnie tak to odebrał, niczego nie dał po sobie poznać. Delikatnie odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy. W tej jednej chwili przypomniała sobie, jak przychodził do niej przed snem, by jej poczytać lub jedynie życzyć dobrej nocy, i wtedy także czasami tym samym gestem odgarniał jej włosy, jakby się bał, że mogą jej wejść do oczu.

– Wciąż na ciebie patrzę i widzę, jaki jesteś teraz szczęśliwy – powiedziała, czując, że to właśnie jest ten moment, aby mu to wreszcie wyznać. I znowu, w obawie, by nie zrozumiał tego jako pretensji pod swoim adresem, pospiesznie dodała: – Cieszę się z tego, naprawdę.

– No cóż... – Stropił się, najwyraźniej zaskoczony. – Nie mogę zaprzeczyć.

– To zasługa Carol, przecież wiem.

Jeszcze bardziej się zmieszał, co ją nawet trochę rozbawiło. Położyła swoje dłonie na jego rękach i przyjrzała się zakłopotanej twarzy.

– Spokojnie, tato, jestem już dużą dziewczynką. Dorosłam i wiele przez ten czas zrozumiałam. I powtarzam, naprawdę się cieszę, że jesteś teraz szczęśliwy.

Westchnął, nie do końca jeszcze przekonany co do jej deklaracji. Uśmiechnął się jednak, choć niewyraźnie.

– Wiele bym dał, abym mógł to samo powiedzieć o tobie.

– Nie narzekam. Jest nieźle.

– Nieźle? No to przyznaj się swojemu staremu: czyja to zasługa... w twoim przypadku?

– Próbujesz odbijać piłeczkę, tato, ale źle trafiłeś – roześmiała się.

– Nie wierzę, aby taka piękna dziewczyna nie wzbudzała niczyjego zainteresowania.

– Nic mnie to nie obchodzi. Chłopcy są tacy dziecinni, a w każdym razie większość z nich zachowuje się zupełnie niepoważnie. Przynajmniej ci, których ja znam.

Zaraz, jak na zawołanie, przypomniała sobie obu kuzynów z Polski, do których powyższa opinia w ogóle nie pasowała. No ale – uspokoiła sumienie – Andrzej i Jacek to co innego. To cioteczni bracia, a pytanie ojca dotyczyło innych kwestii.

– Gdy tak mówisz, przypominasz matkę, kiedy była w twoim wieku – odparł swobodnym tonem, wprawiając ją tym samym w chwilowe osłupienie.

Nie spodziewała się po ojcu tego typu komentarza już choćby dlatego, że ani razu, odkąd zobaczyli się na lotnisku, nie zapytał o Elizę. Czasami – choć bardzo sporadycznie – wspominał o niej w listach, ale zawsze jedynie w kontekście jakiejś konkretnej sprawy do załatwienia, jak choćby ostatnio, gdy polecił córce, aby poprosiła matkę o zgodę na wyjazd do Rzymu. O żadnych, bodaj najmniej istotnych odniesieniach natury osobistej nie było mowy, odkąd wyprowadził się z domu. Do dzisiaj. Do teraz. Dlatego początkowo Ula nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć, niemniej poczuła przyspieszone bicie serca, bo przecież tak zupełnie niespodziewanie okazało się, że ojciec z własnej woli, w ogóle do tego nieprzynaglany, wyszedł naprzeciw jej oczekiwaniom, by pomówić o sprawach, o które od kilku dni chciała go zapytać. Jednak dotąd nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Tymczasem on zrobił to jako pierwszy.

Do ich stolika podszedł kelner z zamówionymi lodami i zimnymi napojami, dzięki czemu zyskała na czasie i pobierała myśli.

– Zatem jak to się stało, że postanowiłeś się z nią ożenić? – spytała pozornie niezobowiązującym tonem, gdy zostali już sami przy stoliku. – To znaczy... mam na myśli mamę.

– Dlaczego pytasz?

– Powiedzmy, że zawsze mnie to interesowało, a żadne z was nie puściło na ten temat pary z ust. Przestaliście być małżeństwem, ale nadal jesteście moimi rodzicami. Wszystko, co was dotyczy, jest dla mnie ważne. – Ponownie uściśnęła jego dłoń. – Czy moje pytanie w jakiś sposób cię zabolalo? Bo jeśli tak, nie musisz odpowiadać.

– Nie, wszystko w porządku. Teraz to już nie boli. Co innego, gdybyś mnie o to zapytała w tych ostatnich tygodniach i dniach, gdy jeszcze... mieszkaliśmy pod jednym dachem. – Odwzajemnił jej uścisk, ale potem delikatnie uwolnił swoją dłoń i sięgnął po papierosa. Nie przyszło mu do głowy, że zapaliłaby chętnie razem z nim, bo ukradkiem popalała już od pewnego czasu. Ciekawe, co by zrobił, gdyby mu o tym powiedziała. Na razie wołała nie zmieniać tematu.

– No to dlaczego chciałeś się z nią ożenić? Czym cię tak ujęła? Jej siostra i szwagier opisywali ją jako pełną temperamentu, wesołą, ładną dziewczynę. Otoczoną rojem przyjaciół. To ci się w niej tak podobało? – Włożyła niemało wysiłku, aby w jej głosie nie odezwało się nic, co mogłoby zabrzmieć jak ironia.

Ryszard przez chwilę w milczeniu obracał w dłoni pustą szklanekę, zanim ponownie napełnił ją sokiem pomarańczowym.

– Pełna temperamentu i wesoła? – powtórzył z lekkim zdumieniem i potrząsnął głową. – To ma być wszystko? Cały opis? Była najbardziej żywiołową dziewczyną, jaką wtedy znałem. Nie liczyła się z konwenansami ani z tym, co o niej powiedzą. Pośród sztywnych, grzecznych, nudnych salonowych lalek, jakie dane mi było spotykać, najpierw jeszcze w domu rodziców, a potem w domach różnych zaprzyjaźnionych osób, była jak silny i ożywczy powiew wiatru, który rozpędza duchotę. Ale tych pozerów, którzy otaczali ją ciasnym kręgiem, nie nazwałbym jej przyjaciółmi. Już wtedy przypominali

mi bardziej cyrkowych klaunów, bez obrazy dla tych ostatnich, niż autentycznie interesujących ludzi. Jedynie takich udawali, byli żalonymi snobami, którzy polowali na odpowiednią ofiarę, by bawić się, jeść i pić na jej koszt, a niewykluczone, że nie zawahaliby się tuczyć jej krwią, gdyby ktoś ich do tego namówił, zmusił lub sami nabraliby na to ochoty. Niestety, Eliza była zbyt młoda i naiwna, by poznać się na tych ludziach, na tych... przyjaciołach. Pewnie dlatego, że zapewniali jej dobrą rozrywkę. Nie mogłem jej ostrzec, i tak by nie posłuchała. Zaledwie mnie tolerowała, zresztą tylko od czasu do czasu, nie za często. Bardziej dziwiłem się jej rodzicom, że pozwalali tym ludziom przyjeżdżać do Radziejowa i zamieniać wówczas ich dom w pożalowania godne targowisko próżności.

– Czy ty czasem nie przesadzasz? – żachnęła się.

Wzmianka dotycząca dziadków zabrzmiała w jej uszach wyjątkowo nieprzyjemnie. W dodatku kompletnie nie pasowała do tej Adrianny Rawickiej, którą miała okazję poznać. Ryszard natychmiast zrozumiał istotę jej obiekcji, bo uniósł dłoń w przeproszającym geście.

– Pewnie masz rację. Ale wtedy tak właśnie myślałem.

Pożałowała swojej niewczesnej uwagi. Powinna była pozwolić mu mówić o tamtych sprawach w sposób zupełnie nieskrępowany, szczerze. Chciała przecież poznać jego własną wersję wydarzeń. Tymczasem sprawiła, że ojciec ponownie zamknął się w swojej skorupie i zapewne teraz będzie uważał na każde swoje słowo. Do licha, nie o to jej chodziło.

– Nie powinnam się była wtrącać – rzekła ze skrucą. – Po prostu to, co powiedziałaś, wydało mi się takie... sama nie wiem... Ale ty przecież patrzyłeś na to własnymi oczami. To ty wiesz, jak było. Nie ja.

– To nie takie proste. – Ponownie zapatrzył się w szklanę, jakby dostrzegł w niej coś niezwykle frapującego. – Nie byłem obiektywny. Powodowało mną rozgoryczenie, przeżywałem wewnętrzne męczarnie i pewnie podświadomie szukałem wentylu dla ujścia mojej frustracji. Wiesz co... chodźmy dalej.

Godzinę później dotarli na Zatybrze i wdrapali się po schodach na jedną z jego ulic.

– Wieczne Miasto – szepnął z zachwytem Ryszard, wskazując na rozciągający się przed nimi imponujący widok kopuł, wież i dachów kamienic. Siedząc na stopniach kamiennych schodów, podziwiali niczym z tarasu widokowego rozpościerający się poniżej Rzym. – Miasto, które umiejętnie wykorzystywało swoje położenie, by z małej osady zbudować potęgę, przed którą drżał cały ówczesny świat. Miasto świadomych swego znaczenia obywateli, którzy zbudowali funkcjonującą przez długi czas republikę i stworzyli reguły prawne, będące do dziś filarami naszej zachodniej cywilizacji.

– Ostatecznie jednak zrezygnowali z tej zachwalanej przez ciebie republiki. – Ula uśmiechnęła się. – Postawili na silne rządy jednostek, a potem jednego władcy, który zaprowadził porządek w państwie, dając tysiącom ludzi wymarzony pokój i poczucie stabilizacji.

– Swoich największych podbojów Rzymianie dokonali za republiki.

– To chyba dość otwarta kwestia.

– Raczej fakt, mój przyszły zawodowy historyku.

– Cesarstwo bardziej odpowiadało ludowi rzymskiemu. Obrońcami zachwalanej przez ciebie republiki były elity, które czerpały profity z jej późniejszej nieudolności i bałaganu. Nie zaprzeczysz, że Cesarstwo wprowadziło porządek, znacznie lepiej poradziło sobie z przestępczością i opanowało korupcję, zwłaszcza jeśli chodziło o zarządzanie prowincjami.

– Co nie zmienia faktu, że republika, czy też szerzej rzecz ujmując, demokracja, ma swoje niezaprzeczalne zalety, a wartości, które głoszą...

– Daj spokój, tato! Co komu po wartościach, jeśli nie czuje się bezpiecznie, bo demokratyczne rządy nie potrafią sobie poradzić z przestępczością? Co komu po wolności słowa, jeśli nie ma pracy, a demokratyczne rządy, zasłaniając się niezrozumiałą dla większości ludzi zasadą liberalizmu ekonomicznego, w efekcie działają na korzyść finansowych krezusów?

– Po tym, co mówisz, łatwo zrozumieć poparcie, jakim cieszyli się Hitler i Mussolini w swoich państwach.

– To żadne odkrycie. Obiecywali ludziom lepsze warunki życia, podczas gdy obrońcy

demokracji, wyśpiewując swoje teorie na temat jej wartości, w istocie nie robili nic, albo nie potrafili zrobić nic, by położyć kres patologiom życia ekonomicznego i społecznego. Tym samym popychali rzesze zniechęconych, zmęczonych ową nieudolną demokracją ludzi w kierunku stabilnych rządów silnej ręki. Nie zapominaj, że dopiero Mussolini poradził sobie z mafią i bezrobociem. A Hitler...

– Ejże! – pogroził jej żartobliwie, ale także jak najbardziej ostrzegawczo. – Chyba nie zamierzasz wygłaszać peanów na cześć Hitlera?

– Nic podobnego. Staram się tylko zrozumieć motywów ludzi, którzy udzielili mu swego poparcia.

– Uważaj na podobne poglądy. Przestrzegalbym też przed publicznym ich głoszeniem.

– Ach tak? – zaperzyła się. – I to nazywasz wolnością słowa, myśli i przekonań? Tym wielkim skarbem demokracji? Okazuje się zatem, że istnieją takie słowa, których wypowiadać nie wolno.

– Nie zapominaj, że to totalitaryzmy doprowadziły do ostatniej wojny i do śmierci kilkudziesięciu milionów ludzi na świecie – powiedział cicho. – Wojna skończyła się kilkanaście lat temu. Wciąż jest jak świeża rana na ciele wielu społeczeństw i narodów. Większość żyjących ciągle ją pamięta. To nie demokratyczne państwa odpowiadają za tę tragedię.

– Ale jej nie zapobiegły. Choć mogły. I to na całe lata przed wybuchem wojny.

Nieopodal schodków, na których siedzieli, zatrzymała się para młodych ludzi. Przez krótką chwilę ze śmiechem wymieniali po włosku jakieś uwagi. Przy czym nie starali się zachowywać cicho, niewykluczone, że zastanawiali się, czy pozostać w tym miejscu, czy jednak iść dalej – tak przynajmniej można było wywnioskować z ich gestów, choć oczywiście ani Ula, ani jej ojciec nie mogli być tego pewni. Jak by nie było, zgodnie odetchnęli z ulgą, gdy młodzi Włosi jednak odeszli i zapadła upragniona cisza. Borzący, choć żadne z nich nie wyznało tego na głos, woleli, przynajmniej na razie, pozostać jedynie w swoim towarzystwie.

– Daleko odbieśliśmy od rozważań o starożytnym Rzymie – wtrącił po chwili milczenia Ryszard.

– Nie tak daleko. Rozmawiamy o motywach wyboru takiego, a nie innego sposobu myślenia. O następstwach tego, że zadufane w sobie intelektualne elity, mające usta pełne pięknych frazesów o republikańskich czy też demokratycznych wartościach, zapominają o potrzebach milionów zwykłych, szarych ludzi, którzy tym samym udzielają poparcia systemom zapewniającym im bardziej godziwy byt. Pewne procesy historyczne i społeczne po prostu się powtarzają. Tak było w czasach upadającej republiki rzymskiej i taki sam ciąg wydarzeń miał miejsce stosunkowo niedawno, bo w dwudziestym wieku naszej ery. Czemu politycy i prawodawcy w dalszym ciągu nie wyciągają z tego wniosków?

– Czyli lud syty to lud zadowolony? Innymi słowy należy dać ludowi „chleba i igrzysk” i od razu wszystko gra? – Na jego wargach zadrgał tym razem ironiczny uśmiešek. – Jesteś tego pewna?

– Nie chciałabym tak upraszczać...

– Mam taką nadzieję. – Teraz ojciec spojrzał jej prosto w oczy. Był bardzo poważny. – Kilka miesięcy temu byłaś w kraju, gdzie rządy sprawowane są w sposób totalitarny, choć pewnie niektórzy by uznali, że to zbyt daleko idąca ocena. Tak czy inaczej, nie ma mowy o wolnościach obywatelskich w zachodnioeuropejskim rozumieniu. Czy w zamian za to ludzie cieszą się w Polsce wysokim poziomem życia, mają poczucie bezpieczeństwa? Poprawił im się byt w stosunku do czasów przedwojennych?

– Niewykluczone, że niektórym tak – odparła odważnie. Nie wytrzymała jednak jego spojrzenia. – Innym... wręcz przeciwnie – dodała.

– A ogromna większość stoi w kilometrowych kolejkach, by kupić najbardziej niezbędne artykuły żywnościowe, o zaspokojeniu innych dóbr konsumpcyjnych nie wspominając. Jedynie nieliczni szczęśliwcy cieszą się nie własnym wprawdzie, niemniej osobnym lokalem mieszkaniowym przydzielonym na mocy urzędniczej decyzji. Mieszkającym w Polsce ludziom co dzień brakuje wygód tak oczywistych dla nas, żyjących tu, na Zachodzie. Wszechobecna jest za to cenzura, do której zresztą większość Polaków już przywykła. A ponieważ dwa, trzy lata temu komuniści odpuścili sobie najbardziej krwawy etap terroru, większość ludzi pogodziła się w końcu z realiami socjalizmu o podobno bardziej ludzkiej twarzy, wychodząc z założenia, że skoro nie ma wyjścia, to nie pozostaje im nic innego, jak spróbować tak żyć. I wielu nawet dostrzeże w tym korzyści, szanse dla siebie. Sama się przekonasz, gdy tam znowu za kilka lat pojedziesz. Zresztą nie będę cię tym zanudzał, przecież już tam byłaś, a ja

jedynie słyszałem relacje z drugiej ręki od osób, którym udało się stamtąd wyrwać. Nadal uważasz, że totalitaryzm poprawił ludziom byt?

– Mówimy o komunizmie – mruknęła. – To osobna kwestia.

– Tak – zgodził się. – Mówimy o komunizmie, który wpędził w nędzę setki milionów ludzi w Europie za żelazną kurtyną. Nawet jeśli, jak twierdzisz – nie tylko ty zresztą – zapewniło to niektórym awans społeczny i poprawę bytu, to w skali całych społeczeństw oznacza, bądź będzie oznaczać, postępującą degradację, a dystans w stosunku do poziomu życia ludzi na Zachodzie będzie się stale powiększał i osiągnie w końcu monstrualne rozmiary. Niełatwo da się temu zaradzić, nawet jeśli jakimś cudem udałoby się ten komunizm obalić.

– Przecież o tym wiem, tato – potwierdziła Ula.

Nie miała już ochoty na kontynuowanie tych rozważań. Z drugiej jednak strony ojciec był bodaj jedynym człowiekiem, z którym od czasu pobytu w Polsce i rozmów z kuzynami mogła otwarcie o tych kwestiach pomówić. Matka nie miała na to ochoty. „Nie mam czasu na bzdury” – kwitowała próby rozmowy podejmowane przez córkę. „Daj mi spokój” – odpowiadała. Koledzy ze szkoły także niespecjalnie się tym interesowali.

– Pomyśl choćby o swoich ciotecznych braciach – dodał jeszcze ojciec i wskazał na roztaczający się przed nimi widok. – Dla nich oglądanie tego widoku jest, i pewnie zawsze będzie, nieosiągalne. O swobodnym przemieszczaniu się po świecie będą mogli tylko pomarzyć. W przeciwieństwie do ciebie.

Uwaga ta wstrząsnęła nią bardziej niż wszystkie inne dziś usłyszane. Nagle zatęskniła za braćmi, wiele by dała, aby mogli być tu razem z nią. Pomyślała też o ciotce Irenie i wuju Romanie. O babce. O rodzinie, która była daleko, rozproszona nie tylko z powodu wojny i żelaznej kurtyny.

A to sprawiło, że znowu wspomniała pozostawioną w Londynie matkę. Spojrzała na ojca, który siedział obok niej na kamiennych schodkach, ale za kilka dni wróci do Kanady, do swojej drugiej żony darzącej go miłością i szczęściem. Nagle wszelkie rozważania historyczne i dywagacje polityczne straciły sens.

Liczyli się wyłącznie najbliżsi i powody, dla których nie byli już razem.

– Nie dokończyłeś opowieści, jak to się stało, że ożeniłeś się z mamą. Wspomniałeś tylko o tych jej znajomych, których nie akceptowałeś, choć ona ich lubiła. W pewnym momencie jednak zwróciła na ciebie uwagę. Jak do tego doszło?

Nie odpowiedział, patrzył przed siebie, na miasto.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła.

– Co tu opowiadać? – Wzruszył ramionami, ale tym razem dostrzegła bardzo wyraźne przejęcie na jego twarzy. Nie zdołał go ukryć, choć zapewne się starał. – Nie wyobrażaj sobie niczego romantycznego – zastrzegł, a Ula od razu sobie przypomniała niemal identyczne sformułowanie, jakiego użyła Eliza, wspominając Olgerda. – Ja straciłem dla niej głowę – kontynuował ze smutkiem – natomiast ona zaledwie mnie od czasu do czasu dostrzegała. Głównie po to, aby niemilosiernie wykpić, bywało, że w obecności tych jej znajomych lub... rodziców. Znacznie rzadziej rzuciła mi jakieś miłe słówko, tak jak rzuca się psu kęs ze stołu albo kość przed budę. A ja, dureń, zachowywałem się jak ten pies i natychmiast z radością chwytalem te przysmaki rzucone mi z pańskiego stołu. Gdy teraz o tym myślę, wcale się nie dziwię, że mnie nie szanowała. Chociaż właściwie wtedy też się nie dziwiłem. Ile razy, gdy wracałem potem do domu, powtarzałem sobie, że jestem cholernym idiotą, a takie dziewczyny jak ona zawsze będą gardziły podobnymi kretynami! I postanawiałem, że już nigdy więcej nie pojedę do Radziejowa ani nie pojawię się nigdzie tam, gdzie ona. Ale niestety nie potrafiłem się tego trzymać. W dodatku jej rodzice zawsze serdecznie mnie zapraszali. Nawet się domyślałem dlaczego. I jak głupiec chwytalem się tej nadziei. Nie przyszło mi do głowy, że Eliza także podejrzewała, czemu jej rodzice tak mnie hołubili, co nie mogło wpływać pozytywnie na jej stosunek do mnie.

– A jednak... coś się w końcu stało... – odpowiedziała mu delikatnie Ula.

To, co powiedział, zrobiło na niej przykre wrażenie, wołała, by ojciec zaczął przechodzić do meritum. Jak to się stało, że dziewczyna, u której z pozoru nie miał szans, zgodziła się go poślubić?

– Tak – mruknął niechętnie. – Coś się stało. W pewnym momencie odsunęła się od tego



towarzystwa nierobów udających bohemę. Dzięki Bogu, pomyślałem, wreszcie się na nich poznała. Nie odpuścili zbyt łatwo. W końcu to dzięki jej pieniądзом tak dobrze się bawili, ale Eliza nigdy nie traciła czasu na sentymenty. Bez skrupułów kończyła znajomości, które przestawały jej odpowiadać. I nigdy się z tego nie tłumaczyła. Nawet zazdrościłem jej tej cechy, bo sam tego nie potrafiłem, a też czasami uwieszał się na mnie ktoś, z kim nie bardzo chciałem mieć dłużej do czynienia.

– Ale znajomości z tobą nie zakończyła?

– Przynajmniej niczego takiego nie powiedziała mi wprost... jak tamtym. Ja jednak sam się wycofałem. Tak, w końcu się na to zdobyłem. – Uśmiechnął się wreszcie na widok pełnej podziwu aprobaty w jej oczach.

– I jak to przyjęła?

– Rozczaruję cię. Eliza w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Po prostu zniknąłem z jej pola widzenia, a ona nie zwracała sobie tym głowy.

– To niemożliwe – powiedziała. Wiedziała jednak, że jak najbardziej możliwe. Diagnoza ojca pasowała do Elizy jak ulał.

Ryszard zresztą nie skomentował jej jałowego protestu.

– Skoro zerwała kontakty z poprzednimi przyjaciółmi... – podjęła bez większego przekonania, ale ojciec nie dał jej dokończyć.

– Znajomymi – przerwał z lekkim zniecierpliwieniem.

– No dobrze, niech będzie, znajomymi – poprawiła się. – Zatem skoro zerwała z nimi kontakty, to pewnie poznała innych ludzi?

Domyślała się, dlaczego matka tak się zmieniła i kto za tym stał. Chciała to jednak usłyszeć od ojca. Chciała poznać jego zdanie na ten temat. Jednak jedyną jego reakcją było wzruszenie ramion.

Postanowiła zatem wyłożyć karty na stół.

– Czy kiedykolwiek poznałeś, albo przynajmniej zobaczyłeś na oczy, Olgierda Reńskiego?

Natychmiast pobladł na twarzy. Nie zapanował nad drżeniem rąk, gdy wyjmował papierosa. Nie zapalił go jednak, w ostatniej chwili zrezygnował z tego zamiaru.

– Skąd ty...

– Mama mi powiedziała – odparła spokojnie. – Nie martw się, nie proszę o zdradzenie tajemnicy.

– Nieprawda. – Potrząsnął głową. – Eliza nigdy by ci tego... To właśnie ona zabroniła mi o tym mówić. Jestem pewien, że także twojej babce i ciotce, ale to pewnie od którejś z nich się dowiedziałaś.

– Ani od babki, ani od ciotki, zapewniam cię. O istnieniu tego człowieka wspominał ktoś zupełnie inny. Wtedy przyszło mi do głowy, że to jego grób mama odwiedzała podczas pobytu w Warszawie. Nie tylko nie zaprzeczyła, ale opowiedziała mi, choć z oporami, całą resztę. Sama przyznała, że to w gruncie rzeczy zwykła historia, jakich było, jest i będzie na pęczki na całym świecie. Tyle że nie chciała wcześniej na jej temat rozmawiać ani do niej wracać, bo nadal podchodzi do tych wspomnień w sposób bardzo emocjonalny. Mimo upływu lat wciąż ją to boli. Jednak dla mnie zrobiła wyjątek i jestem jej wdzięczna.

– To dobrze. – Ojciec uśmiechnął się do niej.

Ile musiał włożyć wysiłku w ten uśmiech? – pomyślała ze współczuciem.

– Widziałeś go kiedykolwiek?

– Raz. Kiedyś zobaczyłem ich w Alejach Jerozolimskich w Warszawie. Eliza nawet mnie nie zauważyła, a ja od pewnego czasu dokładałem rozpaczliwych starań, by spróbować trzymać się od niej z daleka. Minęli mnie, trwało to wszystko może minutę, dwie, a ja od razu spostrzegłem, że to znajomość zupełnie innego rodzaju. Eliza wpatrywała się w niego jak w obraz. Obejrzałem się za nimi, choć wiedziałem, że nie należało tego robić. Nie ze względu na nich, lecz na siebie. – Wyciągnął do niej rękę, dając tym samym sygnał, że czas ruszyć w dalszą drogę. – Wiesz co, wolałbym już zmienić temat.

Ciebie to także boli, tak jak mamę, zauważyła.

I choć szczerze mu współczuła, nie zamierzała jednak zrezygnować.

– Wiem, że nie powinnam naciskać, ale od lat dręczy mnie przekonanie, że zbyt mało o was wiem. Bo to przecież tak słabo trzyma się kupy. Ten chłopak pod wpływem rozmowy z dziadkiem

Dezyderym porzucił ją i wyjechał. Zawałił jej się świat, mnie przynajmniej by się zawałił. A ona tak szybko się pocieszyła i za ciebie wyszła. Jak to ma się do twojego przekonania, że nic dla niej nie znaczyłeś?

– Bo, do cholery, tak właśnie było! – Ryszard poderwał się z miejsca. – Nic dla niej nie znaczyłem. Jak możesz mieć jakiegokolwiek wątpliwości, skoro obserwowałaś nas oboje całymi latami. Nie byłaś małym dzieckiem, gdy się rozeszliśmy. Żadne z nas nie musiało niczego ci wmawiać. Sama widziałaś i słyszałaś. A dlaczego za mnie wyszła, i to tak szybko po rozstaniu z tamtym? To przecież proste. Bo nie mogła wybaczyć rodzicom, zwłaszcza ojcu. Nie chciała wracać do Radziejowa, a nie miała pomysłu, jak mogłaby tego uniknąć, skoro jej studia także okazały się farsą. Nawinałem się w samą porę. Bo to ona zrobiła pierwszy krok, nie ja. Ja nigdy bym się na to nie odważył. Zamiast tego uwierzyłem jak dureń w swoje szczęście. A prawda była taka, że Eliza uciekła w małżeństwo, dzięki któremu miała szansę znaleźć się daleko od rodziny, choć zapewne żałowała, że posłużyła się do tego człowiekiem, którego jak na złość jej starzy zawsze chętnie by widzieli w roli zięcia. Bez wątpienia wołałaby, aby to był ktoś, kogo osobiście nie znosili, ale cóż... Zależało jej na czasie, wołała nie czekać na następną okazję. Tym bardziej że wojna wisiała na włosku i różne ważne decyzje należało podejmować szybko. Co niestety nie zawsze oznacza, że trafnie. Jestem pewien, że potem tego żałowała.

– Może jednak...

– Żałowała. Jak możesz w to wątpić? Czy kiedykolwiek widziałaś, aby była zadowolona? Szczęśliwa?

Przedostatniego dnia pobytu w Rzymie odwiedzili kościół Il Gesù.

– I taką perełkę zostawiłeś niemal na sam koniec? – wyszeptała z zachwytem, ale też z nutką pretensji.

– Prawdziwa perła – przytaknął. – Dopiero gdy przed laty zobaczyłem ten kościół po raz pierwszy, zakochałem się w baroku. Przysięgam, wolę go od harmonii renesansu.

– Barok to nie tylko sztuka. Stała za nim bardzo konkretna idea.

– Tak. Wielki sobór w Trydencie i reforma Kościoła. Nareszcie jego doktryna stała się bardziej czytelna i jednoznaczna w wielu fundamentalnych kwestiach, a barok okazał się tu silnym i skutecznym orężem. Ale to przecież nie był pierwszy i ostatni przykład, gdy sztuka przysłużyła się idei.

– Jasne. Artyści rzadko mogli sobie pozwolić na niezależność. Większość potrzebowała sponsorów.

– Co w tym złego, jeśli czasem udaje się wypromować mistrza?

Usiedli w jednej z ławek i zapatrzili się na sklepienie.

– Barok zachował się lepiej od renesansu. Ale to już sprawka sacco di Roma.

– Sprawka? Prawdziwa rzeź. Niewybaczalna zbrodnia. – Zamyśliła się. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ojciec nie skomentuje jej uwagi, bo komentarz był tu zbędny. Woliała chwilę odczekać, by powrócić do tego, o czym mówili na początku. – Ale wiesz co? Podobnie jak ty, wolę barok od renesansu. I przy okazji od klasycyzmu. A poza tym przypomniały mi się Kraków i tamtejsza barokowa perełka – kościół Świętych Piotra i Pawła.

– Podczas wizyty u rodziny w Polsce... byłeś także w Krakowie? – zainteresował się Ryszard.

– Tak. Udało się nam tam dotrzeć z chłopakami.

– Zazdroszczę ci – powiedział nagle, a potem zupełnie niespodziewanie wstał i skierował się do wyjścia.

– Tato! – Oczywiście powiedziała to zdecydowanie za głośno i natychmiast napotkała pełne dezaprobaty spojrzenia dwóch zakonnic i kilkorga turystów. Była jednak zbyt zaskoczona i poruszona, by pozwolić sobie na skruchę.

Wybiegła na ulicę i dopiero tam odetchnęła z ulgą. Ojciec stał nieopodal, ale nie patrzył na nią. Wzrok miał utkwiony w jakimś bliżej nieokreślonym punkcie po drugiej stronie jezdnii.

– Ale mnie przestraszyłeś! – Dotknęła jego ramienia. – Co się stało? Żle się poczułeś?

– Czasami to mnie dopada. Carol już do tego przywykła... – Poklepał ją po dłoni. – Ty nie.

– Co takiego cię dopada? – Uła była już nie żarty zaniepokojona. – Jesteś chory?

– Tęsknota – odparł po chwili. – Ale to nie jest choroba. Choćby dlatego, że nie jest to chroniczny stan, przynajmniej w moim przypadku. Dopada od czasu do czasu, ale wtedy rozkłada na łopatki.

– Tęsknota? – powtórzyła.

Uśmiechnął się i ujął ją pod ramię, dając tym samym do zrozumienia, że powinni ruszać dalej.

– Nie narzekam, w sensie materialnym powiodło mi się w Kanadzie. O takim poziomie życia i warunkach pracy nie mógłbym nawet marzyć, gdybym wrócił do Polski, o ile władza ludowa nie przymknęłaby mi na samym wstępie. A jednak czasem wystarczy drobnostka, jakieś wspomnienie, choćby nazwa lub czyjeś imię. Powiedziałaś „Kraków” i w jednej chwili byłem gotów oddać dziesięć lat życia, by się tam znaleźć... bodaj na chwilę. Wiem, że to nigdy nie minie. Modłę się, by nie minęło.

– Dokąd mnie teraz zaprowadzisz? – spytała, starając się wesołym, lekkim tonem pokryć wzruszenie, a zarazem odwrócić jego myśli od smutku i wspomnień.

– Wiesz, tamtego wieczoru, zanim Eliza do mnie podeszła i zagadała, byłem w fatalnym nastroju. Wyszedłem ze spotkania towarzyskiego, podczas którego poprowadziłem istic ułańską szarżę, próbując stonować hurraoptymizm entuzjastów polityki ministra Becka. Niedobrze mi się robiło, gdy ich słuchałem. Byłem pewien, że przyjdzie mi wkrótce oglądać zagładę tego kraju, a może i całej naszej cywilizacji. Nie widziałem sposobu, by temu zapobiec. Byłem w wyjątkowo podłym nastroju. I wtedy

ona do mnie podeszła, czego kompletnie się nie spodziewałem, nie oczekiwałem i nie pragnąłem. Byłem zresztą pewien, że przestała mnie już obchodzić. Od pewnego czasu zajmowały mnie inne sprawy, pracowałem jak wściekły, pochłaniałem książki i publikacje prasowe. Zastanawiałem się, czy warto w ogóle planować jakąś przyszłość. Wprawdzie moja kandydatura została zgłoszona do pracy w placówce konsularnej w Londynie, ale miałem coraz mniejszą nadzieję, że mi się uda otrzymać tę posadę. Zwłaszcza że moje wystąpienie w mieszkaniu Chojewiczów nie było pierwszym tego typu, choć nigdy dotąd nie odważyłem się na tak jawne odsłonięcie przyłbicy. Eliza nawet zażartowała, że skoro tak krytykuję politykę zagraniczną Becka, to powinienem zmienić swoje zawodowe zamiary. Rzuciłem jakąś uwagę, że jeśli nie dostanę tej pracy do lata, to istotnie, później nie ma co już o tym myśleć, bo pewnie przeszkodzi temu wojna. Jakoś tak to powiedziałem, nie zacytuję co do słowa. Bo tak naprawdę, gdy tylko w pełni do mnie dotarło, że to nie przywidzenie, że ona naprawdę do mnie podeszła i zaczęła ze mną rozmawiać, wszystko inne przestało mieć znaczenie. Nawet ponura wizja apokalipsy, jaka czekała Polskę i plany wyjazdu. Przede wszystkim zaś moje postanowienie sprzed kilku miesięcy, że wyrzucę tę dziewczynę z myśli, z serca. Po raz kolejny w duchu nazwałem siebie durniem, tym razem dlatego, że w ogóle brałem pod uwagę taką możliwość. Zamiast tego ponownie straciłem dla niej głowę, ponieważ zachowywała się wobec mnie inaczej niż w przeszłości. Początkowo nie miałem odwagi proponować jej kolejnych spotkań. To ona wychodziła z inicjatywą, a ja szalałem ze szczęścia jak sztubak, który zaczyna wierzyć, że doczekał się wzajemności. Dlatego, gdy przyjęto moją kandydaturę i w sierpniu miałem się stawić na stanowisku pracy w Londynie, wcale mnie to nie ucieszyło. Szczerze mówiąc, już się nie dowiadywałem, jak idą starania oddanych mi osób w tej sprawie. Już mnie to nie obchodziło. Nie chciałem wyjeżdżać, skoro w kraju zostawała Eliza. Kiedy jej o tym powiedziałem, roześmiała się i powiedziała, że jestem głupi, bo nie odrzuca się takich okazji. Jednak tym razem słowo „głupi” nie zabrzmiało w jej ustach pogardliwie, lecz niczym wyrafinowana pieszczota. Nie chciałem wyjeżdżać i tracić jej z oczu, powiedziałem to i zarazem byłem na siebie wściekły, bo miałem świadomość, że wyglądam jak uczeń przyłapany na wypisywaniu kredą na budynku imienia ukochanej. „No to zabierz mnie ze sobą” – ona na to. Oślupiałem, nie bardzo wiedziałem, jak zareagować. Czy w ogóle mówiła poważnie. No bo co to znaczy: „Zabierz mnie ze mną”. Jak? I w jakim charakterze? Wydukałem więc, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, że byłoby to możliwe, gdyby została moją żoną. Niewykluczone, że w innym wypadku także byłoby to możliwe, ale wymagałoby większych i bardziej skomplikowanych zabiegów. No i czasu. Roześmiała się i zapytała, czy ma rozumieć, że proponuję jej małżeństwo. A po chwili dodała: „Już straciłam nadzieję, że to zrobisz”.

Zatrzymali się na Piazza Venezia i rozejrzeli zdumieni wokół siebie.

Kiedy zdążyliśmy tu dotrzeć? – pomyślała zaskoczona Ula i była pewna, że ojciec zadał sobie to samo pytanie. Choć może niekoniecznie, bo jego oczy znowu przybrały ten nieobecny wyraz, jak u człowieka znajdującego się myślami gdzie indziej.

– Formalności dotyczące ślubu zostały dość szybko załatwione ze względu na tak zwane okoliczności. Co najwyżej moi przełożeni się trochę dziwili, że wcześniej słowem nie poinformowałem ich o tych planach, ale wytłumaczyli to sobie stanem umysłu zakochanego młodego człowieka, który zapomina o ważnych sprawach i nudnych formalnościach. Tak to przynajmniej wytłumaczył jeden z protegujących mnie wysokich urzędników i bez większych problemów udało się nam obojgu wyjechać razem, w tym samym terminie, wkrótce po ślubie. Wesela ani przyjęcia nie było. Eliza nie chciała, a ja także nie nalegałem, domyślając się, że była w nie najlepszych stosunkach z rodzicami. Nie wyobrażałem sobie jednak, że nie byłoby ich na ceremonii ślubnej, i tu z kolei Eliza ustąpiła, choć nie zgodziła się później na żadne wspólne wyjście, nawet na obiad do lokalu. Jej ojciec chciał nas, a przy okazji także Chojewiczów, gdzieś zaprosić, ale ona oznajmiła matce, że się spieszymy, mamy mnóstwo zajęć z przygotowaniami do wyjazdu. Uderzyło mnie to, że do ojca nie odezwała się bodaj jednym słowem, w ogóle traktowała go jak powietrze. Potem wyjechaliśmy. A ja przez sześć lat nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Bo na początku naprawdę się starała. Rok później urodziłaś się ty. Trzy tygodnie po naszym wyjeździe Niemcy zaatakowali Polskę. Przeorali kraj wzdłuż i wszerz, a od wschodu weszli Rosjanie i zaczęła się podwójna okupacja. Powiedziała mi, że wiele by dała, aby

zobaczyć teraz miny tych bufonów, którzy wtedy, u Ireny, jeździli po mnie jak po tysej kobyle. Tak się dosłownie wyraziła. Nie podzielałem jej satysfakcji, mimo to cieszyłem się jak dzieciak, że mnie doceniła. Dziękowałem Bogu za każde jej dobre słowo pod moim adresem, za każdy dzień i każdą noc. I nawet fakt, że w czterdziestym roku Niemcy zaatakowali inne kraje, w tym Europę Zachodnią, a na Londyn zaczęły spadać bomby, do dziś nie zmienia mojego przekonania, że tamte czasy, czasy wojny, podczas której przecież nie brakowało okazji, by stracić życie, to był jedyny okres, gdy nasze małżeństwo funkcjonowało tak, jak należy. Szkoda, że byłaś na tyle mała, że nie potrafisz sobie tego przypomnieć. Eliza wprawdzie była oszczędna w czułościach, ale kładłem to karb jej charakteru, może wychowania, niemniej na swój sposób, powtarzam, starała się. Mnie w każdym razie wystarczyło, że ją kochałem, że jesteśmy razem, że mieliśmy dziecko. I może podświadomie czasem brałem pod uwagę fakt, że skoro nie tak dawno przed naszym ślubem zostawił ją ukochany, to potrzebowała czasu, aby w pełni zaangażować się w nowy związek. Łudziłem się, jak zawsze. Ale to cecha naiwnych głupców. Oprzytomniałem latem czterdziestego piątego roku. Kilka tygodni po kapitulacji Niemiec stało się coś, co kazało mi spojrzeć prawdzie w oczy. Pewnego czerwcowego dnia, wracając ze spaceru, natknęliśmy się na człowieka, na widok którego twoja matka znieruchomiała niczym żona Lota. On także, ale przynajmniej jako pierwszy odzyskał głos. Uchylił uprzejmie kapelusza i pozdrowił nas oboje, choć nie miałem wątpliwości, że nigdy wcześniej nie widziałem go na oczy. A zatem jego pozdrowienie skierowane było pod adresem mojej żony. Poszedłby jednak dalej, gdyby Eliza nie opanowała wzruszenia na tyle, że mogła się odezwać. Nawet nie jestem w stanie policzyć, ile razy potem tego żałowałem. Bo to był punkt zwrotny w naszym wspólnym życiu. „Pan Damian Reński? Nie mylę się, prawda?” – pamiętam dokładnie, tak właśnie zapytała. Ale ja początkowo kompletnie nie skojarzyłem tego nazwiska. A on zerknął na mnie i odpowiedział, że od razu ją poznał, jednak nie chciał przeszkadzać. „Nie miałam pojęcia, że pan przebywa na Wyspach” – mniej więcej coś takiego powiedziała. Zauważyłem, że w gruncie rzeczy nie takie pytanie chciała zadać. Po prostu przygotowywała sobie odpowiedni grunt. Nadal jednak niewiele rozumiałem, więc zwróciłem jej uwagę, że powinna nas sobie przedstawić. Zrobiła to, ale tak... od niechcenia, niecierpliwie, jakby chciała odbyć procedurę, która jest zupełnie bez znaczenia. Bo w gruncie rzeczy liczy się coś innego, o co jeszcze nie miała odwagi zapytać. Powiedział, że już w trzydziestym dziewiątym roku wyszedł z armią do Rumunii, potem udało mu się przedostać do Francji, skąd razem z tysiącami innych został ewakuowany przez Dunkierkę do Anglii, ale potem znalazł się w Afryce, a wszędzie pracował jako lekarz polowy. I wtedy wreszcie zadała to pytanie, które – potem już byłem tego pewny – dławilo ją, odkąd zobaczyła tego człowieka. Bo to jedno ją tak naprawdę interesowało. Spytała, co się dzieje z Olgierdem, z jego synem. A ja w tym samym momencie doznałem olśnienia. W każdym razie od razu wiedziałem, o kogo chodzi.

– Tato, może powinniśmy gdzieś usiąść? – spytała cicho Ula, spostrzegłszy, że na bladej jak chusta twarzy ojca pojawiły się kropelki potu.

Spojrzał na nią jak człowiek wybudzony ze snu, nie do końca jeszcze przytomny, wciąż obecny myślami w rzeczywistości, którą dopiero co przeżywał w sennych marzeniach. Tak jak on – we wspomnieniach. Bardzo długiego snu, którego nie śmiała mu przerywać. Nie miała zresztą pewności, czy zdołałaby to zrobić. Był z nią tu i teraz, jednak jego słowa dobiegały zza granicy czasu.

– Wtedy powiedziałem niemal dokładnie to samo. Zaproponowałem, byśmy gdzieś usiedli, bo byłem pewien, że twoja matka straci przytomność, jak tylko usłyszała jego odpowiedź na swoje pytanie.

\*

– Olgierd nie żyje – odpowiedział po dłuższej chwili milczenia Damian Reński. Jego twarz była poważna, nie malowały się na niej żadne emocje.

Eliza patrzyła na niego tak, jakby nie rozumiała znaczenia słów, które przed chwilą usłyszała.

– Nie żyje? – powtórzyła cicho i rzuciła okiem na męża, zdezorientowana i zszokowana.

– Nie żyje od sześciu lat – potwierdził Reński. – Został zabity we wrześniu trzydziestego dziewiątego niedaleko Sochaczewa. Myślałem, że pani o tym wie.

– Nie. Skądże znowu. Od sierpnia trzydziestego dziewiątego nieprzerwanie mieszkam

w Londynie. Nie miałam żadnych wiadomości z kraju... Żadnych. – Ledwo wypowiedziała te słowa, zachwiała się na nogach i gdyby nie stojący obok mąż, upadłaby na chodnik.

– Powinniśmy gdzieś usiąść, i to natychmiast – zakomenderował Ryszard.

– Może mógłbym pomóc? – zaofiarował się nie mniej zdenerwowany Reński.

– Nie ma takiej potrzeby. Poradzimy sobie. – Ryszard marzył w tej chwili o jednym – aby dopiero co przezeń poznany mężczyzna poszedł sobie do wszystkich diabłów. Szóstym zmysłem wyczuwał zbliżające się kłopoty.

– W takim razie nie będę już państwu przeszkadzał. – Damian dotknął kapelusza i byłby odszedł, gdyby Eliza nie chwyciła go za rękaw.

– Nie, proszę. Niech pan nie odchodzi – wyszeptwała.

Jak spod ziemi wyrosła wtedy przy nich pięcioletnia wówczas Ula, która do tej pory biegła z trójką innych dzieci po pobliskim małym skwerku.

– Co się stało mamusi? – zaszczebotała.

– Nie oddalaj się od nas. Usiądziemy na tamtej ławce – odparł szybko Ryszard, czując się tak, jakby to jemu, a nie jego żonie, ziemia usuwała się spod stóp.

Wspólnymi siłami doprowadzili Elizę do ławki, a Damian, obserwując oddalającą się dziewczynkę, uśmiechnął się łagodnie.

– Słyszałem o państwa ślubie, ktoś mi o tym wspomniał przed samym wybuchem wojny. Nie miałem jednak pojęcia o córeczce.

– To zrozumiałe, skoro opuścił pan kraj niedługo po nas – odparł Ryszard, zdając sobie sprawę, że nie zabrzmiało to sympatycznie. Zaraz zresztą złagodził ton. – Nawet rodzice i siostra żony dowiedzieli się o małej dopiero niedawno. W czasie wojny nie mieliśmy żadnej możliwości ich o tym zawiadomić.

Czuł się jak dureń, tłumacząc oczywiste rzeczy, ale za wszelką cenę chciał zapobiec temu, aby Eliza zaczęła zadawać temu człowiekowi następne pytania. Nadaremno, bo Reński w pewnym momencie zwrócił się bezpośrednio do niej:

– Mam rozumieć, że ostatnio otrzymała pani jakieś wieści o rodzinie? Pisali do pani? Wszyscy przetrwali wojnę?

– Tak. – Skinęła głową i nagle zacisnęła palce na jego przedramieniu. – Jak to się stało, że Olgierd znalazł się we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku w Polsce? Przecież przebywał na zagranicznym stypendium. Na litość boską, czemu wrócił do kraju?

– Przecież pani wie, że on z niczego mi się nie tłumaczył – odparł po dłuższej chwili zmęczonym głosem Reński. Wyglądało na to, że w tym momencie gotów był spełnić starannie skrywane marzenie Ryszarda i odejść. – Spotkałem go tylko raz. Powiedział, że został zmobilizowany i lada dzień wyrusza do jednostki, do której został przydzielony. – Zawahał się, zanim dodał: – O nic i o nikogo mnie nie pytał. – A ponieważ Eliza przyjęła jego uwagę w milczeniu, zdecydował się kontynuować: – Dowiedziałem się o jego śmierci, zanim podjąłem ostateczną decyzję o opuszczeniu kraju.

– Myśli pan, że on wiedział... że mógł coś wiedzieć o moim małżeństwie?

Nie patrzyła na męża, a Ryszard musiał zacisnąć mocno zęby, aby nie zacząć krzyczeć na całe gardło.

– Nie wiem. Powtarzam: o nikogo nie pytał. Pożegnał się i poszedł. A ja doceniłem sam fakt, że w ogóle zadał sobie trud, by mnie odnaleźć w szpitalu, w którym wówczas pracowałem. Przecież nie musiał tego robić. A jednak zrobił.

– Tak – szepnęła, ale nie patrzyła ani na niego, ani na nikogo innego. Puściła jego ramię, co Reński natychmiast wykorzystał i wstał.

– Pożegnaliśmy już państwa. – Znowu dotknął runda kapelusza. – Co zamierzacie robić? Zostajecie w Anglii czy wracacie?

– Powrót jest wykluczony, proszę pana – odparł zdecydowanie Ryszard. – Teraz, gdy powstał w Warszawie ten, pozał się Boże, Tymczasowy Rząd, de facto utworzony przez Stalina, tacy ludzie jak ja i moja rodzina nie mają już czego szukać w Polsce.

Chyba że śmierci, jak to się stało w przypadku pana syna, przemknęło mu przez myśl. Nawet przez moment nie czuł ulgi, że tamten już nie żyje, a wobec tego nie może mu zagrozić. Nie czuł ulgi, bo miał już pełną świadomość, że martwy Olgierd Reński może być dla niego tak samo groźny jak żywy. A nawet – paradoksalnie – groźniejszy.

– Ja także postanowiłem nie wracać – odparł doktor Reński, kiwając głową na znak zrozumienia dla decyzji Borzęckiego – ale w Anglii też nie zamierzam zostać. Nie ma już tu dobrej atmosfery dla Polaków. Myślę o przeprowadzce za ocean.

– Wobec tego życzę powodzenia.

Dzięki Bogu choć za to, pomyślał Ryszard. Choć za to, że ten człowiek nie będzie im się tu plątał pod nogami. Wiedział, że to nie fair, że powinien tamtemu współczuć po śmierci syna – Reński wydawał się takim samotnym człowiekiem – ale nie potrafił. Nie zdołał wykrzesać z siebie żadnych dobrych uczuć wobec doktora Damiana.

\*

– Spotkałem go ponownie po latach, już w Kanadzie – wyznał niespodziewanie Ryszard, tym samym wybawiając Ulę z dylematu, czy powinna o to zapytać. Nie miała zresztą nadziei na uzyskanie pozytywnej odpowiedzi, dlatego wyznanie ojca niemal przyprawiło ją o zawrót głowy.

Przecież to prawdziwy cud! – pomyślała z euforią.

– To tylko pozornie wyglądało na nadzwyczajny zbieg okoliczności – dodał ojciec, jakby ustosunkowywał się do tego, czego przecież nie wyraziła na głos. – No, może do pewnego stopnia... Natknęliśmy się na siebie na jakimś odczycie organizowanym przez stowarzyszenie polskich emigrantów. Zostałem zaproszony, poszedłem, ponieważ nie wypadało odmówić, ale potem byłem zadowolony. Nie przypuszczałem, że tak się ucieszę na widok rodaków. Oczywiście mogliśmy nie trafić obaj na ten sam odczyt, ale widocznie los zdecydował, że się jednak spotkaliśmy. Szczerze mówiąc, nawet się specjalnie nie zdziwiłem na jego widok. Zobaczyłem tam wielu innych znajomych, więc czemu jego miało tam zabraknąć? „Znowu na siebie wpadliśmy? Jakże Parki kierują ludzkim losem... A może to sprawka Nemezis?” – W taki właśnie sposób się ze mną przywitał. Jedyne, co mnie zdumiało, to fakt, że tym razem nie czułem już napięcia i niechęci, jakie towarzyszyły naszemu przypadkowemu spotkaniu w Londynie. Ale zaraz zrozumiałem dlaczego – była przy mnie Carol, a nie twoja matka. Wybacz mi szczerość, ale sama poprosiłaś mnie o prawdę na nasz temat, nie o słodkie kłamstwa. W każdym razie przedstawiłem mu Carol, a on przyjął to bez zmruczenia oka. Wyznał mi jednak coś, co mnie poruszyło. Po raz pierwszy zobaczył mnie i twoją matkę jeszcze w czterdziestym roku, niedługo po ewakuacji z Francji – tak powiedział. I jeszcze, że szczęśliwie żadne z nas go wtedy nie spostrzegło, bo to nie byłoby dobre ani dla mnie, ani dla mojej ówczesnej żony. Wtedy, w czerwcu czterdziestego piątego, także nie zamierzał nas niepokoić. Po prostu za późno nas zauważył, by skrócić gdzieś w bok albo do bramy. Wyznał, że dawno temu naprawdę niewiele brakowało, a zniszczyłby czyjeś małżeństwo. Dlatego po latach nie chciał, aby z jego powodu rozpadło się inne stać. Miał niedobre przeczucia. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale spojrzął na Carol, która akurat w tym momencie zajęta była rozmową z kimś innym. Ścisnęła mnie w gardle, bo ten człowiek trafił w sedno, jednak starałem się nie dać tego po sobie poznać. Bo od tamtego spotkania z nim w Londynie nasze małżeństwo z Elizą rzeczywiście zaczęło się sypać. Ona popadała w niepokojącą melancholię i ciągnące się w nieskończoność milczenie. Mnie w takich razach ogarniała panika i próbowałem ją za wszelką cenę wyrwać z tego stanu, zasypując gradem słów, wyznań i czułości, na które ona z kolei reagowała irytacją. Tak, doktor Reński postawił dobrą diagnozę. Od czerwca czterdziestego piątego roku mój związek z twoją matką skazany był na klęskę. Paradoksalnie jednak poczułem wobec niego wdzięczność. Za to, że zrobił, co w jego mocy, by Eliza nie zauważyła go już w czterdziestym roku. Że potem wyjechał do Afryki. Bo to tak, jakby darował nam kilka lat. Przez tych pięć lat naprawdę cieszyłem się swoim szczęściem. Ale o tym już ci mówiłem.

– A potem spotkałeś go jeszcze? – zapytała Ula drżącym głosem.

– Już nie. Wymieniliśmy się adresami i telefonami, ale żaden z nas już z tego nie skorzystał. Jakoś nie czułem takiej potrzeby. On zapewne także nie.

Ula, którą jeszcze sekundę wcześniej korciło, by poprosić ojca o ten adres i telefon, po chwili namysłu doszła do wniosku, że właściwie tego nie potrzebuje. Właściwie wiedziała już wszystko.

– Dziękuję, że mi o tym opowiedziałeś. – Przytuliła się z wdzięcznością do jego ramienia. – Wiem, że nie było ci łatwo.

– Nie było tak źle, jak początkowo zakładałem.

– W ogóle dobrze mi się z tobą rozmawia. Tak dobrze jak z moją rodziną w Polsce, a może i lepiej.

Ledwo to powiedziała, poczuła się niezręcznie. Wśród interesujących rozmówców nie wymieniła przecież matki. Ojciec jednak w ogóle nie zwrócił uwagi na ten niuans, a może tak tylko udawał, bo skwitował jej słowa uśmiechem.

– Tak to jest, gdy po latach pobytu na obczyźnie spotka się rodak z rodakiem – zażartował, choć może nie był to tylko żart.

– Kiedy znowu się zobaczymy? – spytała ze smutkiem.

Objął ją ramieniem.

– Następnym razem to będzie w Kanadzie. U mnie i... u Carol. Obiecuj mi, że wreszcie przyjedziesz do naszego domu.

– Obiecuję, tato – szepnęła. – Już to sobie układam w głowie. Jak tylko uznam, że jestem gotowa, przyjadę do ciebie – dodała, a po chwili się poprawiła: – Do ciebie i do niej.



– *Adrianna... Komu zawdzięczasz tak niezwykle imię?*

– *To pomysł mojej matki. Podobno była pod wielkim wrażeniem opery „Adrienne Lecouvreur”.*

*Moja matka zawsze ulegała emocjom.*

– *A ty nie?*

Otworzyła szeroko oczy, gdy usłyszała przejeżdżający obok ogrodzenia samochód. Zapaliła lampkę przy łóżku i spojrzała na zegarek. Czwarta... No tak, o tej porze w maju i czerwcu było już widno. We wrześniu panowały jeszcze egipskie ciemności. Naraz dotarło do niej, że nigdy dotąd nie zauważyła, aby tak wcześnie przejeżdżał tędy samochód. Mieszkała przy piaszczystej, mało używanej nawet w ciągu dnia drodze. Niemal na odludziu, jak lubiła jej przypominać Irena. Zawsze kpiała z takich uwag. Nieraz dawała córce do zrozumienia, że jest zbyt strachliwa i skłonna do przesady. Dziś jednak była skłonna przyznać jej rację. W dodatku dotarło do niej, że to nie tylko odgłos samochodu ją obudził. Oprócz niego usłyszała coś jeszcze – jakby skrzypnięcie starej furtki strzegącej wejścia na posesję.

Jakiś głupi sen napędził mi solidnego stracha – próbowała zlekceważyć coraz silniejsze uczucie nieprzyjemnego nerwowego napięcia, ale ono nie mijało.

Zapatrzyła się w odsłonięte półotwarte okno. Irena do znudzenia przestrzegała ją przed pozostawianiem go na noc w takim stanie. Mieszkasz na pustkowiu, mawiała, igrasz z niebezpieczeństwem. Adrianna odpowiadała jej niezmiennie, że taka stara kobieta jak ona nie musi się już obawiać o siebie, a poza tym okolica jest naprawdę spokojna. Od czasów wojny nie wydarzyło się tu nic złego, żadne przestępstwo.

– Mówisz jak dziecko – irytowała się Irena. – Chociaż czasem naprawdę łatwiej rozmawiać z dzieckiem niż z tobą. Mieszkasz sama w dość sporym, przyzwoicie wyglądającym domu. Najbliżsi sąsiedzi są – paradoksalnie – daleko. Nie możesz mieć żadnej pewności, czy pewnego dnia ktoś, być może przyjezdny, nie zainteresuje się samotną, mieszkającą pod lasem kobietą, która w jego przekonaniu może być zamożna. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że w przeszłości byłaś właścicielką dwóch dużych majątków ziemskich.

– Z których mnie po wojnie ograbiono.

– Na miłość boską, mamó! O ile nie chcesz mnie wpędzić w nerwową chorobę, zamykaj na noc okna i najlepiej kup sobie jeszcze ze dwa duże psy. Jeśli nie ze względu na siebie, to przynajmniej ze względu na mnie.

Adrianna odpowiedziała jej wtedy coś niezobowiązującego, że nad tym pomyśli, lecz tak naprawdę nie wyobrażała sobie spania latem przy zamkniętych oknach. A co do psa... Od śmierci poczciwego Pirata, który w jej i Dezyderego przekonaniu był bardziej członkiem rodziny niż zwykłym, kudłatym kundlem, jakoś nie miała ochoty na zastępowanie go innym psem. Aż do teraz... Ten przejeżdżający samochód naprawdę zrobił na niej nieprzyjemne wrażenie. Skrzypnięcie furtki wołała w dalszym ciągu rozpatrywać w kategorii snu, którego jednak za żadne skarby świata nie potrafiła sobie przypomnieć. Przymknęła okno i zasunęła zasłony. Ciemność za oknem nagle stała się groźna i nieprzyjazna, a przecież Adrianna nigdy dotąd się jej nie obawiała. Słyszała szum lasu, który niemal dotykał jej posesji z dwóch stron, i wzdrygnęła się na myśl o czarnej masie drzew, wyginających swoje konary w kierunku domu niczym śmierć, która wyciąga ramiona, gdy uzna, że nadeszła ku temu właściwa pora.

Boże, co za myśli krążą mi po głowie! – wzdrygnęła się i machinalnie przeżegnała.

Co się z nią działo? Nigdy dotąd nie odczuwała takiego lęku przed samotnością. Potrafiła docenić zalety mieszkania samej. Kochała ten dom i ogród o każdej porze roku, zarówno wtedy, gdy przyroda budziła się do życia na wiosnę, a rozświergotane ptaki wiły swoje gniazda, jak zimą, gdy drzewa były przykryte białą czapą śniegu, a słońce odbijało się od białej połaci pobliskiej łąki tak mocno, że oczy same się mrużyły. Dopiero śnieg wyciszał wszystko wokół.

Śmierci także się nie bała. Od dziecka patrzyła, jak odchodzili ludzie, z którymi łączyły ją więzy

krwi bądź powinowactwa, mniej lub bardziej bliscy sercu, a nawet zupełnie jej obojętni. Żegnała ich i wracała do swoich spraw w przekonaniu, że co komu przeznaczone, nikogo nie minie. Śmierć w każdym razie nie minie nikogo. Nie ma czego się bać, należy tylko robić swoje.

A tej nocy zupełnie niespodziewanie poczuła lęk. Że mogłaby tu, w tym ukochanym przez siebie miejscu, umrzeć zupełnie samotnie i dopiero po pewnym czasie ktoś w miasteczku może by się zainteresował, dlaczego od pewnego czasu ani w sklepie, ani w kościele nie widziano pani Rawickiej. W dodatku nie bywała tam przecież codziennie. A może Irena, zaalarmowana milczeniem matki i targana złymi przeczuciami, zjawiłaby się tu pewnego dnia i znalazłaby ją martwą?

Mogłabym dostać zawału lub udaru i w tej samotni byłabym bez szans na ratunek... Mogłabym paść ofiarą morderstwa. Czemu człowiek zawsze zakłada, że złe rzeczy przytrafiają się wyłącznie innym, a nie jemu? Dlaczego uważa się za jakąś szczególnie uprzywilejowaną jednostkę we wszechświecie? Przecież każdy z nas jest wyłącznie jednym z miliardów istnień na tej planecie.

Adrianna potrząsnęła głową i na widok swojej wystraszonej twarzy, spoglądającej na nią z lustra, zmusiła się do bladego uśmiechu.

I co, głupia babo? Sama sobie napędzasz stracha. Obudziłaś się nad ranem, przeleżałaś ciemności i zaczęłaś snuć najczarniejsze wizje. A o takiej porze każdy problem urasta do monstualnych rozmiarów, już w starożytności o tym pisano.

Postanowiła jednak przejść do kuchni i zaparzyć sobie gorącej herbaty z malinami. To na ogół poprawiało jej humor. Postawiwszy czajnik na gazie, znowu bezwiednie zerknęła w okno i ponownie poczuła się nieprzyjemnie, tym bardziej że w kuchni nie było zasłon, które pozwoliłyby jej odseparować się od ciemności na zewnątrz. Przyszło jej do głowy, że pomysł z kupnem nowego psa, albo nawet dwóch, nie był taki zły. Poczucie bezpieczeństwa to jedno, ale poza tym przydałoby jej się przyjazne towarzystwo. W dodatku takie bezinteresowne, które nie zanudza na śmierć, tak jak to bywa z niektórymi ludźmi. No i można by zainstalować karnisze w kuchni i powiesić zasłony.

Prawie roześmiała się na głos z tego ostatniego spostrzeżenia, jakby to mogło rozproszyć resztki czającego się w niej niepokoju.

Zalała esencję wrzątkiem i usiadła przy kuchennym stole, ale w taki sposób, że opierała się plecami o ścianę przy znajdującym się nieopodal oknie – dzięki temu siedziała tyłem do niego. Nie groziło jej zatem, że choćby bezwiednie rzuciłaby okiem na szybę, a poza tym sama także nie była widoczna z zewnątrz.

Na litość boską, przecież o tej porze nikt się tam nie kręci. To tylko moja chora wyobraźnia robi mi psikusa! – zgromiła zaraz samą siebie za ostatnie spostrzeżenie. Chętnie poczytałaby teraz jakąś książkę albo gazetę, jednak jak na złość wyniosła wczoraj wszystkie do pokoju stołowego, a nie bardzo chciało jej się podnosić z krzesła i wychodzić z kuchni. Zapach i smak herbaty podziałały na nią uspokajająco i rozleniwiająco. Nie mówiąc już o tym, że do czytania musiałaby zapalić mocniejszą żarówkę, o tej porze zaś jej dopiero co rozbudzone oczy znacznie lepiej tolerowały pełne ciepła, choć słabsze, światło stołowej lampy.

I wtedy pomyślała o Elizie. Ni z tego, ni z owego przypomniała sobie, jak kilka tygodni temu nad ranem zastała w tej samej kuchni młodszą córkę. Tyle że nie panowały takie ciemności jak dziś, bo był sierpień i powietrze rozświetlał już brzask poranka. Eliza powiedziała nawet, że odkąd przyjechała do Broniszcz, codziennie wychodzi z filiżanką kawy na ganek. Adriannę bardzo to zdziwiło, bo pamiętając dawne zwyczaje młodszej latorośli, wiedziała, że córka korzystała z każdej okazji, by nie wstawać przed południem z łóżka. Powiedziała jej nawet, że wychodząc o świcie na dwór, powinna włożyć jakiś sweter, bo poranki w sierpniu są już chłodne. A może tę uwagę zrobiła sama Eliza? Adrianna nie potrafiła już sobie tego dokładnie odtworzyć. „Taki jest urok późnego lata” – to już z pewnością były słowa jej, nie córki. A Eliza nawet jakby się zdziwiła. „Urok późnego lata?” – powtórzyła. Ale przynajmniej w tonie jej głosu nie było zwykłej wrogości czy chociażby chłodu.

Eliza... Przez kwadrans, może dłużej, a może krócej, siedziały tu obok siebie. To był jedyny moment w czasie wizyty córki, gdy mogły porozmawiać tylko we dwie. I nie udało im się skruszyć bariery wzajemnej niechęci, która powstała między nimi przed laty. Zresztą, szczerze mówiąc, nawet się

o to nie starały. Eliza już na początku wizyty, jeszcze w obecności Ireny, dała matce do zrozumienia, że nie zapomniała tego, co stało się prawie dwadzieścia lat temu. Nie przeboleła, nie przeszła nad tym do porządku dziennego, nigdy tego nie robi, nie ma zamiaru. To zaś oznaczało, że nie wybaczy. A Adrianna wiedziała, że nic na to nie poradzi, bo musi milczeć. Dawno temu postanowiła, że nie wyzna nikomu swojego sekretu, bo wierzyła, że tego wymagało dobro jej rodziny. Wystarczyła jednak jedna rozmowa z Ireną, gdy córka z zatroskaną i niepewną miną wyznała, że wspomniała Uli o Damianie, by całe budowane misternie od lat przekonanie o słuszności podjętej przed laty decyzji zachwiało się w posadach. Wprawdzie nie runęło, niemniej poruszyło się na tyle, by na jego konstrukcji pojawiły się niebezpieczne rysy.

Damian, Damian... Ile tak naprawdę Irena wiedziała na jego temat? Oprócz tego, że był bratem Rozalii i... pomógł jej samej przyjść na świat? O tym ostatnim Adrianna nigdy nie chciała córce mówić, nie zapobiegła jednak w porę, by zamiast niej nie zrobił tego ktoś inny. Kto? Nieważne, po tylu latach to już przecież i tak bez znaczenia. Mógł to być ktoś ze służby. Nie można też było wykluczyć Witolda... czy nawet Cecylii. Może ta ostatnia zrobiła to z czystej złośliwości? Ale już bez znaczenia.

Jednak na samo wspomnienie tamtych chwil Adrianna wciąż czuła to samo drżenie, te same emocje... to samo – Boże, wybaczone – podniecenie. Jestem nienormalna – rugała się niejednokrotnie w myślach. Jak można podniecać się czymś podobnym? Porodem i tym wszystkim, co mu towarzyszy?

Teraz, siedząc w kuchni nad stygnącą herbatą, też się strofowała, doskonale wiedząc, o co jej naprawdę chodziło. O tę intymność, którą wtedy odkryła między nimi dwojgiem, gdy Damian dotykał jej po raz pierwszy, a potem odbierał z jej ciała dziecko. Powinna była czuć się upokorzona, a przynajmniej tak bardzo zawstydzona, by już nigdy potem nie mieć odwagi spojrzeć mu w oczy. Tymczasem czuła się tak tylko na początku, gdy dowiedziała się, że to on był jedynym wówczas dostępnym lekarzem w okolicy. W pierwszej chwili miała ochotę zapaść się wraz z łóżkiem pod podłogę, a potem pod ziemię. A nawet umrzeć, zanim on do niej podejdzie i spojrzy na jej zdeformowane i powyginane w paroksyzmach bólu ciało... Lecz później?

W pewnym momencie marzyła, aby pomagająca mu akuszerka wyniosła się z pokoju, aby mogli zostać sami...

– Boże, wybaczone, jestem nienormalna – szepnęła po raz kolejny i schowała twarz w dłoniach. Nadaremno. Serce tłukło się jak zawsze, gdy tylko wspominała tamte chwile... Bo następnego dnia po przebudzeniu, pomimo że taka słaba i obolała, czuła się jak po spędzeniu upojonej, pełnej miłości i bezwarunkowego oddania nocy. I dlatego, od razu gdy było to możliwe, spytała akuszerkę o doktora Reńskiego. Nie tylko nie odczuwała żadnego zażenowania, że spojrzy mu w oczy, ale wręcz nie mogła się doczekać, kiedy to nastąpi. A jak zabolęła ją odpowiedź, że doktor już odjechał! Nie czekał, aż ona się obudzi, aby się pożegnać. Niczym kochanek, który woli w porę się wycofać, bo albo tak bardzo się rozczarował, albo tak bardzo wystraszył, że mógłby się zupełnie niepotrzebnie zaangażować.

Cecylia chyba wyczuwała, co w trawie piszczy, skoro zawsze na wspomnienie Damiana z trudem powstrzymywała irytację, a tamtej nocy była gotowa uniemożliwić mu nawet niesienie pomocy Adriannie i jej dziecku. Już kilka lat wcześniej nerwowo zareagowała na wiadomość, że jej siostrzenica zaprzyjaźniła się ze spędzającym wakacje w Jurczewicach bratem znenawidzonej Rozalii. Trzeba przyznać, że zawsze bezbłędnie umiała wychwycić owo szczególne napięcie między dwojgiem ludzi, przeskakującą między nimi iskrę, która może doprowadzić do prawdziwego pożaru trawiącego wszystko i wszystkich wokół. Sama przecież tego doświadczyła i być może wiedząc, jaką cenę trzeba zapłacić za zakazane uczucie, chciała ustrzec od tego Adriannę. Lecz przede wszystkim walczyła o szczęście swojego ulubieńca – Dezyderego.

Czy Cecylia powiedziała coś na ten temat Irenie? W każdym razie nie można wykluczyć takiej ewentualności. Adrianna, zrywając stosunki z ciotką, nie mogła przecież nakazać tego samego dorastającym, a potem całkiem już dorosłym, córkom.

Jednakże co tak naprawdę Irena wiedziała na temat Damiana Reńskiego, a czego się tylko domyślała? Tak dziwnie patrzyła na matkę, gdy wspomniała jej o swojej rozmowie z Ulą.

Mamo... – gdy to powiedziała, z wyraźnym zamiarem uczynienia ważnego wyznania, Adrianna

bardzo się zdenerwowała i czym prędzej wtrąciła jakąś swoją uwagę, tym samym uniemożliwiając córce kontynuowanie dopiero co rozpoczętej myśli.

A Eliza? Ile ona wiedziała?

Adrianna z zaskoczeniem przyjęła informację od Uli, że matka wspomniała jej o dawnej niechęci babki zarówno do macochy, jak i tej, wciąż nieprzemijającej, w stosunku do Cecylii. To, że Eliza nie opowiedziała córce, czego dotyczył ów konflikt, a tylko zaznaczyła, że Adrianna nie chciała nawet pojechać na pogrzeb ciotki, nie oznaczało, że nie posiadała na ten i inne tematy bardziej szczegółowej wiedzy. A mogła ją nabyć od Barcińskiej. Bo od kogo innego? Cecylia zaś potrafiła po mistrzowsku sączyć jad do ucha chętnemu słuchaczowi. Adrianna, wspominając spędzone w domu ciotki lata, bardzo dobrze to sobie uświadamiała.

Poza tym Eliza, choćby za pośrednictwem Olgierda, mogła – w przeciwieństwie do siostry – poznać Damiana. Było to mało prawdopodobne, zważywszy, że obaj Reńscy kontaktowali się ze sobą sporadycznie, niemniej nie można było ich spotkania z całą pewnością wykluczyć.

I co z tego? – uspokajała się. – Przecież Damian nic jej nie powiedział. Obiecał mi to.

Nagle zerwała się na równe nogi, tak że przewróciła szklankę, rozlewając resztę herbaty. Umysłowała sobie, że podczas ich ostatniej rozmowy Damian niczego jej nie obiecywał. Nie obiecywał, bo go o to nie prosiła. Nie zobowiązała do zachowania tajemnicy przed córką. Chyba z góry zakładała, że Damian sam zrozumie, co będzie dla nich wszystkich najlepsze. A może zabrakło jej odwagi, by błagać go jeszcze i o to. Albo...

Nie! – zachnęła się w duchu. – Nigdy nie chciałam, aby jej powiedział. Aby zrobił to zamiast mnie. Co za bzdura! Przecież w oczach Elizy Damian był zupełnie obcym człowiekiem, nawet jeśli – co mało prawdopodobne – Olgierd przedstawił jej swojego ojca.

Należało zatem założyć, że Damian na pewno nic jej nie powiedział. Zwyczajnie nie miał okazji albo uznał, że najrozsądniej będzie zachować tajemnicę. I tak już pozostanie.

I wtedy Adriannę uderzyła kolejna myśl.

Czy on jeszcze w ogóle żyje? Czemu przez tyle lat, odkąd dowiedziała się, że opuścił Polskę, podświadomie zakładała, że jego już nie ma na tym świecie? Czy fakt, że przez ten czas wielu ludzi z jej pokolenia odeszło do wieczności, także jej mąż, musiało oznaczać, że i Damiana już nie ma wśród żywych? Skoro ona wciąż żyła i miała się nie najgorzej, to samo mogło dotyczyć i jego.

Kto wie, czy właśnie w tej chwili on także nie myśli o niej, czy nie wspomina?

„Tam, gdzieś za widnokretem” – dokładnie takich słów użył, gdy rozmawiali ze sobą po raz pierwszy w życiu. A ona nigdy tego nie zapomniała – ani jednego wypowiedzianego przez niego słowa. To wtedy narodziła się między nimi szczególna intymna więź, którą oboje woleli wówczas zignorować, choć dostrzegli ją prawie wszyscy wokół. A oni odkryli owej nocy, gdy rodziła się Irena.

Kiedy Adrianna odważyła się w końcu spojrzeć w okno, spostrzegła, że ciemność zaczęła już ustępować przed szarością wrześnie poranka. Od razu poczuła się różnie. Wszystkie strachy poszły sobie precz. Nabrała werwy, wręcz nie mogła uwierzyć, że godzinę lub dwie temu mogła ulec uczuciu takiej paranoi. Jakiś sen, skrzypnięcie furtki, przejeżdżający samochód. To samochód tak ją wystraszył – nie miała wątpliwości. Ale nie on ją obudził. Najpierw był sen. I nagle przypomniały jej się słowa, które wyraźnie w tym śnie usłyszała: „Adrianna... tak niezwykle imię? To pomysł mojej matki... *Adrienne Lecouvreur...*”.

Skrawki rozmowy i towarzyszące jej okoliczności, które bez większego trudu przywołała teraz z pamięci, przyprawiły ją o taki zawrót głowy, że musiała ponownie usiąść. Sen, który sobie przypominała, nie był tylko nocnym marzeniem, lecz przywołaniem bardzo konkretnego wspomnienia. I bardzo konkretnego człowieka. Podobnie miała się sprawa z przejeżdżającym drogą samochodem i skrzypnięciem furtki.

Wtedy, tamtej nocy przed laty, także słyszała jadące ulicą pojazdy i zardzewiałą starą bramę. Zadziwiającym zbiegiem okoliczności również był wrzesień, tyle że tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.

Można by powiedzieć – rocznica, pomyślała niemal z nostalgią, czując zarazem, że w gruncie

rzeczy nie ma już ochoty wypierać tego wspomnienia ani tym bardziej przed nim uciekać. I tak ją przecież w końcu dopadło, zresztą w sposób, którego zupełnie się nie spodziewała, bo we śnie. W dodatku nie pozwoliło jej już ponownie zasnąć. A ona wcale nie żałowała nieprzespanej nocy.

Dokładnie tak jak wówczas, przed laty...

\*

Dwa miesiące dzieliły świat od końca wojny, choć wtedy jeszcze mało kto przewidywał taki scenariusz wydarzeń. Na froncie zachodnim toczyły się walki na śmierć i życie, niemieckie ofensywy ponownie podprowadziły niemieckie wojska pod Paryż. Cztery lata po pierwszej bitwie nad Marną rozgrywała się druga. Amerykanie byli już we Francji, a w Rosji do władzy doszli bolszewicy, którzy w marcu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku podpisali z Niemcami pokój umożliwiający rzucenie wszystkich sił z frontu wschodniego na zachodni. Rewolucja w Rosji oznaczała tam wybuch wojny domowej i bolszewicki terror, i nikt – lub prawie nikt – nie potrafił przewidzieć, co jeszcze czeka udręczoną i skrwawioną Europę.

Oni tamtej nocy w ogóle o tym nie myśleli. Na kilka godzin zapomnieli o wojnie, rewolucji, trudnościach życia codziennego.

Leżeli wtuleni jedno w drugie, wsłuchani w odgłosy pograżonej w mroku warszawskiej ulicy.

– Adrianna... Komu zawdzięczasz tak niezwykle imię?

Zadrżała, gdy poczuła dotyk jego palców przesuwających się po jej splątanych, rozrzuconych po poduszce włosach.

– To pomysł mojej matki – szepnęła, mrużąc oczy. – Podobno była pod wielkim wrażeniem *Adrienne Lecouvreur*. Moja matka zawsze ulegała emocjom.

– A ty nie?

– I co teraz będzie? – odezwała się ponownie po dłuższej chwili, z pełną świadomością, że takie pytanie nie ma najmniejszego sensu, choć zadają je sobie kochankowie na całym świecie, którzy podobnie jak oni w tej chwili, także zdają sobie sprawę, że nie znajdą na nie odpowiedzi.

– To zależy od ciebie – odpowiedział Damian, obejmując ją ramionami.

– Kilka godzin temu powiedziałeś dokładnie to samo. – Uśmiechnęła się do niego.

– A ty podjęłaś jedyną słuszną decyzję.

To oczywiście był niewinny żart, Adrianna zdawała sobie z tego sprawę, niemniej poczuła się w tym momencie dość nieswojo. Usiadła na łóżku, otuliła się szczelnie kapą i zaraz poczuła jego dłoń przesuwającą się po jej włosach, a następnie wzdłuż pleców. Poczuła ponowny przypływ tego cudownego napięcia wywołanego przez falę pożądania, jednak opanowała emocje i odsunęła się na bok.

– Powinam wracać do domu – szepnęła.

– Teraz? W środku nocy? – spytał wesoło, ale nie podjęła jego tonu.

– Dochodzi piąta, zaraz będzie widno.

– Nie ma mowy. Wyjdiesz stąd w biały dzień, przed południem albo po południu, w każdym razie nie teraz, nie nad ranem. O tej porze nie jest bezpiecznie.

– Później zobaczą mnie twoi sąsiedzi.

– Pomyślą, że jesteś moją znajomą, która zawitała do mnie na zwyczajową herbatkę. Albo – jeszcze lepiej – pacjentką. Nikt nie będzie podejrzewał, że przyszedł tu wczoraj.

– Jesteś bardzo pomysłowy. – Niewiele brakowało, by się roześmiała. Powstrzymała się jednak, choć w ostatnim momencie. – Przyznaj się, że masz już spore doświadczenie w wymyślaniu tego typu wymówek, bo nie brakuje ci do tego okazji.

– Bzdura, kochanie... Mówisz teraz od rzeczy. – Ponownie wziął ją w ramiona, ale znów delikatnie wysunęła się z jego objęć.

– Nie powinnam tu dłużej zostawać.

– Po ulicach kręcą się o tej porze żołnierze. Czasem są to zwykle patrole, a czasem mężczyźni wychodzący po ostrych hulankach z nocnych lokali. Bądź rozsądna. Nie mogę cię wypuścić. Nawet gdybyś szczęśliwym trafem dotarła do kwatery twojego woźnicy, napędziłabyś mu tylko śmiertelnego

stracha. Od razu by pomyślał, że stało ci się coś złego.

– Wiem – szepnęła. – Ale musisz zrozumieć...

– Żałujesz?

Wiedziała, że powinna odpowiedzieć w miarę szybko, bo tylko wtedy jej słowa zabrzmiałyby szczerze.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale nie o to chodzi.

– O ile dobrze zrozumiałem, a sama mi to przecież mówiłaś, twój mąż jeszcze przed ślubem proponował ci formułę... otwartego małżeństwa.

Tym razem nie odsunęła się, gdy pieszczotliwym ruchem odgarnęła jej włosy za ucho.

Niemniej, z tego, co mi wiadomo, sam do tej pory z tej formuły nie skorzystał, pomyślała. Nie mogła jednak powiedzieć tego na głos, czuła, że zwierzenie się Damianowi z tak intymnych szczegółów dotyczących jej małżeństwa byłoby bardzo nie na miejscu. Na głos wyznała jednak co innego, co również nie dawało jej spokoju.

– Dezydery jest na froncie. Może w każdej chwili zginąć.

– Każdy z nas może w każdej chwili pożegnać się z życiem – odpowiedział. – I to w okolicznościach jak najmniej spodziewanych.

– Memento mori. – Pokiwała głową.

Przyszło jej na myśl, że gdyby miała umrzeć dziś, zupełnie nagle, to wedle tego, czego nieraz miała okazję wysłuchać w kościele, znalazłaby się przed Bogiem w stanie grzechu ciężkiego.

– Właściwie dlaczego za niego wyszłaś? – spytał, patrząc na nią tak przenikliwie, jakby chciał się dostać do wnętrza jej umysłu. Jakby nie był do końca pewien, czy usłyszy szczerą odpowiedź.

Adrianna zachnęła się, bo nawet jemu nie chciała odpowiadać na to pytanie. Nie miała już ochoty wracać wspomnieniami do swojego dzieciństwa, gdy każdy dzień pozbawiał ją złudzeń co do takich wartości jak miłość, lojalność i prawdomówność. Gdy prawda okazywała się kłamstwem, a ci, którym ufała, po kolei ją zawodzili. Przede wszystkim zaś nie chciała mu wyznać, jak bardzo zawiodła się na Rozalii, jego ukochanej siostrze. Wtedy przecież jeszcze wciąż była przekonana, że przywiązanie, które Rozalia okazała jej jako swojej uczennicy, stanowiło jedynie grę pozorów, bo celem jej zabiegów był tak naprawdę Michał Jurczyński. Ale wolała nie ranić Damiana tym wyznaniem. Tym bardziej nie zamierzała przyznawać się, że wyszła za Dezyderego, bo to był wówczas jedyny sposób, aby wydostać się z Jurczewic. By nie patrzeć codziennie na ojca, Rozalię i ich syna.

– Dlaczego zgodziłaś się na związek oparty na tak dziwacznych zasadach? – zapytał ponownie Damian.

Pytanie to nieco ją zirytowało.

– Próbujesz mnie osądzać? – odparła dość ostro.

– Skądże znowu! – Podniósł żatrobliwie obie ręce w górę na znak, że się poddaje. – To oczywiście twoja sprawa. Każdy kieruje się swoimi motywami. Ty wybrałaś właśnie takie. – Spoważniał. – Przepraszam za moje wścibstwo. Nie powinienem był o to pytać.

– Nikt mnie nie zmuszał do tego małżeństwa. – Adrianna była zbyt wzburzona, aby tak od razu przejść nad jego słowami do porządku dziennego. – Wręcz przeciwnie, oprócz ciotki Barcińskiej każdy miał większe lub mniejsze zastrzeżenia.

– W porządku. Wszystko rozumiem.

Czy naprawdę rozumiał? Czy tylko tak powiedział, aby się wreszcie uspokoiła?

Od czasu, gdy w roku tysiąc dziewięćset piętnastym skończyły się intensywne walki na terenie Kongresówki i ta część Królestwa znalazła się pod okupacją niemiecką, a front przesunął się daleko na wschód, kilka razy przyjechała do miasta, aby odwiedzić dalekich krewnych bądź kilkoro znajomych.

Nie mogła sobie zbyt często pozwolić na tego typu wycieczki. Mała Irenka miała wprawdzie zapewnioną opiekę zakochanego w niej dziadka i niani, niemniej ona, jako matka, nie mogła zaniedbywać swoich powinności. Także wobec Radziejowa, które wymagało starań pani domu, a pracy było w nim więcej niż w okresie pokoju. Mimo wszystko, odkąd Irenka wyrosła z okresu niemowlęcego, Adrianna średnio raz na dwa, trzy miesiące wyprawiała się z krótkimi wizytami do stolicy.

Na Damiana natknęła się zupełnie przypadkowo wczesną wiosną tysiąc dziewięćset siedemnastego roku. To ona pierwsza go zauważyła i natychmiast poczuła przyspieszone uderzenia serca. Wychodził z budynku szpitala, obok którego właśnie miała przejść, lecz na jego widok zatrzymała się, a właściwie stanęła jak wryta. Wiedziała, że powinna się cofnąć albo ukryć w bramie, co z tego jednak, skoro nie mogła wykonać najmniejszego kroku. Pomyślała, że powinna przynajmniej się pomodlić, by nie odwrócił głowy w jej stronę, by jej nie spostrzegł i poszedł dalej przed siebie, ale tak naprawdę z całego serca zapragnęła, aby stało się inaczej. Aby odwrócił głowę i ją zauważył. I tak właśnie zrobił.

– Adrianna! Oczom nie wierzę! – wykrzyknął, podchodząc do niej szybko. – Skąd tu się wzięłaś?

– Wracam od krewnych – zdołała jakoś wydusić te słowa.

– Zostajesz dłużej w Warszawie czy spieszysz się do Radziejowa? – zapytał, a ona, widząc, jak wielką radość sprawiło mu to niespodziewanie spotkanie, stopniowo się uspokajała.

– Zostaję do jutra. Zrobiło się dość późno na powrót – wyjaśniła. – Mam tu w Warszawie niewielkie mieszkanie...

– Rozumiem. Twoja córeczka zapewne czeka tam na ciebie w towarzystwie niani albo dziadka – stwierdził wesoło, a ona w tym momencie zarumieniła się po nasadę włosów. Jego jak najbardziej niewinne i ze wszech miar uzasadnione pytanie o Irenkę sprawiło, że Adrianna w jednej chwili wróciła myślami do nocy sprzed dwóch lat, gdy przy pomocy Damiana wydawała to dziecko na świat. Chcąc jak najszybciej odwrócić jego uwagę od swojego zakłopotania, czym prędzej wyjaśniła, że do Warszawy przyjechała sama.

– Jak ma na imię twoja córeczka? Jak ona się miewa?

– Ma na imię Irenka – odparła po chwili, czując ponowny napływ zakłopotania.

Ależ jestem głupia! – bezskutecznie rugała się w myślach. – Zachowuję się jak pensjonarka, a nie jak dorosła kobieta. I w dodatku ubzdurałam sobie nie wiadomo co.

Zauważyła, że cierpliwie czekał, aż mu odpowie, więc się zreflektowała:

– Miewa się znakomicie. Za miesiąc skończy dwa latka.

– Wiem. Pamiętam.

Powiedział to w taki sposób, że ponownie poczuła, jakby zalał ją ukrop. Odwróciła od niego wzrok i właśnie miała zakomunikować, że czeka na nią jeszcze parę spraw do załatwienia i powinna się pożegnać, jednak było jej miło i tak dalej, gdy ni z tego, ni z owego Damian zmienił temat i wskazał na szpital, z którego właśnie wyszedł.

– Pracuję tu od roku – zakomunikował.

– Niebyle! – wykrzyknęła, zanim zdołała sobie przemyśleć bardziej stosowną odpowiedź. – W ciągu ostatniego roku przechodziłam tędy kilkakrotnie. To cud, że nie trafiliśmy na siebie wcześniej.

– A może to cud, że dzisiaj nam się udało? – odparł wesoło. – Może byśmy gdzieś na chwilę usiedli i powspominali stare, dobre czasy, skoro kiedyś nie docenialiśmy ich leniwego uroku? Chyba że wolałabyś raczej ponarzekać na obecne, znacznie gorsze. O ile, rzecz jasna, nigdzie się teraz nie spieszysz i możesz poświęcić mi parę chwil.

Na moment się zawahała. Czy nie powinna jednak odpowiedzieć, że niestety, ale nie ma teraz czasu? A jutro z samego rana musi wracać do Radziejowa. Przecież czekają tam na nią dziecko, teść, obowiązki pani domu. Oczywiście ogromnie się cieszy, że się spotkali, i to tak niespodziewanie, ale powinni odłożyć rozmowę na później. Kiedyś na pewno trafi się okazja, tym bardziej że Damian mieszka tak niedaleko od Radziejowa, a i ona czasem bywa w Warszawie.

Tak pewnie należałoby odpowiedzieć. Z pełną świadomością, że następnej okazji już nie będzie, a ona postara się przyjeżdżać do Warszawy tylko wtedy, gdy okaże się to naprawdę niezbędne. I z całą pewnością nie będzie przechodziła ulicą obok tego właśnie szpitala. Tak powinna była odpowiedzieć kobieta zamężna, której mąż walczył na froncie, i byłaby to może z siebie wydusiła, ale moment zawahania trwał na tyle długo, że Damian zdążył odezwać się pierwszy:

– Czy wiesz, że masz teraz dokładnie taką samą minę jak w chwili, gdy natknęłaś się na mnie w jurczewickim zagajniku? Pamiętasz? Rozmawialiśmy wtedy ze sobą po raz pierwszy w życiu.

Najpierw na mój widok stanęłaś jak wryta, nie wiedząc, czy zostać, czy uciekać, a gdy cię spostrzegłem, nadal się wahałaś. Wyobrażałem sobie, jak zaciętą walkę toczyłaś wtedy ze sobą. Zostać w towarzystwie tego obwiesia czy w miarę grzecznie się od tego wymówić? W końcu jednak zostałaś.

– Nigdy, nawet w myślach, nie nazwałam cię obwiesiem – odparła, pokonując niemałe wzruszenie.

Chciałam wtedy uciekać, bo początkowo nie umiałam widzieć w tobie kogoś więcej niż brata Rozalii, pomyślała, odtwarzając w pamięci każdy szczegół tamtej sytuacji. Ale zostałam, bo zachowywałeś w tak naturalny sposób... Już po kilku minutach miałam wrażenie, że znam cię od wielu lat.

Dziś patrzyła na niego, wiedząc, że i tym razem nie wycofa się, lecz zostanie. Tak jak wtedy. Choć wbrew temu, co przed chwilą zasugerował, to nie było déjà vu, w każdym razie nie do końca. W międzyczasie bowiem wiele się zmieniło. Przede wszystkim ona nie była już wolna. Choć z drugiej strony wtedy, przed laty, także nie mogła dowolnie dysponować własnym życiem. Była uzależniona od swego ojca. I aby skończyć z tym rodzajem zależności, uciekła w małżeństwo.

Tamtego wiosennego dnia spędzili ze sobą prawie trzy godziny, spacerując i rozmawiając, a Adrianna z pewnym zdumieniem i zadowoleniem stwierdziła, że jednak, pomimo początkowych obaw, potrafi z nim gawędzić tak swobodnie i naturalnie jak kiedyś. Jakby nie istniały lata, podczas których nie mieli okazji się widzieć. Jakby nie było wojny i okopów, w których umierali żołnierze. Jakby na ulicach Warszawy nie natykali się na niemieckich wojskowych, zamiast jak kilka lat temu na rosyjskich, co przypominało o zmianie linii frontu i sytuacji na Wschodzie.

Jakbym nie miała męża na froncie i dziecka, któremu ten oto człowiek umożliwił przyjscie na świat. – Na tę refleksję Adrianna pozwoliła sobie dopiero, gdy wracała do Radziejowa.

– Gdybyś kiedyś ponownie zawitała do Warszawy, moglibyśmy się spotkać – wspomniał Damian, gdy zegnali się wieczorem nieopodal warszawskiego mieszkania Rawickich. – To już jednak zależy od ciebie. Jeśli zechcesz, daj mi tylko znać.

Odpowiedziała wtedy coś niezobowiązującego. Nie brała pod uwagę takiej możliwości. Bo niby w jaki sposób „miała mu dać znać”? Nie wypadało i już.

Wracając do domu i odtwarzając w pamięci każdy szczegół ich spotkania, każde słowo, doszła jednak do wniosku, że przecież nie wydarzyło się nic niestosownego. Spędziła kilka godzin na miłej pogawędce z dawnym znajomym. Czemu miałyby tego nie powtórzyć, gdyby nadarzyła się okazja?

Podświadomie jednak czuła, że igra z ogniem.

Przyjechała do Warszawy dwa miesiące później, a potem odwiedzała stolicę z podobną częstotliwością. I przynajmniej sama siebie nie mogła już oszukiwać, kto jest właściwym celem tych wizyt. Przez ponad rok nie przekroczyli granicy, za którą jest już miejsce na bardziej intymne relacje. Ich spotkania ograniczały się początkowo do miłych pogawędek – najpierw dobrych znajomych, potem nabrały charakteru poważnych, szczerych rozmów dwojga doskonale się rozumiejących przyjaciół, by wreszcie przyjąć formę intymnych rozmów bliskich sobie osób.

Gdy we wrześniu osiemnastego roku Adrianna zdecydowała się po raz pierwszy nie odmówić zaproszeniu do jego mieszkania, miała już pełną świadomość, że teraz głównie od niej będzie zależeć, w jakim kierunku ewoluuje ich znajomość. To ona miała zdecydować, czy poprzestaną na platonicznym związku, czy też wręcz przeciwnie.

– Przecież wiesz, jak bardzo cię pragnę – mówił Damian – ale decyzja należy do ciebie.

Zatem kości zostały rzucone. Zdecydowała się przekroczyć ten Rubikon. I przez wiele godzin czuła się naprawdę szczęśliwa.

– Wracaj tu jak najszybciej. Nie wyobrażam sobie czekania na ciebie przez kolejne kilka tygodni – powiedział, gdy zgodnie z wcześniejszą sugestią opuszczała jego mieszkanie nie bladym świtem, ale dopiero w południe.

Obiecała, że zrobi w tej sprawie, co tylko zdoła, choć nie będzie to łatwe zadanie.

– Co nie znaczy, że niemożliwe. – Usłyszała jeszcze na pożegnanie.

Z tych marzeń i upojnych wspomnień otrząsnęła się, gdy na rozwidleniu dróg za Broniszczami



mimowolnie zerknęła na tę, która prowadziła do Jurczewic. Z prędkością błyskawicy uprzytomniła sobie, że to, co zrobiła ostatniej nocy, odbiera jej wszelkie prawo do potępiania ojca i Rozalii.

Niemniej już wtedy postanowiła, że taka noc już się nie powtórzy. Nie ma prawa się powtórzyć. Ona, Adrianna, nie pójdzie śladami ojca, który swoim romanssem zniszczył rodzinę. Nie będzie też taka jak matka, która nie potrafiła okazać ciepła swoim dzieciom i nie umiała być dobrą żoną co – jak by nie patrzeć – popychało ojca w ramiona innej kobiety. Nie będzie też taka jak Rozalia, ale to jest przecież oczywiste. O roli, jaką w życiu Jurczyńskiego odgrywała ciotka Cecylia, miała się dowiedzieć dopiero kilka lat później.

Na widok Irenki i teścia, którzy wyszli jej na spotkanie, niemal się rozpląkała. Rozczulił ją nawet widok kilkorga służących i niewiele brakowało, a ucałowałyby starą kucharkę, gdy ta wyraziła zadowolenie z powrotu pani.

– Jednak dom bez swojej pani to jak okręt bez kapitana – rzekła pocziwa Marcjanna. – I niech no pani spojrzysz na to coś, z czego mam ugotować obiad. Tylko czekać, aż wszyscy będziemy wyglądać tak nędznie jak ta kura, jeśli się ta przeklęta wojna wreszcie nie skończy.

Niemal natychmiast wzięła się do ciężkiej, fizycznej pracy w majątku. Nie bacząc na lamenty i protesty wszystkich dookoła, podjęła się tych samych czynności co służba. To pomagało porządkować myśli i uspokajać emocje. Jednak tylko w ciągu dnia. Nocą wszystko wracało. Wprowadzie po wypełnionych pracą dniach zasypiała bardzo szybko, często jednak budziła się nad ranem, gdy było jeszcze ciemno. Podnosiła się wtedy z łóżka, podchodziła do okna i... Nic nie mogła poradzić na to, że znowu była w Warszawie i biegła na spotkanie z Damianem – choć to już tylko była gra jej wyobraźni, wspomnień, marzeń. Znowu do niego mówiła, zwierzała mu się z godzin rozterek, samotności, tęsknoty... Jednak już nie otrzymywała odpowiedzi.

Wiem, powinnam do ciebie napisać, że to już koniec. Ale to nie takie proste. Może mnie zrozumiesz, a może nazwiesz tchórzem, ale... tak dłużej nie można. Ja nie mogę, nie wolno mi. Przepraszam, kochany.

Nie mogła zapomnieć słów, które do niej skierował, gdy widzieli się ostatnio.

Wracaj jak najszybciej, prosileś, i byłam wtedy pewna, że spełnię twoje, ale i moje pragnienie. Choć nie będzie to takie proste, ale chciałam podjąć ryzyko, spróbować. Jednak teraz wiem, że tak nie można, choć to boli... Tak bym chciała, abyś wiedział, że naprawdę nie jest mi łatwo. To naprawdę boli. Potrafiłbyś mi uwierzyć? Zrozumieć mnie?

Aby być pewną, że wytrwa w swojej decyzji, próbowała czytać listy od Dezyderego, ale tekst albo zamazywał jej się przed oczami, albo nie rozumiała ani słowa. Czowała się wobec niego winna, bardzo winna, lecz co z tego? Tylko jego jeden list była w stanie odczytywać wciąż od nowa. Ten, który był odpowiedzią na jej wiadomość o spodziewanym powiększeniu rodziny – wtedy, gdy oczekiwała narodzin Ireny. Czytając słowa, które pojmowała jako jednoznaczną deklarację mężowskiej lojalności i miłości, była gotowa złożyć najsolenniejszą obietnicę, że już nigdy więcej nie pojedzie do Warszawy. Bo gdyby tylko się tam znalazła, prawdopodobnie od razu pobiegłaby do mieszkania Damiana.

Jestem taka jak mój ojciec, niedaleko padło jabłko od jabłoni, myślała z rozpaczą, by za chwilę podejmować kolejne rozpaczliwe postanowienie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby udowodnić, że potrafi być inna. Nie zrani Dezyderego, nie zasłużył na to. Nie zawiedzie teścia, nie skompromituje się w oczach sąsiadów i służby domowej. Jej córeczka będzie miała szczęśliwy dom rodzinny. Inny niż ten, który ona sama pamięta z własnego dzieciństwa. Boże, uchowaj Irenkę przed takim losem!

Czasami – później – zastanawiała się jednak, czy dałaby radę wytrwać w swym postanowieniu, gdyby nie dwie okoliczności, które jej w tym pomogły. Po pierwsze jesienią osiemnastego roku było już oczywiste, że niemiecki walec militarny się zatrzymał, a potem został zepchnięty ze swojej trasy. Ostateczna klęska Cesarstwa była już kwestią najbliższego czasu, a monarchia austro-węgierska rozpadła się na kawałki. Pod koniec października na terenie Królestwa Kongresowego Niemcy i Austriacy wyraźnie dawali do zrozumienia, że w gruncie rzeczy marzą już o jednym – o zakończeniu wojny i bezpiecznym powrocie do domu, do pozostawionych tam na pastwę losu rodzin. Rozbrajanie ich w tych warunkach nie przedstawiało większych trudności i z pewnością nie był to okres sprzyjający

bezpiecznym podróżom po kraju, zwłaszcza w przypadku kobiet.

Ale był jeszcze jeden powód, dla którego nie ruszyła się już z Radziejowa przez najbliższy rok.

W październiku wrócił do domu Dezydery.

Adrianna była pewna, że do końca życia nie zdoła zapomnieć wstrząsu, jakiego doznali wszyscy mieszkańcy Radziejowa, gdy jej mąż zupełnie niepodziewanie wszedł do jadalni. Siedząca przy stole rodzina i krzątająca się służba dosłownie osłupiały.

– Spokojnie, nie jestem duchem – powiedział wtedy wesoło. – Nie przeniknąłem przez zamknięte drzwi.

I właśnie wtedy, gdy usłyszała jego głos, wesoły, niefrasobliwy ton, po którym zawsze i wszędzie by go rozpoznała, ostatecznie zrozumiała, że jednak nie złamie swojego postanowienia. Bo teraz jest już oczywiste, że od tej pory los i przeznaczenie pokierują jej dalszymi krokami. Przez wiele następnych lat tak właśnie uważała. Aż do chwili, gdy pod kościołem w Broniszczach Eliza przedstawiła jej Olgierda Reńskiego.

– I nie spotkałaś się z nim już nigdy więcej? Choćby po to, aby mu... wyjaśnić?

Dzięki Bogu Irena nie stroiła zgorszonych min. Nie miała przerażenia w oczach. Słuchała w skupieniu, nie przerywając, tak jakby zapoznawała się z jakimś wymagającym najwyższej koncentracji sprawozdaniem. Mimo wszystko, gdy wreszcie zadała to pytanie, dała wyraz swojemu, może nie oburzeniu czy nawet zakłopotaniu, ale pewnego rodzaju zaskoczeniu.

Adrianna uśmiechnęła się słabo.

– Uznałam, że lepiej nie kusić losu, a poza tym założyłam, że on się jakoś sam domyślił albo od kogoś innego dowiedział o powrocie twojego ojca. Że rozumiał.

– Bałaś się kusić los – powtórzyła cicho Irena. Nie patrzyła na matkę, lecz na spadające z pobliskiego drzewa kasztany.

Adrianna była jej za to wdzięczna. Chyba nie potrafiłaby znieść spojrzenia córki, nadal bowiem nie miała pewności, co by z niego wyczytała. Bez tego patrzenia sobie w oczy było łatwiej, przynajmniej na razie.

– Skoro bałaś się kusić los i wierzyłaś, że on cię zrozumie, to znaczy, że byliście sobie naprawdę bardzo bliscy – podjęła po dłuższym milczeniu Irena.

Adrianna nie odpowiedziała, bo zaprzeczanie byłoby kłamstwem, a ona postanowiła być szczerą. Wolą jednak nie potwierdzać, bo nie była pewna, jak córka by to przyjęła. Na razie Irena panowała nad emocjami, zawsze była przecież taka rozsądna, umiała też być twarda. Jednak każdy człowiek ma granice własnej wytrzymałości, a córka dowiadywała się teraz rzeczy, które wstrząsnęły jej znanym i jako tako poukładanym życiem.

– I już go więcej nie spotkałaś – bardziej stwierdziła, niż spytała. Wciąż tym samym spokojnym, wyciszonym tonem. Jakby się bała mówić głośniej. Jakby się bała, że zacznie krzyczeć.

– Spotkałam go dopiero kilkanaście miesięcy później – odparła Adrianna. – Na pogrzebie mojego przyrodniego brata – dodała ciszej. – Myślałam, że pamiętasz, że ja i... twój ojciec pojechaliśmy wtedy do Krakowa. Gniewałaś się na nas, bo nie zgodziliśmy się zabrać cię ze sobą. Było tak zimno. Zostałaś z dziadkiem i z Elizą w Radziejowie.

– No tak, przypominam sobie. A czy on... – Irena wciąż wołała nie wymieniać imienia ani nazwiska. – A zatem spotkałaś go tam?

– Oczywiście. Krzysztof był jego siostrzeńcem.

– I co? Rozmawiałaś... z nim?

– Tak, ale bardzo krótko.

Przecież postanowiła być szczerą. Skoro zdecydowała się w końcu to wyznać, musiała mówić prawdę. To znaczy nie kłamać, niemniej... pewne detale, te najbardziej intymne, zachować dla siebie.

– I nadal mu niczego nie wyjaśniłaś?

– Nie było takiej potrzeby. On już przecież wiedział i rozumiał. A poza tym od tamtego czasu oboje zdążyliśmy nabrać dystansu.

Boże, wybaczone, jak to zabrzmiało! Jaka wyniosła oschłość i jaki chłód w głosie! Widziała teraz siebie samą sprzed lat, gdy stopniowo stawała się taką zdystansowaną wobec ludzi, pretensjonalną damą, której własne dorastające córki przestały się zwierzać ze swoich spraw. Czy ten proces wewnętrznej przemiany, tego przywdziewania grubej skóry i zakładania maski zaczął się właśnie po pogrzebie Krzyśka? A może już wcześniej? Albo kilka lat później? Fakt faktem, że skóra ta dość silnie do niej przywarła, choć z upływem kolejnych lat tu i ówdzie się powycierała. Pewnie te powycierane i gdzieś tam popękane szwy w którymś momencie sprawiły, że nieco złagodniała. A może sprawiły to utrata Radziejowa i Jurczewic, konieczność przestawienia się na inną organizację życia, nabycia nowych zwyczajów, a także narodziny wnuków? Wnuki wyzwalają w człowieku te najcieplejsze, najczulsze cechy osobowości, przynajmniej w jej wypadku tak się stało. Mimo to trudno było tak nagle zedrzeć do reszty tę starą, zniszczoną skórę, skoro nadal w niektórych miejscach tak mocno przywarła

do ciała!

– Mam rozumieć, że wymieniliście kilka konwencjonalnych uwag stosownie do okoliczności pogrzebowych?

Czyżby w głosie córki usłyszała ironię? Nawet jeśli – postanowiła przejść nad tym do porządku dziennego. Irena i tak była bardzo dzielna, przynajmniej do tej pory. A ona, Adrianna, decydując się na wyznanie prawdy, nie mogła przecież oczekiwać bezwarunkowego zrozumienia ze strony córki. O jej aprobacie dla grzechów młodości matki nawet nie myślała.

– Niezupełnie – przyznała po chwili wahania Adrianna.

\*

– Tak mi przykro – wymamrotała, gdy wreszcie znaleźli się z Damianem blisko siebie. Pozostali żałobnicy zgromadzili się wtedy w innym pomieszczeniu, jednak Adrianna miała świadomość, że nie zdoła mu powiedzieć niczego naprawdę ważnego. Czas, jaki mieli dla siebie, był zbyt krótki, a okoliczności nie sprzyjały rozmowie.

Spojrzał jej uważnie w oczy i skinął głową.

– Przecież nie mogłam postąpić inaczej.

– Wiem.

– Masz do mnie żal, że wtedy do ciebie nie przyjechałam – wyszeptała, bo była niemal pewna, że usłyszała w jego słowach wymówkę.

– Nie myśl tak. Dobrych wspomnień nikt mi przecież nie odbierze. – Jego oczy na ułamek sekundy nabrały pogodnego, wręcz figlarnego wyrazu. Była tego pewna, choć zaraz spoważniał i dodał:

– Przecież od początku się z tym liczyliśmy. Takie jest życie.

Tak bardzo wtedy zapragnęła wyznać mu to, co od lat leżało jej na sercu, zwłaszcza że być może nigdy więcej się już nie zobaczą. Jednak w tym samym momencie, gdy mimowolnie podążyła śladem jego spojrzenia, spostrzegła zbliżającego się do nich Dezyderego. Nie pozostawało jej już zatem nic innego, jak bez słowa skinąć głową na pożegnanie i podejść do męża.

\*

– Dobrze – westchnęła Irena, wybudzając ją z tego krótkiego wspomnienia. Nawet zmusiła się do uśmiechu. – Powiedzmy, że ci wierzę. A raczej, że chcę ci wierzyć.

– Doceniam to – odpowiedziała Adrianna.

I dopiero wtedy, po raz pierwszy od dłuższego czasu, Irena spojrzała matce prosto w oczy.

– Właściwie dlaczego zdecydowałaś się opowiedzieć mi o tym? Tak nagle... po tylu latach.

Adrianna pod wpływem tego spojrzenia znowu poczuła znajome klucie w klatce piersiowej. Ten ból odzywał się już od kilku tygodni, ale ostatnio jakby częściej i dotkliwiej.

– Pewnej nocy przyszło mi do głowy, że mogę niespodziewanie umrzeć, a nie chcę zabierać ze sobą takiego sekretu – oznajmiła niepewnie, doskonale zdając sobie sprawę, jak to niemądrze zabrzmiało. – Całe lata wolałam milczeć, ale... zmieniłam zdanie.

Irena podniosła się i podeszła do skraj schodów. Stojąc plecami do matki, potrząsnęła głową.

– Zmieniłaś zdanie, bo obudziły cię przejeżdżający samochód i skrzypnięcie starej furki? – Pragnęła włożyć w te słowa odpowiednią dawkę ironii, ale nie końca jej się to udało. – W takim razie dziwię się, że dopiero taki przypadek dał ci do zrozumienia, że niekoniecznie możesz się tutaj czuć bezpiecznie.

– Może to był tylko sen – zaoponowała Adrianna, lecz po chwili dodała już ciszej: – Wtedy uznałam, że to może być jakiś znak... ostrzeżenie. Wiem, że pewnie uważasz mnie za starą wariatkę.

– Tata... Czy on dowiedział się o... tamtym mężczyźnie? – przerwała jej Irena.

Tym razem Adrianna nie odpowiedziała.

– Ja nie mogę cię wypowiadać ani rozgrzeszyć – podjęła wobec tego Irena. Mówiła łagodnie, niemal ze współczuciem. – I chyba nie do mnie należy wybaczenie.

– Nie proszę cię o to. – Adrianna uznała, że lepiej pozostać na miejscu, nie podchodzić do córki,

nie próbować jej obejmować. Mogłoby to zostać niechętnie przez nią przyjęte. – Niejednokrotnie miałam jednak wrażenie, że ty domyślałaś się czegoś lub coś podejrzewałaś, chciałaś nawet ze dwa albo trzy razy zapytać, ale zawsze cię zbywałam.

– Nigdy cię nie podejrzewałam o pozamałżeński romans – odparła Irena, w dalszym ciągu nie odrywając oczu od ogrodu pławiącego się we wczesnojesiennych barwach, ale nadal pełnego uroku pogodnego, choć późnego, lata. – Jak przez mgłę przypominam sobie, że czasem jeździłaś do Warszawy, ale nie jestem pewna, czy naprawdę to pamiętam, czy też dziadek mimochodem coś mi o tym wspomniał, gdy już byłam starsza. A o romans cię nie podejrzewałam, bo zawsze byłam przekonana, że ty i tata byliście ze sobą szczęśliwi.

– Skoro tak, to dlaczego tak gnębiła cię myśl, że może niepotrzebnie wspomniałaś Uli o doktorze Reńskim? – spytała trzeźwo Adrianna.

Tyle zdziałała, że córka wreszcie odwróciła się w jej stronę.

– Rzeczywiście, punkt dla ciebie, mamó – rzekła, wykrzywiając twarz w słabym uśmiechu. – Tak, chyba rzeczywiście miałam takie dziwne przeczucie, ale nie było ono poparte żadnymi dowodami. W każdym razie dotyczyło twojej przeszłości z czasów, zanim wyszłaś za tatę. Chyba czasem kołatała mi się po głowie bardzo romantyczna myśl, czy ty przypadkiem, jako młoda panna, nie byłaś zainteresowana bratem twojej macochy, choć potem zdecydowałaś się zostać żoną innego. To wszystko. W sumie bardzo niewinne dociekania.

– Rzeczywiście bardzo niewinne – skwitowała Adrianna, nie będąc pewna, czy Irena jest z nią teraz szczerą, czy nie.

– Jedno mnie w tym wszystkim zastanawiało – szepnęła Irena. – Że jeśli było tak, jak sobie wykombinowałam, to jak mogłaś znieść, że ten człowiek był obecny przy porodzie twojego dziecka.

– Przecież dobrze wiesz, że nie miałam innego wyjścia. – Adrianna poczerwieniała. – Chodziło o moje, a także o twoje życie. Czy podobnie jak ciotka Cecylia uważasz, że powinnam była raczej umrzeć, przy okazji narażając także ciebie?

– Nie robię ci z tego powodu wymówek, nie denerwuj się. Domyślałam się tylko, jakie to musiało być dla ciebie trudne. – A ponieważ Adrianna milczała, dodała już znacznie cieplejszym tonem: – Ale dziękuję, że mi o tym wszystkim opowiedziałaś.

– Długo się wahałam... sama ze sobą toczyłam zajadłe walki. Wiedziałam, że cię zranię...

– Nie martw się o mnie, jestem już duża. A poza tym... to już stare dzieje.

– Naprawdę tak myślisz?

Co za głupie pytanie zadałam, pomyślała zaraz ze złością Adrianna. Jedno z tych, na które nie wiadomo, co odpowiedzieć. Które mogą skłonić do odpowiedzi nieszczerzej.

– Cieszę się, że postanowiłaś mi zaufać – odparła Irena. – Nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek wcześniej porozmawiały ze sobą tak od serca. Zakładałam oczywiście, że mnie kochasz, ale... był w tobie jakiś dystans, który nie pozwalał zbliżyć się do ciebie.

Dlatego ani ty, ani Eliza nie zwierzałyście mi się ze swoich problemów. W pewnym sensie wy także trzymałyście się ode mnie z daleka. Ale to moja wina, co do tego Irena ma rację, skwitowała w duchu Adrianna.

– Teraz wszystko się zmieni. Nie będzie już między nami żadnych sekretów, żadnej zapory, niczego – dodała jeszcze Irena.

– Tak – potwierdziła jej matka, bo domyśliła się, że córka oczekuje od niej odpowiedzi. Powinna była dodać coś jeszcze, jednak nie dała rady, więc tylko powtórzyła bezwiednie: – Tak...

Nie! – Wszystko w niej krzychało. – Nic z tego. Bo nie powiedziałaś jej wszystkiego, ona nie wie o najważniejszym.

– Masz prawo czuć do mnie żal – rzekła ostrożnie.

– A co to zmieni? – Irena po namyśle potrząsnęła głową. – Tak, w pierwszej chwili poczułam wściekłość, ale na litość boską, nie jestem już dzieckiem ani przewrażliwioną, dorastającą panienką. Potrafię się z tym uporać. Najważniejsze, że potrafiłaś to zakończyć. Zrezygnowałaś z tamtej miłości, zakończyłaś romans. Nie tak jak twoja ciotka i twój ojciec. Teraz rozumiem, dlaczego nie mogłaś im

wybaczyć. – Objęła matkę ramieniem. – Bo ty, w przeciwieństwie do nich, szybko się opamiętałaś. Wybrałaś dobro rodziny. Ja i Eliza miałyśmy normalny dom, taki, w którym pod jednym dachem jest dwoje rodziców. Zrobiłaś to dla nas. Wierzę, że i dla... tatusia. Nie, mamo, nie czuję do ciebie żalu.

Adrianna marzyła w tym momencie o jednym – aby córka poluzowała trochę uścisk.

A może ona chce mnie udusić? – pomyślała nagle i zaraz przeraziła się, że z jej umysłem musi być już bardzo źle, skoro podobny absurd mógł jej przyjść do głowy. Mimo to nadal pragnęła się uwolnić z ramion córki. Niebawem, zważywszy, że jeszcze parę minut temu sama z trudem pokonała w sobie pokusę, by do niej podejść i się przytulić.

– Wczoraj doszłam do wniosku, że lepiej będzie, jeśli sama ci to powiem, niżbyś jakimś cudem po mojej śmierci miała wpaść na ślad tamtej sprawy. To mało prawdopodobne, ale życie przynosi nie takie niespodzianki. Nie mogłabym już wtedy niczego ci wyjaśnić. I kto wie, jak byś to sobie wytłumaczyła. Może nigdy byś mi nie wybaczyła milczenia.

Ku jej wielkiej uldze Irena wypuściła ją wreszcie z objęć. W spojrzeniu córki było jednak coś, co Adriannę ponownie zaniepokoiło.

– Dlaczego mówisz tylko o mnie? – spytała córka. – O tym, co ja czuję, co ja bym zrobiła, co ja bym pomyślała. A co z Elizą? Jej nie bierzesz pod uwagę?

Adrianna była przygotowana na to pytanie, choć miała nadzieję, że może ono jednak nie padnie. Na wszelki wypadek miała też zawnocześnie przygotowaną sensowną odpowiedź. Co z tego jednak, skoro w tym właśnie momencie zapomniała każde słowo! Zbladła, zakręciło jej się w głowie i jedynym, co zdołała z siebie wydusić, było imię młodszej córki. W dodatku wymówione takim tonem, jakby nie była pewna, o kogo właściwie chodzi.

– Eliza?

– Jej o tym nie opowiesz? – Irena najwyraźniej nie dawała za wygraną.

– W jaki sposób? – Adrianna wreszcie zapanowała nad emocjami i wzięła się w garść. – Ona jest tak daleko. Gdy tu była, zachowywała się wobec mnie jak obca osoba, o ile nie gorzej. Od lat już do siebie nie piszemy. Nawet sobie nie wyobrażam, że mogłabym teraz usiąść nad kartką papieru i to wszystko, co opowiedziałam tobie, napisać również do niej...

– Chodzi o Olgerda, nie mylę się, tak? – przerwała jej niecierpliwie Irena.

– Sama zrozum, że...

– Chodzi o to, że Olgerd był jego synem, prawda? Dlatego obawiasz się reakcji Elizy.

Na Boga, tak... A poza tym... Tego nie da się powiedzieć, pomyślała. Po raz kolejny nie da sobie z tym rady.

– Tak? – powtórzyła bezlitośnie Irena.

– Tak.

– Boisz się, że będzie wściekła? A może jednak zrozumie. Minęło tyle czasu.

– Dla niej to wciąż świeża rana. Słyszałaś, co mówiła. Nie wybaczyła, więc nie zrozumie.

Irena ponownie się podniosła i podeszła do schodów prowadzących z ganku do ogrodu. Nie zeszła jednak na dół, zawróciła.

– Jeśli pozwolisz, ja jej o tym napiszę – rzekła nieoczekiwanie.

Adrianna, która w pierwszej chwili chciała gwałtownie zaprotestować, nagle poczuła się jak balon, z którego zaczęło uchodzić powietrze. Opuściła ręce i wzruszyła ramionami. Nie miała już sił do dalszej rozmowy, tym bardziej do przekonywania i dyskusji.

– Dobrze – rzekła cicho, ale zanim Irena zdążyła uchwycić jej dłonie, dodała: – Ale po mojej śmierci.

– Mamo... to przecież bez sensu.

– Jestem zmęczona – szepnęła Adrianna. – Chyba się położę.

– Mamo...

– Na dziś wystarczy.

Zabrzmiało to na tyle stanowczo, że Irena postanowiła dać już spokój. Zresztą matka wyglądała naprawdę mizernie. Nic dziwnego. Z tego, co mówiła, niezbitnie wynikało, że od kilku nocy prawie nie

spała. Irena potrafiła sobie wyobrazić, jakie jej matka musiała przeżywać męczarnie, jak ciężkie wewnętrzne walki toczyć sama ze sobą, zanim zdecydowała się pójść na pocztę i zadzwonić do niej do pracy z prośbą o spotkanie. „Przyjedź, muszę ci coś powiedzieć”. Irena omal nie spadła z krzesła, gdy to usłyszała, choć przecież wcześniej nieraz się zdarzało, że Adrianna dzwoniła do niej do pracy – żadna z nich nie miała aparatu telefonicznego w domu – aby dowiedzieć się, co słyhać u niej, u zięcia, u wnuków i oczywiście zaprosić do siebie, do Broniszcz. Tym razem w jej głosie było jednak coś, czego Irena nie potrafiłaby nazwać, a zabrzmiało dość niepokojąco.

– Stało się coś złego? – spytała pełna najgorszych przeczuć.

– Nic podobnego. Ale chcę ci o czymś opowiedzieć.

– Przyjadę tak szybko, jak zdołam. – Irena nadal czuła zimny dreszcz na plecach i choć matka zapewniła ją, że chodzi tylko o rozmowę i nic złego się nie stało, Irena niemal stanęła na głowie, by dostać dwa dni wolnego tak szybko, jak się tylko dało, i przyjechać do Broniszcz.

Wracając już do Warszawy, raz jeszcze odtwarzała w pamięci słowa Adrianny. Szczęśliwie siedząca obok niej w autobusie kobieta nie przejawiała najmniejszej ochoty do rozmowy, najwyraźniej także była pochłonięta swoimi myślami.

Jeszcze trochę, a skończy się wrzesień, dumiała, obserwując mijane po drodze drzewa. Jeszcze trochę, a zaczniecie gubić te swoje piękne, kolorowe liście. Jeszcze trochę i wystawicie ku niebu nagie gałęzie niczym sterczące kikuty... A ja może nabiorę dystansu do tego, co powiedziała mi matka. Już nabieram. Im dalej jestem od Broniszcz, tym bardziej jej opowieść wydaje mi się nierealna. Może pewnego dnia po prostu stwierdzę, że właściwie nic mnie to już nie obchodzi.

Czy wobec tego warto pisać o tym wszystkim Elizie? Teraz, gdy autobus zbliżał się już do Warszawy, Irena coraz bardziej sceptycznie podchodziła do tego pomysłu. Inaczej niż wczoraj, gdy patrzyła na tonący w kolorach ogród. Kłębiący się na dworcu tłum oczekujących na transport do domu, dzwoniące nieopodal zatłoczone tramwaje, potracający się na chodnikach zmęczeni przechodnie, kolejki, które widziała przez szyby każdego mijanego sklepu – wszystko to coraz bardziej utwierdzało Irenę w przekonaniu, że codzienność dostarcza zbyt wielu problemów, by szukać nowych. A informowanie Elizy o tym, co w przeszłości zrobiła ich matka, mogło owe problemy oznaczać. Adrianna miała co do tego rację. Eliza nie wybaczyła i nie zamierzała starać się niczego zrozumieć.

Czy ojciec wiedział?

Na samą myśl o tym Irena aż zatrzymała się na środku chodnika. Pamiętała, że zadała wczoraj takie pytanie matce, a ta nie odpowiedziała, ona zaś potem zapomniała do tego wrócić.

Teraz nagle zapragnęła poznać odpowiedź, ale było to poza jej możliwościami. Tylko matka ją znała, wyglądało jednak na to, że chciała zatrzymać dla siebie.

– Co pani wyprawia? – fuknął jakiś biegnący mężczyzna, który potracił ją, bo stała nieruchomo na środku chodnika.

To przywróciło jej poczucie rzeczywistości, przynajmniej na tyle, by zdołała dotrzeć do najbliższej ławki. Trudno, obiad i zakupy tym razem muszą poczekać. Miała świadomość, że coś ją przed chwilą zaniepokoiło i musiała sobie przypomnieć albo zastanowić się, co to było.

Ach tak... Czy ojciec wiedział o zdradzie matki? Na to pytanie nie znała odpowiedzi.

Dezydery wrócił do Radziejowa w październiku osiemnastego roku. Irena pamiętała, jak się go początkowo obawiała, traktowała jak obcego, który naruszył rodzinny porządek, jaki do tej pory znała. Trwało to dobrych kilka miesięcy, dopiero narodziny Elizy zmieniły jej nastawienie do Dezyderego, bo jako jedyny nie skoncentrował większości uwagi na nowym dziecku, a nadal wyróżniał ją, Irenę. Nawet dziadek stracił wtedy głowę dla noworodka, dlatego Irena przywiązała się wówczas do ojca. Eliza urodziła się w maju. Adrianna we wrześniu poprzedniego roku spędziła noc w mieszkaniu Reńskiego.

– O Boże – wyszeptła Irena.

Zerwała się z ławki i chciała biec z powrotem na dworzec, ale w tym samym momencie zakręciło jej się w głowie i poczuła, że nogi ma jak waty. Usiadła więc z powrotem i patrzyła przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Starszy mężczyzna, który zajmował miejsce obok, a którego ona wcześniej w ogóle nie zauważyła, popatrzył na nią z troską.

– Proszę jeszcze odpocząć, tak bardzo pani zbladła. Trzeba się oszczędzać, bo jak się straci zdrowie, to już na nikogo poza Panem Bogiem nie można w tym kraju liczyć. To nie są czasy dla słabych i chorych.



*Co się zaś tyczy Twojej uwagi à propos Ryszarda III Yorka, to oczywiście muszę Ci przyznać rację, choć obawiam się, że podobna opinia nie przysporzy Ci przyjaciół na uczelni. W Anglii wciąż panuje swoisty kult dynastii Tudorów, w tym Henryka VII. Nie kto inny jak sam wielki Szekspir, się o to postarał. To zaś musi oznaczać, że jego mało chwalebne, by nie rzec: zbrodnicze, postęпки trzeba było przypisać komu innego, kto zaś bardziej się do tego nadawał niż król Ryszard III York, który notabene, w przeciwieństwie do Tudora, do końca bohatersko walczył pod Bosworth, a przegrał, bo, w przeciwieństwie do tamtego, zamierzał stoczyć uczciwą walkę, w każdym razie nie uciekał się do podstępów. No i naturalnie przypisywanie mu morderstwa dwóch małoletnich bratanków jest bzdurą. Niestety osobiście wątpię, by biednemu Ryszardowi oddano kiedykolwiek sprawiedliwość.*

*A tak nawiasem mówiąc, moja księżniczko, to dla mnie wielka frajda, że mam z kim prowadzić podobne dyskusje. Cieszę się, że nie zawiodłaś się na studiach historycznych, choć musisz uważać, bo na uczciwy obiektywizm nie zawsze będziesz mogła tam liczyć. Tak czy owak, masz rację, że rozmowa o przeszłości pozwala nam oderwać się od wyjątkowo niekiedy obmierzłej współczesności, choć z drugiej strony ta przeszłość niekoniecznie wyglądała różowo. Wojna Dwóch Róż jest tego dobrym przykładem.*

*À propos przywoływania przeszłości, niewiele brakowało, a byłbym zapomniał. Pamiętasz, jak ci opowiadałem o Damianie Reńskim? O tym, jak natknęliśmy się na niego w Londynie, ja i twoja matka, a potem spotkałem go już tutaj, w Kanadzie? Otóż całkiem niedawno dowiedziałem się od znajomego rodaka, którego spotkałem po dłuższym niewidzeniu, że nasz doktor od kilku lat przebywa w Anglii. Mieszka w Norwich w pobliżu katedry Świętego Jana i praktykuje tam jako lekarz, a przynajmniej tak było do niedawna. Czy nadal jest czynny zawodowo, tego nie wiem. Nie mam też pojęcia, co skłoniło go do powrotu do Anglii, skoro w Montrealu ponoć doskonale sobie radził. Znajomy, który mi o tym doniósł, twierdzi, jakoby Reński tęsknił za starym kontynentem. Podobno sam tak kiedyś zasugerował między wierszami.*

*Przyznam, że się zdziwiłem, bo kiedy ostatni raz go widziałem, nadal miał wiele żalu właśnie do Anglików – o ich stosunek do Polaków po zakończeniu wojny, o gwarancje, jakich udzielili Polsce w trzydziestym dziewiątym i ich nie wypełnili, o Teheran, Jaltę i tym podobne sprawy. A z tego, co usłyszałem, zdecydował się wrócić do Anglii niedługo po tym, jak spotkałem go na owym sentymentalno-patriotycznym zjeździe polonijnym w Montrealu. No cóż, nie zdziwiłbym się, gdyby się nagle okazało, że moje nowiny nie są już aktualne, bo starszy pan postanowił nie bawić się w półśrodki i od pewnego czasu przebywa już na terenie Polski. Może tęsknota okazała się silniejsza od rozsądku, naszym rodakom nadal się to zdarza, zwłaszcza tym starszej daty. Ci na ogół poważnie traktują maksymę o kościach, które najlepiej złożyć w ojczystej ziemi. Młodzi zakładają, że mają jeszcze czas, aby o tym pomyśleć. Choć przecież, jak praktyka życia dowodzi, czasem dzwon może nam „zabić” w najmniej spodziewanym momencie...*

Wysiadając z autobusu na dworcu w Norwich, Ula jednym uchem słuchała żartów koleżanek. Nie umiałyby powtórzyć ani jednego słowa z ich rozmowy. Rozglądała się wokół i wciąż zadawała sobie pytanie, w jakim właściwie celu tu przyjechała. Co ona tu robi? Co chce osiągnąć? Szanse na to, by w niemałym zgromadzeniu mieszkańców i turystów spotkała doktora Damiana Reńskiego, były mniej niż nikłe. Przecież nawet nie wiedziała, jak ten człowiek wygląda. Z tego, co ojciec opowiedział jej jeszcze w Rzymie, wynikało, że przez krótki czas miała okazję widzieć Reńskiego, a on ją, jednak skoro miała wtedy pięć lat, kompletnie tego nie pamiętała.

Mieszka blisko katedry Świętego Jana, przywołała w myślach słowa Ryszarda Borzęckiego. To już coś. Zobacz, jak wygląda miejsce, w którym postanowił osiąść. Czy znajduje się tam choćby najdrobniejszy element czegoś, co może przypominać Broniszczę, Jurczewice... a może którąś z uliczek Krakowa. To jej wystarczy. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się pod nosem z ironią.

Ależ ja jestem głupia! – zrugowała się i roześmiała. – Przecież samej siebie nie muszę oszukiwać.

Prawda była taka, że przyjechała tu, aby zobaczyć człowieka, o którym na dobrą sprawę nic nie

wiedziała. Ani jak wyglądał, ani jaki był dokładny adres jego zamieszkania. I po co to robiła? Bo wedle słów jego zamieszkałej w Krakowie siostry Adrianna i Damian byli w swoim czasie żywo sobą zainteresowani. Na tyle żywo, że obserwujące ich otoczenie zaczęło snuć daleko idące domysły na temat ich dwojga. Domysły, które się nie sprawdziły. O ile w ogóle nie były wytworem wyobraźni bardzo wtedy młodziutkiej Hani Reńskiej i nikogo poza nią.

No tak, analizowała, ale przecież ten człowiek był ojcem Olgierda, którego moja matka nie może odżalować po dzień dzisiejszy. Nawet zerwanie z rodziną i próba ułożenia sobie życia u boku mojego ojca nie zmieniły tego stanu rzeczy. Choć może – o ile mój ojciec się nie mylił w swej ocenie – w końcu by jej się to udało, gdyby nie przypadkowe spotkanie z Damianem w czterdziestym piątym roku w Londynie.

Ryszard Borzęcki był przekonany, że stało się ono momentem przełomowym dla jego małżeństwa z Elizą. Odtąd nic już nie było dobrze. Nawet jeśli jego przekonanie nie opierało się na dowodach, a jedynie na intuicji, to nie można było odrzucić tej tezy. I dlatego, pomimo pozornej absurdalności tego pomysłu, Ula postanowiła pojechać do Norwich i znaleźć się choćby w pobliżu miejsca, gdzie ten człowiek mieszkał. Wejdzie do jakiegokolwiek sklepiku w okolicach katedry i zapyta o mieszkającego w najbliższej okolicy starszego lekarza – Polaka. Niebrytyjska narodowość mogła być znakiem rozpoznawczym.

– Naprawdę zamierzacie spędzić tu cały dzień? – spytała sceptycznie Anne. – Moim zdaniem nawet czterdzieści minut wystarczy, by mieć dość.

– Nigdy tu nie byłaś, a już kręcisz nosem – odparła wesoło Meredith. – Mnie się tu podoba.

– Co ci się podoba? Ten dworzec? Mówiłam, żeby na weekend pojechać nad morze, skoro nadal jest taka letnia pogoda.

Anne zdecydowanie nie podzielała zainteresowania swoich koleżanek zabytkami przeszłości. W przeciwieństwie do nich nie studiowała na Wydziale Historii, niemniej w wielu innych sprawach rozumiała się z nimi doskonale, w studenckim środowisku Cambridgeabrały się jak w korcu maku i potrafiły zorganizować sobie niejedną wspólną rozrywkę. Nie rozumiała, czemu Ula tak się uparła przy wycieczce do Norwich. Może nie tyle się uparła – nawet Anne zauważyła, że koleżanka początkowo sama nie była przekonana do tego pomysłu – ile co pewien czas wspominała o tym jako o pewnego rodzaju ewentualności, którą można by wziąć pod uwagę. A Meredith, ta nieuleczalna maniaczka, jeśli chodzi o penetrowanie starych katedr, zamków, kamieni i muzeów, natychmiast zapaliła się do tego projektu. Anne otrzymała także inne propozycje na spędzenie weekendu – wesołego towarzystwa wśród studenckiej braci jej nie brakowało – co z tego jednak, skoro miała dziwną słabość do obydwu młodych historyczek, tak zafascynowanych odkrywaniem przeszłości, że kiedy tylko mogły sobie na to pozwolić, niemal traciły kontakt z otaczającą je rzeczywistością. Okazywało się to niekiedy irydujące, zarazem jednak intrygujące, a poza tym rozmowy z nimi nie były nigdy ani głupie, ani trywialne. Anne zaś coraz częściej odkrywała, że konwersacje na temat chłopaków, ciuchów i kolejnych cudownych diet – a o tym na ogół rozprawiwały inne dziewczyny – coraz mniej ją bawią.

Widać kto z kim przestaje, takim się staje, myślała teraz ponuro, maszerując jakąś kamienistą uliczką w kierunku zabytkowego centrum Norwich. Jeszcze trochę, a zaplotę włosy tak jak Meredith i, podobnie jak ona, włożę na nos grube szkła, po czym z nosem przy ziemi będę analizować każdy centymetr posadzki czy też podłogi romańskich kościołów. Meredith chyba już zapomniała, że ma dopiero dwadzieścia lat i mogłaby sobie pozwolić na odrobinę szaleństwa, na przykład na plaży, w kostiumie kąpielowym. W przeciwnym razie wkrótce będzie mogła służyć jako model do portretów w stylu wiktoriańskim. Całe szczęście, że przynajmniej Ula zachowała bardziej współczesny wygląd i potrafi jeszcze od czasu do czasu się powyglupiać.

A jednak, kurczę blade, lubiła te dwie babki. Nic na to nie mogła poradzić, że ilekroć miała do wyboru – spędzać czas wedle ich dziwacznych pomysłów czy poszaleć z innymi – w końcu stawiała na to pierwsze. By potem wściekać się w duchu, tak jak teraz.

– Oto i katedra świętego Jana – zakomunikowała Meredith takim tonem, jakby co najmniej szczęśliwie wylądowały na Księżycu. – Może najpierw wejdziemy do środka, a potem obejrzymy

z zewnątrz? Na razie nie ma jeszcze tłumu zwiedzających.

– A przewidujesz, że takowe będą? – mruknęła pod nosem Anne.

Ula w milczeniu rozglądała się wokoło.

– Co z tobą? Masz taką minę, jakbyś się tu z kimś umówiła – rzekła Meredith, co zabrzmiało jak strofowanie rozkojarzonej uczennicy przez surową nauczycielkę.

Ona już nawet wyglądała jak panna Maloway, pomyślała z lekką zjadliwością Anne, której przypomniawszy się myszowata profesorka z ich wydziału. Wcale jej się nie uśmiechało opuszczanie nasłonecznionego placu i zagłębianie w zimnym mroku kościoła. Zaraz jednak skierowała wzrok na Ulę i doszła do wniosku, że Meredith miała trochę racji. Na ogół rozgadana Ula była jakoś dziwnie spokojna i w dodatku rzeczywiście pilnie przypatrywała się spacerującym tu ludziom. W dodatku tak podejrzenie się zaczerwieniła, co zawsze wyglądało zabawnie, choć także i uroczo, zważywszy na jej rudawe niesforne loki wokół lekko piegowatej twarzy.

Czyżby poznała jakiegoś chłopaka i chciałaby nam go przedstawić właśnie tutaj? Na samą myśl o takiej ewentualności Anne poczuła miły dreszczyk podniecenia. Tym bardziej że byłoby to zupełnie niepodobne do koleżanki. Nie tyle miejsce – historyk, nawet zupełnie młody, był do takowego pomysłu zdolny – ile sam fakt, że jakkolwiek chłopak zainteresowałby Ulę. Była niebrzydka, zwracała na siebie uwagę płci przeciwnej, co z tego jednak, skoro najwyraźniej w ogóle jej to nie obchodziło!

– Nie, ja tylko tak... Oglądam plac, to wszystko – wymamrotała Borzęcka, odnosząc się do uwagi Meredith. – Dobrze, możemy wejść do środka...

Możemy? A gdzie się podział entuzjazm historyka? W Anne wstąpiła nadzieja, że może Ula także nie zamierza godzinami wyłącznie zwiedzać i analizować centymetr po centymetrze każdego fragmentu murów i obrazów. Na razie jednak posłusznie podążyła za Meredith do wnętrza katedry. Anne także tam zajrzała – z mocnym postanowieniem, że wyjdzie na zewnątrz, jak tylko zacznie się nudzić albo marznąć.

Uczyniła to po dwudziestu minutach. Koleżanki dołączyły do niej po godzinie.

– I pomyśleć, że nigdy wcześniej tu nie byłam – żżymała się Meredith. – Rodzice pokazali mi katedry w Chartres, w Paryżu, Antwerpii i Brugii, a zupełnie zaniedbali miejsca oddalone zaledwie o dwieście, trzysta mil od domu.

– Zapewne doszli do wniosku, że sama na to wpadniesz. – Anne ziewnęła. – Co do mnie, bardzo żałuję, że moi rodzice nigdy nie wpadli na pomysł, by pokazać mi cokolwiek poza naszą wyspą. No dobra, dziewczyny. Teraz może postaramy się o jakąś strawę dla ciała? Bo moje ciało dopomina się lunchu. Co wy na to?

– Musimy poszukać jakiegoś miejsca bardziej oddalonego od centrów zabytkowych. Tu zedra z nas skórę. – Meredith, schodząc z obłoków na ziemię, od razu uderzyła w sceptyczne tony.

– Ależ nie, z pewnością nie będzie tak źle – zaproponowała z nagłą gwałtownością Ula. – Chodźmy do tamtej knajpki naprzeciwko. Są jeszcze wolne dwa stoliki na zewnątrz. Będziemy mieć widok na katedrę.

– Będziemy płacić za widok? – spytała z niezadowoleniem Meredith.

– Przecież nie weźmiemy porcji jak dla króla. A poza tym przyjechałyśmy tu dla przyjemności, tak czy nie? Możemy chyba sobie pozwolić na choć trochę szaleństwa.

– Stanowczo jestem za – poparła ją Anne, której dodatkowo spodobał się argument o szaleństwie.

– Nie mam zamiaru w ramach oszczędności ograniczać się do porcji frytek skonsumowanych gdzieś na ławce albo kanapki w sklepie spożywczym. Idziemy do tej knajpki.

Pokonana Meredith z ponurą początkowo miną podążyła za nimi, potem jednak wyraźnie się rozpogodziła, ze smakiem pałaszując sałatkę.

– Ty naprawdę kogoś tu szukasz – zauważyła Anne, trącając łokciem przypatrującą się przechodzącym ludziom Ulę. – Przyznaj się, o co ci chodzi.

Ula uznając, że może istotnie nie ma sensu bawić się w detektywa, skoro nie potrafi zrobić tego, jak należy, a jej

brak profesjonalizmu widać jak na dłoni, postanowiła uchylić przed koleżankami rąbka

tajemnicy. Choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie ją wtedy wyśmieją i w zasadzie będą miały rację.

– Dwa miesiące temu dowiedziałam się z listu od ojca, że w Norwich, niedaleko katedry, mieszka dawny znajomy moich rodziców. Przyjaciel mojej babki, Polak. Jest lekarzem, w każdym razie przez długie lata pracował jako lekarz. Jakiś czas temu ich drogi się rozeszły. Ja także trochę go pamiętam – dodała, naciągając nieco fakty. Musiała jednak jakoś uzasadnić, dlaczego akurat ona była zainteresowana tym człowiekiem, z którym reszta rodziny straciła kontakt. Niemniej zdawała sobie sprawę, że jej wyjaśnienie zabrzmiało dość dziwnie. – Tyle że nie znam jego adresu.

– I co? Rozglądasz się po ulicy w nadziei, że nagle go zauważysz? – zapytała Anne, a w jej oczach pojawił się wyraz rozbawienia.

– Wiem, co o tym myślicie. Od początku to wiedziałam. – Nagle Ula przestała zachowywać się jak zawstydzona nastolatka. Spojrzała na obie koleżanki śmiało, zuchwale. – Dlatego początkowo zamierzałam przyjechać tu sama. Ale kiedy się wygadałam, że planuję wycieczkę do Norwich, Meredith od razu zapaliła się do tego pomysłu i...

Umilkła, ponownie zawstydzona. To, co powiedziała, także nie zabrzmiało najlepiej. W dodatku trochę nieuprzejmie. I tak właśnie rozumiały to obie jej koleżanki.

– Mogłaś od razu powiedzieć, że wolisz jechać sama, bo chcesz kogoś odwiedzić – odezwała się urażonym tonem Meredith.

– To nie tak – zachnęła się Ula. – Nie potrafię tego wytłumaczyć. Poza tym dobrze się stało, że jesteście tu ze mną. Wątpię, czy naprawdę bym się zdecydowała przyjechać tu sama. Od zamiaru do realizacji droga u mnie daleka.

– Życzą sobie panie deseru? Polecam znakomity crème brûlée. – Przy ich stoliku stanął niemłody już kelner.

Anne, rzuciwszy nań okiem, ni z tego ni z owego zapytała jednym tchem:

– Czy przychodzi tu czasem na lunch starszy pan, Polak, mieszkający w bliskim sąsiedztwie katedry? Jest lekarzem, o ile nadal praktykuje.

– Odbiło ci? – syknęła kompletnie zbita z tropu Ula.

Jakby tego było mało, znowu poczuła, że jej twarz powleka się szkarłatem. Kelner w pierwszej chwili patrzył na nie tak, jakby przemówiły do niego w obcym, niezrozumiałym dla niego języku.

– Proszę się nie przejmować. Koleżanka lubi czasem pożartować – zwróciła się bezpośrednio do mężczyzny zmieszana Ula. – A za deser dziękujemy. Nie wątpię, że jest pyszny, ale...

– Ja bym chętnie spróbowała – wtrąciła się niepoprawna winowajczyni całego zamieszania. – W ogóle bardzo mi się tu podoba. A kto przed chwilą mówił, że powinniśmy zaszaleć?

– Na litość boską – szepnęła zupełnie bezradna wobec koleżanki Ula i spojrzała z nadzieją na Meredith, oczekując, że przyjdzie jej z odsieczą. Przecież jeszcze czterdzieści minut temu nie kto inny, tylko właśnie ona oponowała przeciwko zatrzymywaniu się w tym lokalu ze względu na zbyt wysokie ceny. A crème brûlée z pewnością do tanich nie należał.

Meredith jednak – czy to w rewanżu za to, że poprzednio właśnie Ula jej nie poparła w kwestii lunchu, czy też dlatego, że miejsce przypadło jej potem do gustu – zignorowała spojrzenie Borzęckiej i oznajmiła, że ona także chętnie spróbowałaby deseru.

– Chyba oszalałaś – syknęła ponownie Ula, gdy kelner już się oddalił.

– Dlaczego? – Anne wzruszyła ramionami. – Zawsze warto spróbować.

– Nie mówię o deserze.

– Ja też nie. – Anne spoważniała. – Chciałaś znaleźć tego człowieka czy nie? Zapytać zawsze można. Przynajmniej nie będziesz sobie potem robiła wyrzutów, że tego nie zrobiłaś. Ja bym radziła zasięgnąć jeszcze języka w tamtej drugiej restauracyjce, po przeciwnej stronie. Albo w którymś z najbliższych sklepików spożywczych. Można też zajrzeć po pubu. – Teraz już na nowo żartowała. Można to było poznać po szelmowskim błysku w jej oczach.

– To bez sensu. Nawet gdyby okazało się, że ktoś z tutejszych mieszkańców lub pracowników wie coś na jego temat – westchnęła Ula. – Co bym wtedy zrobiła?

– Jak to? Mówiłaś, że to ktoś bliski waszej rodzinie, że ty także go znałaś i pamiętasz – zdziwiła się z kolei Meredith.

Na szczęście dla Uli do stolika zbliżył się ponownie kelner z zamówionym deserem. Nie spieszył się jednak i najwyraźniej wahał się, zanim zagadnął:

– Jak się nazywa ten człowiek, o którego panie przed chwilą mnie pytały?

Przy stole na moment zapanowała cisza. Wreszcie Ula, która poczuła na sobie spojrzenia obu koleżanek, przemógłszy niemalże onieśmienie i wzruszenie, rzekła cicho:

– Pan Damian Reński. Czy pan... czy on tu przychodzi?

– Tak, czasem tu bywa – odparł po dłuższej chwili kelner. – Miły starszy doktor. Dlaczego panie o niego pytały?

– Nie znam jego dokładnego adresu, a chciałabym...

Właściwie czego chcę? – pomyślała. – Założmy, że stanęłabym w progu jego domu i co bym mu powiedziała? Jestem głupia. Od początku przecież czułam, że to bez sensu.

Nie patrzyła już ani na kelnera, ani na obie koleżanki. Gdyby tak mogła zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu! Tego najbardziej teraz pragnęła.

I wtedy usłyszała głos Meredith. W pierwszej, drugiej, a także trzeciej chwili nie mogła zrozumieć znaczenia jej słów. Aż wreszcie je pojęła.

– Moja przyjaciółka Ula jest wnuczką pana doktora. Przyjechała specjalnie z Londynu.

Niewiarygodne! Na taki wyskok mogłaby sobie ostatecznie pozwolić taka postrzelona koza jak Anne. Tymczasem nawet ona patrzyła na rozsądną, zawsze trzeźwo myślącą Meredith z rozdziawionymi ustami.

– I nie zna pani adresu dziadka? – Kelner zrobił się teraz bardzo czujny.

Ula w jednej chwili skurczyła się w sobie, a spojrzenie, jakim obrzuciła całą trójkę, było chmurne i niechętnie.

– Nie znam – odparła niskim, nie swoim głosem. – Od wielu lat go nie widziałam.

– No cóż. – Mężczyzna wzruszył ramionami, dając im tym samym do zrozumienia, że przemyślał sprawę, uważa ją za wielce podejrzaną i nie zamierza się w to angażować. Zresztą to nie jego interes. – Tak czy inaczej, pana doktora nie ma teraz w domu. Kolega, który tu ze mną pracuje i lepiej go zna, powiedział mi, że doktor wyjechał na krótki urlop. Nic więcej nie mogę powiedzieć. A to rachunek dla pań.

– Zrobiliśmy z siebie idiotki – sarknęła Ula, gdy już opuściły lokal. Doskonale przy tym wiedziała, że na największą idiotkę wyszła ona sama. Detektyw w spódnicy z bożej łaski. Co za wstyd! Gdyby jeszcze dokładnie wiedziała, po co to wszystko zrobiła. Po to tylko, by ewentualnie popatrzeć na kogoś, kogo jej babka lubiła jako młoda dziewczyna? O ile tak było.

On był ojcem człowieka, którego matka pragnęła poślubić i którego nigdy nie przeboleła, rozmyślała. Mogłaby z nim pomówić, choćby o tym jednym. No tak, to mogłoby mieć jakiś sens, choć nie do końca wiadomo jaki.

– Nie przesadzaj, przynajmniej już wiesz, że nie musisz o niego rozpytywać wszystkich wokół – odparła wesoło Anne. – Ani ścigać spojrzeniami każdego starszego pana, który będzie przechodził obok. Kto wie, jakich nadziei mogłoby nabrać. Sama pomyśl!

Eliza wróciła właśnie do domu i włączyła gaz pod czajnikiem, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Jeszcze tego brakowało, pomyślała. Odwiedziny, czyjekolwiek, były ostatnią rzeczą, na jaką teraz miała ochotę. W pracy przeżyła istne urwanie głowy. Piękna i słoneczna do tej pory pogoda załamała się, a październik pokazał swoje mniej łaskawe oblicze. Zrobiło się zimno i padało, a konsekwencją tego był wzmożony ruch w pubie. Miało to oczywiście swoje dobre strony. Duże obroty oznaczały większe dochody i napiwki, ale pod koniec dnia Eliza nie czuła już ani rąk, ani nóg, a jej umysł działał jak ogłupiała, zepsuta maszynka.

Za stara jestem na taką pracę, myślała ponuro, wlokąc się do domu z zakupami w ręku. To zajęcie dla młodych. Nie tylko mają siły, ale w dodatku najwyraźniej bawi ich cały ten zgiełk, wzajemne przekrzykiwanie się, zadymienie, od którego ją na okrągło szczypały oczy. Czemu, do licha ciężkiego, nie postarała się o podniesienie kwalifikacji, które pozwoliłyby jej na podjęcie pracy w biurze? Choćby takiej najmniej ambitnej. Oczywiście знаła odpowiedź.

Nigdy nie marzyła o czymś takim jak kariera zawodowa, do studiów w swoim czasie także się nie przykładła, traktując je jak możliwość wyrwania się spod rodzicielskiej kurateli w Radziejowie, nie zaś drogę do zdobycia kiedyś dobrej pracy. Tak zwanego głodu wiedzy też w niej nie było. Była wówczas pewna, że nigdy nie zabraknie jej pieniędzy, po prostu zawsze będą i już. Nie przewidziała, że świat, którym czasem w swej zuchwałości, a niekiedy w sztubackim zblazowaniu gardziła, lecz który zapewniał jej dostatnią i bezpieczną egzystencję, pewnego dnia runie, rozsypie się jak domek z kart.

Niekiedy, w głębi ducha, przyznawała rację ojcu, który przed laty zarzucił jej, że po pewnym czasie mogłaby mieć dość życia z mężczyzną, który nie zapewniłby jej dostatku. Wciąż jednak nie przyjmowała do wiadomości tego, co do czego jej ojciec najwyraźniej nie miał wątpliwości – że urządziłaby Olgierdowi piekło. Nie zrobiłaby tego, nigdy, za nic. Nie jemu.

A jeśli... jednak?

– Cholera jasna – zaklęła, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

W pierwszej chwili postanowiła, że nie otworzy. Po prostu będzie udawać, że nie ma jej w domu. Na samą myśl o jakiegokolwiek rozmowie robiło jej się słabo. A poza tym jak tu zaprosić kogokolwiek do takiego bałaganu. Rozejrzała się ze wstrętem po kuchni. Od wczorajszego wieczoru nie pozmywała naczyń. W pokoju, na łóżku, leżała sterta świeżo upranych ubrań, których nie zdążyła jeszcze wyprasować. Od kilku dni nie odkurzała i nawet nie zmieniła wody w wazonach. I pomyśleć, że do niedawna za podobny bałagan prześladowała Ulę. A tymczasem, odkąd córka wyjechała na studia, Eliza w pewnym sensie straciła zainteresowanie utrzymaniem porządku w domu. Do generalnego sprzątnięcia brała się przed spodziewanym przyjazdem Uli, no i, rzecz jasna, przed świętami. Dom traktowała teraz jako miejsce odpoczynku. Dla kogo miała się starać, skoro już drugi rok mieszkała praktycznie sama? Rzadko też miewała gości. Z sąsiadkami, z którymi przed laty nawet nieźle się dogadywała, niemal straciła już kontakt. Tak się to jakoś stało, nawet nie bardzo umiała sobie przypomnieć kiedy. I pewnie nie od razu, ale upłynęły całe miesiące i lata, gdy zorientowała się, że dawne babskie pogawędki i ploteczki zastąpione zostały obojętnym „dzień dobry”, „co słychać” – w przypadku tego ostatniego bez oczekiwania na odpowiedź. To chyba stało się niedługo po rozwodzie z Ryszardem, a może trochę wcześniej? Zresztą to bez znaczenia!

Pukanie powtórzyło się, ale już mniej zdecydowanie niż przed chwilą. I dobrze.

Chociaż... Odstawiła czajnik i ostrożnie podeszła do drzwi. Może to coś ważnego? Może ktoś przyniósł jakąś pilną wiadomość? Raczej nie listonosz, nie, na pewno nie o tej porze. A może coś stało się z Ulą?

Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi w momencie, gdy stojący za nimi mężczyzna cofał się już w kierunku schodów. Czym prędzej zapaliła światło w przedpokoju, do tej pory bowiem zarówno na korytarzu, jak i w jej mieszkaniu panował mrok.

Wtedy go zobaczyła. I natychmiast rozpoznała.

– Pan Damian Reński? – spytała, ale nie dlatego, że miała jakieś wątpliwości, że to był on. Raczej nie była pewna, czy to przypadkiem zmęczony umysł nie spletał jej jakiegoś psikusa.

No bo... skąd on... tutaj? Pod drzwiami jej mieszkania? W dodatku po tylu latach.

Uwierzę dopiero, gdy on się odezwie. Kiedy dotknę jego ręki. No cóż, zawsze rozumiała dylemat niewiernego Tomasza.

– Tak, to ja. Dzień dobry. – Usłyszała.

Zdjął kapelusz i patrzył na nią wyczekująco.

Dlaczego on tak dziwnie na mnie patrzy? Na co czeka? Ach tak, jaka ja jednak jestem głupia. To przecież oczywiste, pomyślała i westchnęła.

– Proszę, niech pan wejdzie do środka – rzekła nie swoim głosem, choć dokładała wszelkich starań, by zabrzmiał on uprzejmie. – Przepraszam, że tak stałam jak zakłeta, zamiast pana od razu zaprosić.

Niewiarygodne! Wysiłała się nawet na bardziej pogodny, lekko żartobliwy ton.

– To raczej ja przepraszam, że tak panią zaskoczyłem swoim niespodziewanym najściem. Pani jest na pewno zmęczona... i w ogóle... – Uśmiechnął się niepewnie. – Jeśli naprawdę nie ma pani teraz czasu ani ochoty na moją wizytę, to proszę śmiało powiedzieć. Na pewno się nie pogniewam.

– Co też pan mówi! Jestem oczywiście zaskoczona, ale to miła niespodzianka. Naprawdę się cieszę – odpowiedziała wesoło i w tym momencie już wiedziała, że mówi prawdę.

Nie tylko, że się ucieszyła, ale wręcz rozpierała ją trudna do wytłumaczenia radość. Nic z tego nie rozumiała, ale jego widok wywołał w niej falę ciepłych uczuć. Dlaczego? Bo był ojcem Olgierda? Przecież zawsze to wiedziała, a jeszcze nigdy, ani razu, nie zareagowała aż tak emocjonalnie na jego widok. Nawet wtedy, gdy razem z Ryszardem natknęła się na niego zaraz po zakończeniu wojny.

– Napije się pan herbaty? A może zje pan ze mną kolację? – paplała, wprowadzając go do mieszkania. Jeszcze kilka minut temu nie miała ochoty na jedzenie. Wprawdzie wracając z pracy zrobiła zakupy – ostatecznie, jak to mówią, przyzwyczajenie jest drugą naturą – jednak po tylu godzinach patrzenia na potrawy w pubie i wchłaniania ich zapachu robiło jej się niedobrze na samą myśl o staniu nad garnkami we własnej kuchni. Poza tym, skoro w domu nie było Uli, na ogół nie chciało jej się gotować. Teraz jednak sprawa wyglądała inaczej. Miała gościa i postanowiła uraczyć go przyzwoitą kolacją. Przy okazji sama zupełnie niespodziewanie poczuła głód. A tak swoją drogą, jak to dobrze, że nie zarzuciła jeszcze zwyczaju robienia zakupów.

– Nie chciałbym sprawić pani kłopotu – wymawiał się grzecznie Reński. – Może raczej to pani dałaby się gdzieś zaprosić?

– Nie ma mowy – roześmiała się. – Żadna siła nie wyprowadzi mnie teraz z domu. Dopiero co wróciłam i...

– Wiem – przerwał jej, lecz zaraz zrobił taką minę, jakby żałował, że się wtrącił.

Spojrzała na niego ciekawie.

– Co pan wie? – Ponownie się roześmiała. Kiedy ostatni raz była taka wesoła? I tak beztrudnie się śmiała, bez żadnego przymusu, bez udawania? Jak młoda dziewczyna, której jeszcze nie zdążyły dotknąć smutne doświadczenia. Tak jest, była przecież taką młodą dziewczyną, gdy po raz ostatni czuła się tak jak dziś. I oczywiście pamiętała, w czyjej obecności.

Wyprostowała się i uważnie mu się przyjrzała. Właściwie dlaczego przyszedł? Tak nagle, po tylu latach? Co go do tego skłoniło? Co się stało?

Właśnie miała go zapytać, ale w tym momencie Damian sięgnął po fartuch.

– Nie pozwolę się obsługiwać – zakomunikował przyjaznym, niezobowiązującym tonem. – Chętnie pomogę. Potrafię gotować, przekona się pani. Czym dysponujemy?

– Słucham? – Zapatrzona na niego, mając w głowie te niezadane jeszcze pytania, w pierwszej chwili nie zrozumiała, o czym mówił.

– Pytam o produkty żywnościowe, bazę do ugotowania kolacji – wyjaśnił.

Zupełnie machinalnie otworzyła lodówkę i wyjęła z niej mięso i warzywa.

– Świetnie. Usmażymy steki. Tak będzie najszybciej – oświadczył i zanim się zorientowała,

zaczął ubijać mięso na kotlety, a potem po kolei kłaść na rozgrzany na patelni tłuszczu.

– Robi pan to w dokładnie taki sam sposób jak nasza kucharka w Radziejowie. Zdarzało się, że i moja mama brała się do smażenia i gotowania. Najwyraźniej ją to bawiło, gorzej, że czasami nakłaniała do takiej roboty mnie i moją siostrę. Nie znosiłam tego. – Roześmiała się na samo wspomnienie i dopiero po chwili przyszło jej do głowy, że może niepotrzebnie wyrwała się z tą uwagą. Mimo to dokończyła, choć już nieco innym tonem: – Tutaj nauczyłam się inaczej przyrządzać mięso.

Pochylony nad stolnicą, nie podniósł na nią oczu, a odpowiedział dopiero wtedy, gdy ostatnia sztuka mięsa znalazła się na patelni.

– To polski sposób na szybki obiad. Większość mojego życia spędziłem jednak... tam.

– Panie doktorze... – Położyła mu dłoń na ramieniu i natychmiast poczuła, jak drgnął na całym ciele. – Co pan tu właściwie robi? Przecież, o ile pamiętam, wyjechał pan do Kanady. Czy... czy coś się stało?

Wyprostował się i wreszcie popatrzył jej w oczy – długim, uważnym, życzliwym spojrzeniem. Odniosła nieodparte wrażenie, że szukał w jej twarzy czegoś, czego jednak tam nie znalazł. Nie miała zielonego pojęcia, co by to mogło być.

– Córnica niczego pani nie powiedziała? – spytał ostrożnie.

– Ula? Co takiego miałyby mi powiedzieć?

Boże, o co tu chodziło? Chyba musiała wyglądać jak nieboszczyk albo jak człowiek, który stoi nad krawędzią, aż uzmysłowił sobie, że nie pozostaje mu nic innego, jak skoczyć w dół, w każdym razie Damian Reński doszedł do wniosku, że jest z nią bardzo źle, bo delikatnie objął ją ramieniem, zaprowadził do pokoju i posadził na kanapie.

– Spotkał pan moją córkę? Kiedy? Nic mi nie mówiła.

– Nie spotkałem się z nią. – Poklepał ją uspokajająco po dłoni. – Dowiedziałem się jednak, że przyjechała do Norwich i chciała się ze mną zobaczyć.

– Do Norwich? – powtórzyła kompletnie oszołomiona. – Jak to... do Norwich? Dlaczego tam?

– Bo tam mieszkam od pięciu lat – odparł, ale przecież niczego jej to nie wyjaśniło.

– Nie wyjechał pan do Kanady? Myślałam... Przecież wtedy, gdy widzieliśmy się po raz ostatni...

– Wyjechałem – odparł spokojnie – ale wróciłem. – Wzruszył ramionami i popatrzył w mrok za oknem. – Doszedłem do wniosku, że chyba już jestem za stary, by przenosić się tak daleko. I żyć tam, za widnokrzem.

– Za widnokrzem?

– Z tutejszego punktu widzenia tak właśnie jest. To moje ulubione powiedzenie. Mniejsza z tym. Bliżej stąd do Polski. Co mogę poradzić? Starych drzew się przesadza.

– Chce pan wrócić do Polski?

Westchnął i usiadł w fotelu, naprzeciwko niej.

– Nie. W żadnym razie,

Dochodziła wreszcie do siebie. Starła się pozbierać myśli. W dalszym ciągu niewiele z tego rozumiała.

– Jakim cudem Ula dowiedziała się, że mieszka pan w Norwich? – Zdumiewało ją to. I niepokoiło.

– Nie mam pojęcia. Początkowo, gdy się o tym dowiedziałem, byłem nie mniej zaskoczony niż pani w tej chwili. No ale od tamtego czasu minęło kilka miesięcy, więc mogłem sobie przemyśleć to i owo. Jest tylko jedno, choć przyznam, że dość wątle wytłumaczenie, mianowicie, że dowiedziała się o tym od ojca.

– Od Ryszarda? – Ponownie zakręciło jej się w głowie. Boże, co za niesłychana sytuacja. A może to jednak sen? Chociaż nie, sen nie mógłby trwać tak długo.

– Kilka lat temu spotkałem pani byłego męża w Montrealu. Świat jest jednak za mały, byśmy się w nim tak do reszty pogubili.

– Rozumiem. I powiedział mu pan, że zamierza wrócić do Anglii?



Wreszcie zaczynała coś rozumieć. Zaraz jednak sytuacja ponownie się skomplikowała.

– Nie – odparł po chwili wahania Reński. – Wtedy jeszcze niczego takiego nie planowałem. Ta myśl pojawiła się trochę później.

– Ale chyba niewiele później, skoro wrócił pan do Anglii pięć lat temu, a Ryszard mieszka w Kanadzie od siedmiu. To znaczy, że dość szybko po spotkaniu z nim postanowił pan...

– Tak. Dość szybko – odparł lakonicznie.

Boże, czemu zadawała te absurdalne pytania o jego decyzję powrotu do Europy, o Ryszarda i tym podobne bzdury? Co innego było teraz ważne. W jaki sposób Ula dowiedziała się o powrocie Reńskiego i o tym, gdzie mieszkał? I dlaczego tak ją to interesowało?

– Przypuszczam, że pani były mąż dowiedział się o tym od jakiegoś naszego wspólnego znajomego. Mniejsza z tym jednak. To są dość nieistotne detale. Tak naprawdę zdumiewa mnie co innego, a mianowicie, że w ogóle byłem tematem rozmowy między pani córką a panem Borzęckim. Akurat ja. O ile oczywiście informacje co do aktualnego miejsca mojego pobytu uzyskała od niego, lecz innego wytłumaczenia nie widzę.

– Tak, ma pan rację – szepnęła.

Rzeczywiście, czy Ryszard i Ula nie mieli już o czym ze sobą rozmawiać, tylko właśnie o doktorze Reńskim? Czy córce nie wystarczyło to, co ona, Eliza, zdecydowała się jej wyznać na temat Olgierda? Musiała drażnić? Zawsze była ciekawska. Jak już się czegoś dowiedziała, chciała poznać całą resztę. Ale co tu było jeszcze do poznania? W zasadzie wiedziała już wszystko. Albo większość.

Nagle coś jej się przypomniało.

– Dwa lata temu spędziłam z córką kilka tygodni w Polsce. Po tak długim czasie zdecydowałam się odwiedzić matkę i siostrę.

– Tak? To miłe. Zazdroszczę pani i tej podróży, i tego, że ma pani kogo tam odwiedzać.

– Przecież i pan ma. – Odniosła wrażenie, jakby w długim i ciemnym tunelu, w jakim się znalazła, zobaczyła wreszcie światło. – Ma pan tam braci i siostrę. Czemu pan do nich nie pojedzie? A przy okazji do kraju, za którym tak pan tęskni?

Od razu spostrzegła, że jej pytanie wywołało smutek, ale i konsternację na jego twarzy.

A więc w tym tkwi problem tego człowieka. W jego najbliższej rodzinie, pomyślała.

Powinna była zostawić go w spokoju i zaproponować, by usiedli do kolacji. Kotlety już stygły, jeszcze trochę i będą zupełnie zimne. A mimo to nie potrafiła się oprzeć, by nie drażnić sprawy. Przyszło jej nawet do głowy, że zachowywała się w tym momencie jak jej własna córka, i wreszcie zaczęła pojmować jej ciekawość. A przy okazji podzielać niepokój. Bo była niemal pewna, że Ula, jadąc do Norwich, musiała ten niepokój odczuwać. Tylko... dlaczego?

– Ja wróciłam do Londynu wcześniej, ale córka uparła się, aby zostać dłużej w Polsce. I niech pan sobie wyobrazi, doktorze, że podczas wycieczki do Krakowa Ula i obaj synowie mojej siostry wpadli na pomysł, że odwiedzą grób pańskich rodziców, siostry i jej syna – brata mojej matki – na cmentarzu Rakowickim. I spotkali tam, zupełnie nieoczekiwanie, pana najmłodszą siostrę. Zaprosiła ich do domu, wspomniała o Olgierdzie... – Głos jej drgnął, ale się opanowała. – Dopiero teraz, gdy panu o tym mówię, przyszło mi do głowy, że mogła opowiedzieć im coś więcej o swoim rodzeństwie, w tym także o panu. Jak inaczej wytłumaczyć to zupełnie nieoczekiwane zainteresowanie Uli pana osobą?

– Czy zauważyła pani, jak często wymieniliśmy w tej rozmowie lub przynajmniej przemknęły nam przez myśl słowa „nieoczekiwany”, „nagle”, „przez przypadek natknąłem się” i tym podobne? – odparł z namysłem.

Wyprostowała ramiona i podniosła się.

– Tak się zazwyczaj dzieje, gdy teoretycznie najbliżsi sobie ludzie nie rozmawiają ze sobą szczerze i mają przed sobą sekrety. Wtedy los sam zaczyna upominać się o swoje, a trupy wychodzą z szafy. Oczywiście nagle i nieoczekiwanie.

– No tak...

Zerknęła na niego i uderzyło ją to, że właśnie – nagle – wydał jej się starszy niż kilkanaście minut temu, gdy dziarskim ruchem zakładał na siebie jej fartuch i zaczynał smażyć mięso. A może nie tyle

starszy, ile bardzo zmęczony.

– Ja na przykład wciąż głowię się, a trwa to od lat, w jaki sposób mój ojciec wpłynął na Olgierda, że ten, niczego mi nie wyjaśnwszy, porzucił mnie i wyjechał? Przecież ojciec nie przystawił mu broni do skroni, nie miał też powodu ani argumentów, by go szantażować. I... coraz częściej przychodzi mi jedna myśl do głowy, jedno wyjaśnienie. Że Olgierd w gruncie rzeczy wcale aż tak bardzo mnie nie kochał. Nie miałam łatwego charakteru, choć w jego obecności bardzo się starałam nad sobą panować. Może wystraszyły go argumenty mojego ojca, że nie dałabym rady wytrzymać w skórze owieczki, gdyby trudy i szarość codzienności zajrzały mi w oczy. Gdyby minęło pierwsze zauroczenie miodowych miesięcy. No i ta możliwość wyjazdu... Albo też rzeczywiście możliwość wyjazdu wydała mu się pewniejszą i bardziej atrakcyjną perspektywą niż małżeństwo ze mną. Wie pan, doktorze, właściwie chciałam potem w to uwierzyć. Niezależnie od tego, jakimi powodami kierowałam się, wychodząc za Ryszarda, miałam szczerzy zamiar być dla niego dobrą żoną. Choćby dlatego, że przynajmniej on kochał mnie bezwarunkowo taką, jaką byłam, a nie było to łatwe zadanie. Tyle że potem – nagle i nieoczekiwanie – natknęłam się na pana i dowiedziałam się, że Olgierd jednak zdecydował się wrócić do Polski przed samym wybuchem wojny. I na nowo wróciła do mnie udręka, która odebrała mi z takim trudem zbudowany spokój. Zaczęłam się zastanawiać, czy on jednak nie zamierzał do mnie wrócić, czy nie żałował tamtej chwili słabości okazanej mojemu ojcu. Wrócił, ale mnie już w Polsce nie było. Rozminęliśmy się. Nie ma dnia, bym o tym nie myślała. Przez to rozleciało się moje małżeństwo. Czasem myślę, że choć mam jeszcze córkę, matkę i siostrę, zostałam sama jak palec. Boże, gdybym знаła prawdę, dlaczego on wtedy wrócił! Stałam nad jego grobem, ale nie dostałam żadnego znaku, czegokolwiek...

– Ja też mam rodzinę w Polsce, a jestem sam jak palec – odparł jej z prostotą.

Pokiwała głową i na nowo opuściła bezradnie ramiona.

– Chodźmy zjeść – rzekła cicho, z rezygnacją.

Podniósł się powoli, ale zatrzymał w połowie kroku.

– On wtedy nie wrócił do ciebie – powiedział tak cicho, że w pierwszej chwili miała wrażenie, jakby tylko jej się to zdawało.

– Nie wrócił do mnie? – powtórzyła i serce jej gwałtownie zabiło.

Pokręcił głową, co oznaczało w tym przypadku, że jednak dobrze usłyszała.

Nie poczuła ani smutku, ani ulgi, ani spokoju. Nic.

– Skąd pan wie? – spytała i naraz przypomniało jej się, że po wyjeździe Olgierda raz czy dwa razy przyszło jej do głowy, by pobiec do jego ojca i zapytać go, czy coś wie na ten temat, ale porzuciła swój pomysł. Przecież Olgierd nigdy nie był zżyty z ojcem, w każdym razie nie na tyle, by mu się z czegokolwiek zwierzać. Teraz pomyślała, że może należało to jednak zrobić, bo zapewne dzięki temu darowane by jej zostały te lata niepewności i wewnętrznej udręki. – Skąd pan wie? – powtórzyła.

W jego spojrzeniu zobaczyła wszystkie dobre uczucia świata, a zwłaszcza czułość i troskę. Patrzył na nią tak jak kiedyś, dawno temu, robił to Dezydery. W jednej chwili nogi się pod nią ugięły, jakby były z waty.

– Skoro ty nic nie wiesz, to skąd wiedziała twoja córka? – szepnął. Bardziej chyba do siebie niż do niej.

Dopiero wtedy zauważyła, że już od pewnego czasu używał tak bezpośredniej formy.

– Moja córka o tym wie? – Sama myśl, że Ula jakimś cudem dowiedziała się, jakie motywy kierowały Olgierdem, niemal pozbawiła ją tchu.

– Odkąd wróciłem z Kanady, co jakiś czas przyjeżdżam do Londynu – mówił dalej w taki sposób, jakby wcale nie odnosił się do jej pytań. – Za każdym razem przychodziłem w pobliże tego domu. Czasami patrzyłem na ciebie i twoje dziecko, gdy wychodziłyście lub wracałyście do domu. Nie widziałyście mnie i o to mi zawsze chodziło. Znałem ten adres jeszcze z tamtych czasów, gdy spotkałem ciebie i twojego męża w czterdziestym piątym. Bo wtedy także tu czasem przychodziłem i na was patrzyłem.

O Boże! – jęknęła w duchu. Poczwała, jak włosy jeżą jej się na głowie.

– Dlaczego pan to robił? – szepnęła przerażona.

Była z nim sama w mieszkaniu. Bała się, naprawdę, panicznie się bała. Spostrzegł to i uśmiechnął się ze smutkiem.

– Chciałem zobaczyć, jak sobie radzisz. Zwłaszcza gdy zostałeś sama z dzieckiem. Gdy twój mąż powiedział mi o waszym rozwodzie, uznałem, że powinienem znaleźć się bliżej ciebie. Aby w razie czego pomóc tobie i twojej córce.

– Ale... dlaczego? – Łzy zakręciły jej się w oczach. To, co usłyszała, niekoniecznie musiało ją uspokoić co do jego intencji. Jednak tak właśnie się stało. Wy tłumaczenie było jedno, oczywiste. – Zrobił to pan ze względu na Olgierda?

– Zrobiłem to ze względu na ciebie – przerwał jej zniecierpliwiony. – Jemu nie mogłem już pomóc, ale zostałeś ty.

Chciała podejść i ująć go za rękę, ale powstrzymał ją jednym gestem.

– Pewnie nadal nie zakłócałbym ci spokoju i nie przychodził do twojego domu, gdyby twoja córka nie przyjechała do Norwich i nie zapytała o mnie. Zgadnij kogo? Kelnera w kafejce blisko miejsca mojego zamieszkania. Musiała być bardzo zdeterminowana. Nie знаła przecież mojego adresu, nie pamiętała, jak wyglądam. Można by zatem jej pomyśleć nazwać szalonym.

– Wyobrażam sobie, co pomyśleli na jej temat kelnerzy – odparła słabym głosem Eliza.

– Zaprzyjaźniony kelner powiedział mi potem, że z Londynu przyjechała moja wnuczka o imieniu Ula. Szukała mnie, a nie znała adresu. A ja od razu pomyślałem...

– Co takiego?

Eliza nie wierzyła własnym uszom. Rzeczywiście jej córka musiała być nielecho zdeterminowana. Co w nią jednak wstąpiło?

– Proszę wybaczyć jej i mnie – zaczęła bezwładnie. – Ona przebywa teraz w Cambridge, studiuje na drugim roku historii. Lecz jak tylko przyjedzie do domu, obiecuję, że zmyję jej głowę.

– Wiem, że wyjechała na studia. – Podniósł głos. – Przecież ci mówiłem, że starałem się być na bieżąco z twoimi sprawami! – Machnął ręką. – Wybacz mi, to bez sensu, niepotrzebnie tu przyszedłem, ale pomyślałem, że skoro przedstawiła się jako moja wnuczka...

– Panie doktorze...

W odpowiedzi usłyszała jedynie odgłos zamykanych drzwi od mieszkania, a chwilę potem głośno trzasnęły drzwi na dole kamienicy. To ją otrzeźwiło.

Gdy twój mąż powiedział mi o waszym rozwodzie, uznałem, że powinienem znaleźć się bliżej ciebie. Aby w razie czego pomóc tobie i twojej córce...

Zaprzyjaźniony kelner powiedział mi potem, że z Londynu przyjechała moja wnuczka...

Niepotrzebnie tu przyszedłem, ale pomyślałem, że skoro przedstawiła się jako moja wnuczka...

Tak jak stała, w domowej sukience i kapciach, wybiegła z mieszkania, nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz. Na zewnątrz wpadła od razu na ścianę deszczu, a chłód przejął ją do szpiku kości, ale nie dbała o to. Rozglądała się wokół, zastanawiając się, w którą stronę pobiec. Nawet zaczęła się w tej intencji modlić, a przestała to robić już wieki temu. Pobiegła na prawo, ale postanowiła zawrócić w przeciwnym kierunku. I tam, pod sklepowym daszkiem, wreszcie go dostrzegła.

– Co ty tu robisz?! Chcesz dostać zapalenia płuc?! – krzyknął na jej widok i natychmiast zdjął płaszcz, by narzucić go na jej ramiona.

– Za żadnym facetem nie nabiegałam się tak jak za tobą – wyszlochała, chowając twarz na jego piersi.

Gdy poczuła silny uścisk jego objęć, rozkleiła się jak mała dziewczynka.

– Wracaj do domu. – Usłyszała.

Potrząsnęła głową.

– Tylko jeśli ty tam ze mną pójdziesz! – odparła.

– Czy... on o tym wiedział?

Damian rzucił na nią krótkie spojrzenie, którego nie odwzajemniła. Siedziała skulona na brzegu kanapy, otulając się swetrem. Na jego kategorię sugestie przebrała się w suche ubranie, przełknęła nawet kilka kęsów kotleta, ale nie chciała się położyć i odpocząć.

– Olgierd wiedział? – uściśliła pytanie.

– Dowiedział się... owszem – westchnął Damian. – Nie było innego wyjścia.

– Teraz już wszystko rozumiem. – Splotła dłonie tak mocno, że aż wszystkie żyłki na nich stały się widoczne. – I oczywiście wiem, kto przekazał mu tę wiedzę. A w dodatku wymógł na nim tajemnicę. Miałam się o niczym nie dowiedzieć.

– O kim teraz mówisz? – spytał łagodnie Damian. Wiedziała jednak, że zgadywał, kogo miała na myśli.

– Nie wiem, jak mam go teraz nazywać – odparła ze złością.

– Czemu nie tak jak do tej pory? – Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Błagam, tylko bez tej wspaniałomyślności! Wystarczy mi świadomość, że wtedy, przed laty, potraktowano mnie jak idiotkę, której nie należało się żadne wyjaśnienie, która nie zasłużyła na poznanie prawdy.

– Nie dałabyś rady jej wówczas udźwignąć. Nadal nie starasz się zrozumieć...

Znowu ten irytująco spokojny i łagodny głos. Właśnie takim tonem próbował rozmawiać z nią Dezydery, gdy zrobiła mu tamtą piekielną awanturę po rozstaniu z Olgierdem. Na samo wspomnienie o tym, poczuła taki ból, jakby ktoś dotknął jej rozpalonym żelazem.

– Nigdy nie potrafiłam pojąć, jakim cudem ten człowiek wpłynął na Olgierda, by mnie zostawił i wyjechał – podjęła drżącym głosem. Nie była w stanie nazywać Dezyderego ojcem, ale określenia typu „mąż mojej matki” czy jego imię i nazwisko także nie mogły jej przejść przez gardło. Pozostawała zatem ta bezosobowa forma, która brzmiała wprawdzie koszmarnie, ale była dość bezpieczna i w dodatku rozumiała dla Damiana. – Nie żyjemy przecież w średniowieczu, ojciec nie mógł tak po prostu zabronić nam związać się ze sobą. – Tym razem z rozpędu, zupełnie spontanicznie, użyła jednak słowa „ojciec” i dotarło do niej, że nie poczuła żadnego dyskomfortu z powodu swojej nieuwagi. Niemniej postanowiła się skupić i staranniej dobierać słowa. – A poza tym wiedziałam, że miał liberalne poglądy i nie podzielał wielu obiekcji ludzi ze swego pokolenia i swojej klasy społecznej co do zmieniających się obyczajów. Nieraz słyszałam, jak mówił, że jeszcze jedno, dwa, może trzy pokolenia i wszelkie nierówności prawne i społeczne między ludźmi z pewnością znikną, bo nie da się przecież zahamować postępu. Zostaną jedynie różnice majątkowe, ale w tym przypadku nie może być inaczej. Majątek jednak nie będzie miał już zbyt wiele wspólnego z urodzeniem, lecz ze sprytem, przedsiębiorczością i pracą. Tak mówił. Potem, gdy dowiedziałam się o jego spotkaniu z Olgierdem, zarzuciłam mu obłudę i to, że w gruncie rzeczy jest takim samym hipokrytą i bufonem jak ludzie z jego sfery. Ale powiedziałam tak, bo chciałam go zranić. W głębi serca tak przecież nie myślałam. Wszystko to dlatego, że nie rozumiałam... co się właściwie stało. Nie mieściło mi się to w głowie. – Eliza podniosła się i przez chwilę spacerowała po pokoju, od ściany do okna, przy którym ostatecznie się zatrzymała i zapatrzyła na światła w oddali. – Oczywiście teraz zaczynam się domyślać, dlaczego ten człowiek nie chciał, abym poznała całą prawdę. Byłam młoda, narwana. Bał się, jak zareaguję. No i... bez wątplenia chodziło mu o tak zwane dobro całej naszej rodziny, o... dobro matki. Kochał ją, każdy to widział. Do tego stopnia, że postanowił ją chronić za wszelką cenę. Kiedy teraz o tym myślę, po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat nie czuję już do niego nienawiści. Raczej mu współczuję. – Ponownie spojrzała na Damiana. – Zastanawiam się, kiedy się dowiedział, że kochana żona go zdradziła. Od jak dawna wiedział, że nie byłam jego córką? – Głos jej się załamał, ale opanowała się na tyle, by kontynuować: – Ani razu nie dał mi tego odczuć. Traktował mnie tak samo jak Irenę, a nawet poświęcał mi więcej uwagi, bo ona zawsze sobie lepiej radziła w życiu. Była grzeczna i dobrze ułożona. Ani razu nie przyniosła wstydu rodzicom. Ja potrafiłam dać im nieźle

do wiwatu. Matka czasem mnie strofowała, a on tylko pobłażliwie machał ręką. Uważał, że widocznie muszę się wyszumieć. Nawet mówił, że najwyraźniej odziedziczyłam jego charakter. Naprawdę tak mówił. Wyobrazasz to sobie? Do tego stopnia uważał mnie za swoje własne dziecko.

Nie potrafiła i nie chciała przestać o tym mówić. Wreszcie mogła wyrzucić z siebie wspomnienia, które ponad dwadzieścia lat temu zakopała na dnie świadomości. A przynajmniej myślała, że je unicestwiła. Że Dezydery był dla niej dobry, że na ogół starał się ją rozumieć. A dopóki żył, pragnął ją jeszcze zobaczyć, bo być może zamierzał przed śmiercią coś jej wyznać. Teraz mogła się już tylko tego domyślać. Bo wtedy odpisała matce, że dopóki on żyje, ona nie przyjedzie. Nie chciała mu wybaczyć Olgierda i nadal wręcz obsesyjnie pragnęła, aby on i matka mieli tego świadomość.

– Dezydery o niczym nie wiedział – odezwał się wreszcie cicho Damian.

Chwyciła się dłońmi parapetu, aby nie upaść.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co usłyszałaś.

– Matka mu nie powiedziała?

– Nie. Wtedy, gdy widziałaś go po raz ostatni, o niczym nie miał pojęcia, a nie przypuszczam, by Adrianna kiedykolwiek później chciała w tej kwestii zmienić zdanie.

Teraz już opierała się o parapet całym ciałem, nie tylko dłońmi. Mimo to rodziła się w niej nieprzeparta chęć, aby osunąć się na podłogę. Dokładnie w tym miejscu, w którym stała.

Dezydery o niczym nie miał pojęcia?! To by do pewnego stopnia tłumaczyło wielkie przywiązanie, jakie jej zawsze okazywał. Te jak najbardziej szczerze brzmiące słowa, że młodsza córka odziedziczyła po nim charakter, bo za młodu też był postrzeleńcem, który musiał się wyszumieć. Jednak... jednak...

– A zatem w jaki sposób skłonił Olgierda do tego, by mnie zostawił? – spytała jednym tchem i zaraz dodała z pełną bólu ironią: – Czy mam uwierzyć, że wystarczyła do tego zwykła perswazja oraz oczywiście obietnica załatwienia wyjazdu na zagraniczną uczelnię?

– Ależ on go do niczego nie przekonał – odparł cicho Damian. – Próbował to zrobić, ale... nie udało mu się.

Jednak się osunęła i usiadła na podłodze. Reński natychmiast przypadł do niej z niepokojem w oczach, ale patrzyła na niego przytomnie.

– Skąd to wiesz? – wyszeptwała gorączkowo. Nie starała się już powstrzymać łez, które popłynęły jej z oczu. – Olgierd ci powiedział?

Przez moment dojrzała na twarzy Reńskiego wyraz zawahania. Skinął jednak głową.

– Ale przecież... przecież... – Nie nadążała za gonitwą myśli we własnej głowie.

Przecież to wszystko wyglądało inaczej. Nie w taką wersję wydarzeń wierzyła przez wiele lat. Przecież sublokator Olgierda zapewniał ją, że to wizyta jej ojca tak bardzo wpłynęła na chłopaka, z którym chciała spędzić resztę życia. A Dezydery wcale temu nie zaprzeczał, gdy zarzuciła go potem gradem pretensji. Tymczasem teraz dowiaduje się, że to nie było tak.

Nie wierzę ci! Kłamiesz! Nie wiem dlaczego, ale z pewnością kłamiesz! – chciała wrzasnąć Damianowi prosto w oczy, ale po pierwsze nie miała na to siły, a po drugie... Po drugie dotarło do niej, że w gruncie rzeczy Tadek, tamten kolega Olgierda, o niczym jej nie zapewniał. Powiedział tylko, że jej ojciec – wciąż łąpała się na tym, że nadal tak myśli o Dezyderym – że jej ojciec odwiedził Olgierda i chciał z nim rozmawiać w cztery oczy. A gdy po kilku dniach Tadek wrócił do Warszawy, Olgierd nie chciał już o tym mówić, ale postanowił się wyprowadzić, a potem wyjechał z kraju. Przyczyna tego stanu rzeczy mogła leżeć w wizycie Rawickiego, ale przecież nie musiało tak być. Tadek także na wszelki wypadek zasugerował jej, aby najpierw pomówiła z ojcem. A zatem na decyzję Olgierda mogło równie dobrze wpłynąć co innego. Albo ktoś inny. Czyli kto?

– Jeśli to nie Dezydery go przekonał, to... kto? – spytała na głos.

Spojrzał na nią ze smutkiem, a potem odwrócił głowę.

– Ty? – spytała z niedowierzaniem.

No jasne, olśniło ją. Ależ była głupia. Przecież Damian mógł wiedzieć albo przynajmniej się

domyślać.

Jednak jego odpowiedź ponownie wprawiła ją w osłupienie.

– Nie ja – powiedział pełnym przygnębienia tonem. – Twoja matka.

– Co takiego?

Patrzyła teraz na niego kompletnie oszołomiona, osłupiała, wstrząśnięta.

– Matka z nim rozmawiała?

– Tak...

– Powiedział ci o tym? Chciał się upewnić? Poznać twoją wersję wydarzeń, tak?

O Boże! – pomyślała. – I pomyśleć, że ta kobieta, moja matka, całe lata nienawidziła Rozalii Reńskiej i nigdy nie wybaczyła Cecylii Barcińskiej ani własnemu ojcu. W czym była od nich lepsza? Zawsze miałam wrażenie, że coś z nią było nie tak. Jakby coś przed nami wszystkimi ukrywała.

Co dziwniejsze, myśląc tak o matce, nie czuła najmniejszej pretensji do Reńskiego, który z niemalym trudem pomagał jej teraz podnieść się z podłogi i ostrożnie sadzał na kanapie. Do człowieka, który na wiadomość o jej rozwodzie, o tym, że została w Londynie sama z córką, postanowił wyjechać z Kanady, przeciąć więzy zawodowe i towarzyskie, które tam nawiązał, i przeniósł się z powrotem do Anglii. A zrobił to tylko przez wzgląd na nią.

Dygotała na całym ciele, bezradnie zaciskając przy tym pięści. Całe lata oskarżała Dezyderego, nie chciała do niego pojechać i wysłuchać go, zanim umarł. A tymczasem za całym jej nieszczęściem stała matka. Matka, która zawsze była skora do ferowania wyroków wobec innych, pozornie sztywna kapłanka życia domowego i rodzinnych tradycji. Nie odwiedziła umierającej ciotki, nie pojechała na jej pogrzeb. Z najwyższą niechęcią wypowiadała się o własnym ojcu. I pozwoliła, by jej winę wziął na siebie mąż, którego zdradziła i oszukała. Nie miała odwagi wyznać jej, Elizie, prawdy. Nie tylko wtedy, przed laty... To jeszcze Eliza mogłaby jakoś zrozumieć. Ale nawet później, choćby już po śmierci męża. Choćby wtedy, gdy ona i Ula przyjechały do Polski.

– Jeśli spokojnie mnie wysłuchasz, opowiem ci o tym.

Głos Damiana Reńskiego dochodził jakby z otchłani i od razu zdała sobie sprawę z tego, że z pewnością na jej twarzy malowały się wszystkie emocje i uczucia, jakie się w niej kłębiły. Bez wątpienia Reński czytał w niej jak w otwartej księdze. Kto wie, czy nie doszedł do wniosku, że była tak samo emocjonalnie nieprzygotowana do przyjęcia prawdy jak wtedy, ponad dwadzieścia lat temu. Że w gruncie rzeczy pozostała ta samą narwaną dziewczyną, jaką była wówczas. Może nawet żałował, że w ogóle do niej przyszedł i zaczął tę niełatwą, także dla niego, rozmowę. Eliza nie chciała jednak, aby tak pomyślał i z tego powodu wyszedł. Ból, który odczuwała, niemal rozsadzał czaszkę, nie żałowała jednak, że ten człowiek przebywał w jej domu. Pragnęła go wysłuchać. Chciała wreszcie dowiedzieć się wszystkiego... do końca.

– Od dłuższego czasu się nie widywaliśmy – podjął po dłuższym milczeniu Reński. – Pogodziłem się, że nasze spotkanie we wrześniu tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, na dwa miesiące przed podpisaniem zawieszenia broni, było ostatnim. W październiku i listopadzie trwały rozruchy w Królestwie, przez niektórych, chyba na wyrost, nazywane ostatnim powstaniem niepodległościowym. Rozbrajano żołnierzy niemieckich i austriackich, zresztą niespecjalnie się opierali. Mieli już dość wojny, która przyniosła klęskę militarną ich państwom, a na dokładkę jeszcze rewolucję. U nas także w niektórych środowiskach wyczuwało się nastroje rewolucyjne, wręcz bolszewickie. Na naszych oczach ostatecznie rozpadał się pewien porządek, a nie było jeszcze wiadomo, co go zastąpi. Z jednej strony panował zrozumiały entuzjazm, bo wreszcie rysowała się bardzo realna perspektywa posiadania własnego państwa. Ale z drugiej – niepokój, bałagan, chaos. Nie było mowy, by Adrianna w tych warunkach przedsięwzięła wyjazdy do Warszawy, i nawet odczuwałem ulgę, że okazała się na tyle rozsądna, aby tego nie robić. Jednak brakowało mi jej bardzo i za każdym razem, gdy wychodziłem ze szpitala, jak ostatni dureń w głębi duszy miałem nadzieję, że zobaczę ją czekającą na mnie na ulicy, by potem tłumaczyć sobie, jakie to szczęście, że jej tam nie było. Ponieważ decydowała się nie opuszczać Radziejowa albo teść jej tego zabronił. Nie przyszło mi do głowy jeszcze inne, nie mniej przecież prawdopodobne wytłumaczenie – że wrócił jej mąż. Tak jakbym zapomniał o jego istnieniu.

Niewiarygodne, jak człowiek potrafi zakłamać rzeczywistość, zepchnąć ją na samo dno, a nawet pod dno swojej świadomości. Bodajże w grudniu osiemnastego roku, jakoś przed samymi świętami, dowiedziałem się od Rozalii, że Dezydery Rawicki od października jest już w domu. A niedługo potem siostra mi doniosła, że szczęśliwym małżonkom Bóg pobłogosławił, bo Adrianna spodziewa się drugiego dziecka. Dopiero wtedy w pełni do mnie dotarło, że byłem głupcem i to naprawdę koniec. Adrianna więcej do mnie nie przyjedzie. Ma rodzinę. Ma, do cholery, męża. A ja w gruncie rzeczy niczego jej nie obiecywałem. I nie oczekiwałem żadnych obietnic z jej strony. Postanowiłem rzucić robotę w Warszawie i wracać do Krakowa. Do rodziny, która od lat nieodmiennie mnie tylko drażniła. Ale jaki miałem wybór? Co najwyżej zakładałem, że jak tylko sytuacja w kraju się ustabilizuje, przeniosę się do innego miasta. Na pewno nie wrócę już do Warszawy. Rozalia mi potem napisała, że dziecko urodziło się trochę wcześniej, niż zakładano, ale w czasach wojny, czy nawet powojennego stresu i osłabienia kobiecych organizmów, nie było to nic niezwykłego. Dzieci niejednokrotnie rodziły się wcześniej, a bywało, że i później. Rozalia wspomniała, że niełatwo ci było przyjść na świat, ale zajadle walczyłaś o życie. Przynajmniej pod tym względem ty i twoja siostra byłyście do siebie podobne. Obie miałyście trudne początki. – Mówiąc to, uśmiechnął się pod nosem.

Eliza milczała, nie chcąc, przynajmniej na razie, rozpraszać swojej i jego uwagi niepotrzebnymi komentarzami.

– Adriannę zobaczyłem ponownie na pogrzebie Krzysztofa, syna Rozalii. Ale nie rozmawialiśmy długo. Potem, czasem, miałem takie wrażenie, że chyba chciała mi wtedy coś powiedzieć, ale zabrakło sposobności. Przyjechała z mężem, a on prawie jej nie odstępował. Wreszcie powiedziałem sobie: dość, do cholery. Na czym pogrzebie mogę ją jeszcze spotkać? Ktokolwiek by to mógł być, zamierzałem opuszczać podobne ceremonie, byle jej już więcej nie oglądać. Bo sam jej widok na pogrzebie Krzyśka i tych kilka słów, jakie między sobą zamieniliśmy, wystarczyły, bym przez kilka tygodni z trudem do siebie dochodził. Dzięki Bogu moja praca trzymała mnie w pionie. Ostatecznie nie bez powodu dawno temu uczyniłem z niej życiowy priorytet. Z biegiem czasu odzyskałem spokój, przestałem wspominać, tęsknić. Zmądrzałem. Tak przynajmniej myślałem. Zaczęłem nawet ponownie przyjeżdżać do Warszawy na różne sympozja lekarskie. Doszedłem do wniosku, że nawet jeśli przez przypadek zobaczę gdzieś Adriannę, nie będzie to już miało dla mnie znaczenia. Ukłonię się i pójdę dalej. Rozmowy wolałbym mimo wszystko nie ryzykować. Ale tak się jakoś złożyło, że przez kilkanaście kolejnych lat nigdzie się na nią nie natknąłem. Przestałem nawet o niej myśleć. Miałem inne sprawy na głowie. Przede wszystkim nagle dowiedziałem się, że mam... szesnastoletniego syna. Doniosła mi o tym siostra jego matki, gdy ta umarła. Dopóki żyła, zabroniła komukolwiek kontaktować się ze mną i zawracać mi głowę. Podobno dosłownie tak to ujęła: jako zawracanie głowy. Nasza znajomość trwała krótko, rozstaliśmy się, zanim się zorientowała, że jest w ciąży. Potem uważała, że dziecko to wyłącznie jej sprawa. Dopiero gdy umierała, jej krewni wydobyli od niej informację, kto jest ojcem chłopca. Taka była. Ale tę historię na pewno już znasz. Olgierd z pewnością ci o niej opowiedział.

Skinęła głową, obejmując jednocześnie dłońmi kolana.

Mów o mojej matce, błagała go, lecz tylko w myślach. Mów, co zrobiła. Mów o Dezyderym, o Olgierdzie... nawet o sobie samym. Mów, jak to było. Wszystko inne może teraz poczekać.

– Pewnego dnia zobaczyłem ją ponownie – kontynuował coraz bardziej jednostajnym tonem, ale nie miała wątpliwości, że włożył wiele wysiłku, by mówić właśnie w taki sposób. Widziała, jak stara się nie okazywać emocji. Bo na pewno, podobnie jak ona, obawiał się, że tylko by go rozproszyły. – Przyjechałem wtedy do Warszawy na kolejne medyczne sympozjum, bodajże poświęcone zapobieganiu gruźlicy, a może i jakiejś innej dżumie, już nie pamiętam. W każdym razie podczas obiadowej przerwy podszedł do mnie woźny i zakomunikował mi, że w holu czeka na mnie jakaś dama, która twierdzi, że ma pilną sprawę. Koledzy, którzy towarzyszyli mi w drodze do jadalni, zażartowali nawet coś na ten temat, jednak ja, choć byłem głodny, zapytałem o nazwisko tej kobiety. Nie miałem pojęcia, kto by to mógł być. Tak czy owak, nie zamierzałem jednak rezygnować z obiadu. „Pani Adrianna Rawicka” – usłyszałem i w tym momencie wszystko, co mnie otaczało, sala pełna moich kolegów, nasze komentarze dotyczące kolejnych wystąpień referentów przestały dla mnie istnieć. Nie wyjaśniając niczego nikomu

z obecnych przy mnie ludzi, natychmiast pomaszerowałem do holu. Czułem się tak samo jak za każdym razem, gdy ona przyjeżdżała do mnie do Warszawy. A nawet tak jak wcześniej, gdy jeszcze podczas moich wakacji w Jurczewicach każdego ranka czekałem, aż ona zbiegnie do jadalni na śniadanie, bo od poprzedniego wieczora zdążyłem zatęsknić za jej widokiem. Jakim ja byłem wówczas niedojrzałym smarkaczem, skoro nie dopuszczałem do siebie oczywistej prawdy, co to mogło oznaczać. No i wtedy także, chociaż byłem już mocno dojrzały w latach, niemal biegłem do tego holu, by ją zobaczyć i usłyszeć, z czym do mnie przyszła. Po tylu latach milczenia.

\*

– Dzień dobry – powiedziała, podnosząc się na jego widok z krzesła.

Jej głos... Ostatni raz słyszał go podczas stypy po pogrzebie jej brata, a jego siostrzeńca. O czym wtedy ze sobą rozmawiali? Jakieś kilka wyrwanych z większego kontekstu, bezsensownych słów. Coś próbowała mu wtedy powiedzieć, wyjaśnić. Nie mieli jednak wystarczająco dużo czasu, tak naprawdę nigdy go nie mieli. Poza tamtymi dwoma tygodniami wakacji w Jurczewicach, podczas których gadał głównie on. W dodatku dużo i bez sensu. Jak choćby to, że nie planuje się z nikim wiązać, nie planuje zakładać rodziny. Dureń! Oto, kim wówczas był! Ale teraz jej wysłucha, będzie chłonął każde słowo.

– Adrianno! Skąd się tu wzięłaś?

Czy nie tak powitał ją ponad dwadzieścia lat temu na ulicy w Warszawie, gdy niespodziewanie zobaczył ją koło szpitala, w którym pracował?

Po wyrazie jej twarzy natychmiast poznał, że też to sobie przypominała.

– Jeśli odpowiem, że przypadkowo przechodziłam obok i wstąpiłam, aby się przekonać, co się dzieje w środku, pewnie nie uwierzysz? – Uśmiechnęła się, ale widział, jak bardzo jest wzruszona.

– Byłby to rzeczywiście nadzwyczajny zbieg okoliczności – odpowiedział uśmiechem – ale przecież takowe na ogół bywały naszym udziałem. Nic się nie zmieniłaś – dodał po chwili. – Pięknie wyglądasz.

Wiedział, że nie potrafi prawić kobietom oryginalnych komplementów. Nigdy nie potrafił. Już wtedy, w Jurczewicach, gdy rozmawiali ze sobą po raz pierwszy w życiu, przyznał jej się, że nie potrafi bawić kobiet. Odpowiedziała mu, że ona nie potrzebuje, aby ją zabawiano. Niewiarygodne, jak wracały do niego każdy szczegół ich znajomości, każda rozmowa. Tylko tamtych kilku słów, gdy spotkali się na pogrzebie Krzysia, nie mógł sobie przypomnieć. Ale tylko tamtych. Choć może dlatego, że był tam także obecny Dezydery Rawicki. Ten jeden raz im przeszkodził. A może nie potrafił się teraz skupić na jej słowach, bo patrząc na nią, przypominał sobie ich jedyną wspólnie spędzoną noc? Do licha, musiał wziąć się w garść, by i tym razem owo wspomnienie nie przeszkodziło mu w wysłuchaniu jej.

– Jesteś niepoprawnym pochlebcą. – Usłyszał odpowiedź, lecz potrzebował kilku sekund, aby zrozumieć, że w ten sposób skomentowała jego komplement. – Ty także wyglądasz znakomicie.

Opamiętaj się, stary głupcze, upomniał się surowo. Doprawdy czuł się jak osiemnastolatek pod oknem wybranki. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Widocznie są sprawy, gdy niezależnie od wieku i ogólnej kondycji wszyscy zaczynają się czuć i reagować jak osiemnastolatki.

– Skąd wiedziałaś, że mnie tu zastaniesz?

– Dowiedziałam się o symposium. Pomyślałam, że być może się na nim pojawisz – odparła, a on zrozumiał, że więcej wyjaśnień na ten temat nie uzyska. Zresztą nie miało znaczenia, do jakich sposobów się uciekła, aby go odnaleźć. Liczyło się tylko to, że chciała go odszukać. Chciała go zobaczyć i z nim pomówić. I być może poruszyła niebo i ziemię, aby dopiąć swego.

– Ogromnie się cieszę, że cię widzę – odpowiedział z pełną świadomością swojej niewielkiej elokwencji. Z pewnością nie zarobiłby na chleb jako krasomówca. Tak właśnie go dawno temu, jeszcze w gimnazjum, ocenił jeden z profesorów.

– Muszę z tobą porozmawiać. – Adrianna spoważniała. – Czy znajdziesz dla mnie czas, najlepiej jeszcze dzisiaj?

– Choćby zaraz.

– Masz przecież symposium – przypominała mu, ponownie się przy tym uśmiechając, co



skonstatował z dużą ulgą. Poważny przed sekundą wyraz jej twarzy zdążył go już zaniepokoić.

– Teraz mam przerwę obiadową, ale nie czuję głodu. – Zadziwiająco, ale gdy to mówił, naprawdę tak było. Zdążył już zapomnieć o głodzie. – Możemy stąd wyjść.

Poszli do pobliskiego parku, choć tego dnia zimowa aura nie sprzyjała przechadzkom na powietrzu. Było pochmurno, mżyło, a zamiast śniegu, który bez wątpienia nadałby drzewom i alejkom nieco bajkowy urok, nie brakowało kałuż i błota. Mimo to żadne z nich nie zająknęło się nawet, by schronić się w przytulnym wnętrzu jakiejś kawiarenki. Damian zresztą nie odczuwał zimna, wręcz przeciwnie, odnosił wrażenie, że wokół panują letnie temperatury, i miał nadzieję, że Adrianna czuje to samo co on. Na pewno jednak chciała przebywać z nim teraz sam na sam. To było także jego marzenie i właśnie się spełniało. Czy szary, zasnuty mgłą park i sterczące, gołe gałęzie drzew mogły tu cokolwiek zepsuć?

– Twój syn i moja córka od pewnego czasu się spotykają – powiedziała cicho. – To wygląda bardzo poważnie. – Odwróciła wzrok od smutnie sterczących konarów i wreszcie spojrzała mu prosto w oczy. – Wiedziałeś o tym?

Kompletnie zaskoczony, by nie rzec: zbity z tropu, ledwo zdobył się na to, by pokręcić przecząco głową. Czuł się teraz jak człowiek brutalnie przebudzony z pięknego snu. Niemal jak Ikar, który, utraciwszy zdolność latania, spadł do morza. Tyle że upadek Ikara zakończył się śmiercią, on zaś w dalszym ciągu żył. I oniemiały patrzył na kobietę, której samo pojawienie się po latach uniosło go pod obłoki. Teraz nic już z tych podniebnych wrażeń nie zostało. Przy czym wcale nie chodziło o treść tego, co mu przekazała. To nie miało dla niego znaczenia, nie w tym momencie. Chodziło raczej o fakt, że oczekiwał zupełnie innych słów. Sam nie wiedział jakich, zakładał jednak, że będą dotyczyć wyłącznie ich obojga. Jego syn i jej córka? W tym momencie w ogóle go nie obchodzili.

– A więc twój syn o niczym ci nie mówił? Nie poznałeś jeszcze Elizy?

Boże, co to za ton? Niby przyjazny, ale słowa takie obce, takie bezsensowne, niepotrzebne.

Opanował się jednak. Wiedział, że powinien się w końcu odezwać i przestać zachowywać jak zakochany sztubak.

– Nie utrzymuję kontaktów z moim synem – odparł trochę chłodniej, niż zamierzał. – Łączą nas więzy natury czysto formalnej, z czego wynikają moje konkretne zobowiązania wobec niego.

– To wszystko? – spytała, szeroko otwierając oczy.

Znakomicie. Właśnie wyszedłem na obojętnego samca, nieczulego wobec własnego potomka, stwierdził w myślach. Był na siebie zły, więc postanowił nieco złagodzić ton i przynajmniej spróbować ocieplić wizerunek.

– Przez kilkanaście lat nie wiedziałem o jego istnieniu. Tak zdecydowała jego matka. – Kątem oka spostrzegł sceptycyzm w spojrzeniu Adrianny. No pięknie, pomyślał, teraz dodatkowo zrobił z siebie drania, który odpowiedzialnością za własne niedoskonałości obarcza matkę swojego dziecka z nieślubnego łoża. Czas przejąć kontrolę nad własnymi słowami i tą coraz bardziej zagadkową rozmową. – Oczywiście widuję Olgierda od czasu do czasu, ale... Zrozum, to wszystko nie jest takie proste – dodał.

– Przecież dobrze wiem, że rzadko kiedy coś jest w życiu proste – odparła tonem, po którym poznałby ją zawsze i wszędzie, nawet gdyby stracił wzrok. Był to ton kobiety uwikłanej w konieczność dokonywania wyborów między tym, czego oczekują od niej konwenanse, zobowiązania wobec społecznych reguł i wobec rodziny, a pragnieniem pójsicia za głosem serca, za co jednak musiałyby zbyt drogo zapłacić.

To znowu była jego Adrianna. Kobieta, której wprowadzić nigdy niczego nie obiecywał, ale która była mu bliska jak nikt na świecie. Wiedział, że tak już pozostanie do końca jego dni.

– Tak cię to martwi? – spytał ciepło, pocieszająco. – Mój syn i twoja córka... i co z tego? – Zdobył się nawet na to, by przesłać jej krzepiący uśmiech. – A wiesz, że mnie się to nawet podoba? Oni razem – głos mu drgnął – zamiast nas.

– To niemożliwe – odparła ostro.

W ułamku sekundy odniósł wrażenie, jakby znalazł się pod lodem. Po jej ciepłym, pełnym

skrywanych namiętności tonie nie został nawet ślad. Zabolało go to, ale nie odpowiedział. Pozostawało mu jedno – czekać na jej dalsze słowa. Nie wątpił, że padną i pewnie wzmożą jego ból, a może i przyniosą rozczarowanie.

– To niemożliwe – powtórzyła już ciszej i znacznie spokojniej. – Już mu to powiedziałam.

– Komu? – spytał zszokowany. – Olgierdowi? Rozmawiałaś z nim?

– Tak.

– Rozumiem. – Poluzował krawat, bo nagle zrobiło mu się duszno. – I co? Skłoniłaś go, aby nie zwracał głowy twojej córce? Czy posunęłaś się do tego, aby mu opowiedzieć... o nas? – Z rozmysłem postarał się o odpowiednio dużą dawkę ironii.

– Musiałam. Nie miałam innego wyjścia.

No jasne, pomyślał z irytacją. Miał już dosyć tej rozmowy. Euforia wywołana spotkaniem pękła jak bańka mydlana. Zateśknął za salą instytutu naukowego, gdzie odbywało się sympozjum.

– Nie musiałaś o niczym mu mówić, ale to miło z twojej strony, że przyszedłaś mnie powiadomić, co zrobiłaś – odparł ze złością. – Przypuszczam, że cię wyśmiał i teraz próbujesz nakłonić z kolei mnie, abym przemówił mu do rozumu. Nic z tego, taka jest moja odpowiedź. A teraz żegnam.

– Eliza jest jego siostrą! – krzyknęła wtedy z nagłą desperacją w głosie. – Jest twoją córką! Musiałam mu to powiedzieć! Więc skoro powiedziałam jemu, to i ty powinienes się dowiedzieć! Bo on z pewnością z tym do ciebie przybiegnie!

\*

– Patrzyłem, jak się oddalała, i przez dobrych parę minut nie byłem w stanie zrobić nawet jednego kroku ani jej zawołać. Wiedziałem, że jeszcze chwila, a zniknie mi na dobre z oczu, ale nie potrafiłem przemoc paraliżu, jaki mnie ogarnął.

– Ale w końcu ci się to udało? – podpowiedziała niecierpliwie Eliza.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna go poganiać, że to tylko utrudni sprawę i być może zepsuje cały przekaz jego opowieści, ale nic nie mogła poradzić na to, że odzywała się jej dawna, zachłanna, natarczywa natura. Całe szczęście, że Damian w ogóle się tym nie przejął. A może był zbyt zmęczony, by przyspieszać narrację. Nie zmienił nawet tonu, nadal mówił powolnym, lekko sennym głosem. Nie patrzył na Elizę, wzrok miał utkwiony gdzieś w oddali, najpewniej w przeszłości, ale jego pełne skupienia oczy świadczyły o tym, że panował nad wspomnieniami i przekazywał je wyczerpująco i uczciwie.

– Tak, w końcu ruszyłem z miejsca i dogoniłem ją blisko parkowej bramy. „Teraz chcesz tak po prostu odejść? Bez słowa wyjaśnienia?” – zawołałem i nie dbałem o to, że przechodnie zaczęli na nas zwracać uwagę. „Myślałam, że nie chcesz na mnie patrzeć, że mnie znienawidziłeś” – ona na to. „Chyba oszalałaś!” – Byłem wściekły, ale tym razem na siebie. Bo miała prawo tak myśleć po tym, co jej parę minut wcześniej powiedziałem. Przez moment milczeliśmy – ja, bo po dość żwawym biegu dostałem zadyszki, ona zaś się rozplakała. Nigdy jeszcze nie widziałem jej łez, ani razu, dlatego poczułem się jeszcze bardziej parszywie. „Chodź do mnie, mieszkam niedaleko. Spokojnie porozmawiamy” – zaproponowałem. Wydawało mi się, że dostrzegłem cień uśmiechu przez łzy. „A jeśli skończy się to tak jak ostatnim razem, kiedy do ciebie przyszedłem?” – zapytała. Zanim jednak znalazłem odpowiedź, Adrianna mnie uprzedziła. „Przepraszam” – wyjąkała. „To było głupie i wulgarnie z mojej strony”. Nie uważałem, by to, co usłyszałem, było głupie czy wulgarnie, i zaraz ją o tym zapewniłem.

– I co? Poszła do ciebie? – spytała z zapartym tchem Eliza.

Jej pragmatyczna, broniąca zasad matka, która nieraz nie omieszkała krytykować zarówno córki, jak i jej znajomych za zbyt niepoważne zachowanie?

– Tak – odparł Reński, rzuciwszy jej spod oka krótkie spojrzenie – ale nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego.

– Mam rozumieć, że ograniczyliście się wyłącznie do rozmowy? – wtrąciła z sarkazmem Eliza, czego się natychmiast zawstydzila. Ten ton i te słowa były bardzo nie na miejscu.

Dlatego zaczerwieniła się po uszy, napotkawszy kolejne spojrzenie Damiana, dłuższe od

poprzedniego.

– Rozmawialiśmy o naszych dzieciach.

– Przepraszam – wyjąkała skruszona.

\*

– Zorientowałam się jakiś miesiąc po powrocie Dezyderego. – Adrianna drżała na całym ciele, ale widział, jak bardzo się starała, by mówić zrozumiale i precyzyjnie. – Wcześniejsze, niekoniecznie jednoznaczne, symptomy przypisywałam zmęczeniu, stresowi, temu, że żyłam w ciągłym napięciu. Podczas wojny, po urodzeniu Ireny, zdarzało mi się, że mój organizm działał... nieregularnie. Jako lekarz chyba rozumiesz, o co chodzi. – Zmieszała się trochę, ale gdy skinął potakująco głową, uspokoiła się i kontynuowała: – Kiedy już nie mogłam mieć wątpliwości, jak się sprawy mają, postawiłam wszystko na jedną kartę. To znaczy na moje małżeństwo i rodzinę. Widziałam wokół siebie same szczęśliwe twarze. Mój teść promieniał, Dezydery był w siódmym niebie. To będzie dziecko na nową, lepszą przyszłość – mówiono. Słyszałam zewsząd życzenia i gratulacje. Zresztą wiele kobiet, które doczekały się powrotu z wojny swoich mężczyzn, znajdowało się wtedy w odmiennym stanie. Całymi miesiącami łudziłam się, że to dziecko Dezyderego. Być może to, co teraz wyznałam, zabolalo cię, ale...

– Przecież cię rozumiem – wtrącił, choć z trudem wydobył głos z zaciśniętej krtani.

Wyjęła chusteczkę, wytarła oczy, a potem cicho westchnęła.

– Ale kiedy zaczął się poród, już nie mogłam się łudzić. Nie było wtedy przy mnie lekarza, ale może to i dobrze, bo niewykluczone, że zorientowałyby się, że dziecko wcale nie urodziło się za wcześnie, jak uznali otaczający mnie laicy, a ja to skwapliwie potwierdzałam. Poród zaczął się nagle i niespodziewanie, a lekarza w okolicy nie było. Tym razem nie zjawił się żaden inny, przyjezdny. – Mimo przygnębienia mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Na szczęście obecne przy mnie kobiety poradziły sobie ze wszystkim i tylko jedna wyraziła uznanie, że jak na zbyt wcześnie urodzone dziecko Eliza wygląda zaskakująco dobrze. Choć poród nie był łatwy. Ta kobieta wiedziała, co mówi, bo w przeciwieństwie do pozostałych asystowała przy niejednych narodzinach. Na szczęście ani nie wydziwiała, ani nie drażyła. Tym bardziej że Dezydery zaraz zaczął żartować, że podobno i on przyszedł na świat przed spodziewanym terminem, a powitał ten padół jako duży i silny chłopaczek. „Ta mała poszła we mnie” – śmiał się. Potem powtarzał to wielokrotnie przy różnych okazjach.

– Czy to nie paradoks, że ja przyjmowałam na świat jego dziecko, a on był obecny przy narodzinach... mojego? – Damian uśmiechnął się, ale zaraz się zorientował, że podobny komentarz mógł zachować dla siebie. I tak jak poprzednio zrobiła to Adrianna, tym razem on wydusił z siebie słowo „przepraszam”.

Przyjęła je w milczeniu.

– Tak jak już wspomniałam, uznałam, że najważniejsza jest rodzina, a moje dzieci zasłużyły na normalny dom z dwojgiem kochających rodziców. Ale nie ukrywam, nie tylko o nie mi chodziło. – W jej głosie pojawił się teraz bardziej wyzywający ton. Emocje pomału brały górę, choć jeszcze starała się trzymać je w cuglach. – Myślałam o moim teściu, tak zawsze dla mnie dobrym i oddanym moim córkom. Nie potrafiłam zapomnieć, że będąc jeszcze tylko moim wujem, wyrażał obawy, czy powinnam wychodzić za Dezyderego, skoro moje uczucia wobec niego nie były wystarczająco silne, a powody do małżeństwa... niewystarczające. „Co będzie, jeśli spotkasz kogoś, kogo naprawdę pokochasz?” – pytał. A ja go wtedy zapewniłam, że nic takiego nie będzie miało miejsca. Chyba mi uwierzył. Nie mogłam go więc zawieść. No i nie ukrywam, nie wyobrażałam sobie, że mogłabym zranić Dezyderego.

– Wówczas, po pogrzebie Krzysia, to właśnie chciałaś mi wyjaśnić? Swoje powinności wobec rodziny, męża, nawet teścia? Ale nie zamierzałaś powiedzieć ani słowa o Elizie, prawda?

Skinęła z wysiłkiem głową.

– Właśnie tak. Postanowiłam, że Eliza będzie córką Dezyderego. Jednak nie udało mi się wtedy z tobą porozmawiać. A po latach Eliza przedstawiła nam Olgierda Reńskiego.

– Boże...

– Tak. Nie wiem tylko, czy wypada tu wzywać boskiego imienia. – Wzruszyła ramionami i upiła

łyk wody ze szklanki, którą jej podał. – Miałam nadzieję, że Eliza znudzi się tym chłopcem, podobnie jak znudziła się innymi, ale tak nie jest. Przywiozła go do nas ze dwa albo i trzy razy. Wiem, że spotykają się w Warszawie, że Eliza przychodzi do pokoju, który on wynajmuje. Bałam się tego, do czego mogłoby dojść. O ile już nie doszło. Powiedziałam więc Dezyderemu, aby pomówił z twoim synem. Aby dał mu do zrozumienia, że nam się to nie podoba. Że nie pasują do siebie i takie tam... Niełatwo mi było przekonać męża do spotkania z twoim synem. Uważał, że demonizuję, że należy to zostawić w spokoju, bo dziewczyna i tak się w końcu znudzi niezamożnym, skromnym, pracowitym Olgierdem. Zajmie jej to pewnie trochę czasu, bo chłopak jest pod pewnymi względami dla niej interesujący, ale tak czy inaczej, ta znajomość skończy się jak każda poprzednia. „Jeśli zaczniemy się do tego wtrącać, skutek będzie dokładnie odwrotny, niż tego oczekujesz” – powiedział. „Wiesz, jaka ona jest. Dopiero wtedy się zawareźmie. I na tego chłopaka, i na nas. O ile nie zarzuci nam, a zapewne to właśnie zrobi, że nie lubimy go, bo nie pochodzi z naszego środowiska”. Nie mogłam i nie chciałam mu powiedzieć, jaka była prawdziwa przyczyna, że Olgierd i Eliza nie mogli kontynuować tej znajomości. Zaczęłam jednak krzyczeć, że niewykluczone, że ze sobą sypiają, a chyba on, jako ojciec, powinien na to zareagować, a przynajmniej przeprowadzić rozmowę z młodzieńcem. Dobrze wiem, jak to zabrzmiało, Dezydery oczywiście mnie wyśmiał, ale w końcu obiecał, że zajmie się sprawą. Zawsze przecież robił to, o co go prosiłam. Pojechał więc do Warszawy i tam na miejscu rzeczywiście przekonał się, że Eliza przychodzi do twojego syna, a w tym czasie jego sublokator wychodzi z domu. Zostają sami na kilka godzin. Po jednej z takich wizyt, gdy Eliza już wyszła, Dezydery zdecydował się odwiedzić chłopaka. Nie omieszkał mi jednak powiedzieć, że czuł się jak ostatni idiota śledzący w bramie własną córkę. No i niczego nie wskórał, oprócz tego, że chłopak obiecał mu, że nie będzie już zapraszał Elizy do swojego pokoju. Mogłam się tego spodziewać. Od początku w głębi serca wiedziałam, że powinnam sama się tym zająć. Nie mogłam już dłużej czekać. Rozmowa z Elizą nie miałaby sensu. Zrobiłaby skandal, wywołałaby awanturę, powiedziałyby o wszystkim Dezyderemu. A tego nie chciałam za nic w świecie. Pewnie mną teraz gardzisz, ale nie mogłam... mu tego zrobić. I co by to dało, gdyby dowiedział się prawdy? Czy cokolwiek by zmieniło w sprawie Elizy i Olgierda? Za to zniszczyłoby moje małżeństwo, moją rodzinę, czyli wszystko, na czym postanowiłam oprzeć moje życie. Dlatego od razu następnego dnia ja z kolei odwiedziłam twojego syna. Poznałam go na tyle, by założyć, że on zachowa dyskrecję. Ryzykowałam, to oczywiste, ale co innego mogłam jeszcze zrobić? Powiedziałam mu prawdę. Właśnie od niego wracam.

– I jak on to przyjął? – spytał głuchym głosem, który sam z trudem rozpoznawał.

– A jak myślisz?! – uniosła się, jednak zaraz się uspokoiła. – Przepraszam... Jak przyjął? Panował nad sobą, choć bez wątplenia był wstrząśnięty. Obiecał jednak dyskrecję. Obiecał nawet więcej. Przyznał się, że dostał stypendium na zagraniczny wyjazd naukowy, ale ze względu na Elizę wahał się, czy je przyjąć. Na wszelki wypadek nic jej nie mówił. „No to teraz decyzja jest już prosta” – powiedział. Nie okazał żadnych emocji. Nie przedłużałam wizyty. Jestem zresztą pewna, że prędzej czy później sam ci to wszystko powie.

\*

– I powiedział? – Eliza nie spuszczała z niego wzroku. Nie zapaliła światła, a mimo to spostrzegła, że jej pytanie wywołało na jego do tej pory znużonej, lecz mimo to spokojnej, twarzy grymas bólu.

– Spotkałem się z nim dopiero na początku września trzydziestego dziewiątego roku. Przedtem jedynie do mnie napisał z informacją, że wyjeżdża do Paryża. Byłem pewien, że postanowił tam zostać, i przyjąłem to z ulgą. Ze wszech miar było to najlepsze rozwiązanie. Jakież było moje zdumienie, gdy w pierwszych dniach wojny zobaczyłem go w szpitalu, gdzie pracowałem. Nie był ranny, po prostu odszukał mnie i przyszedł się pożegnać. „Idę na front” – oznajmił. „Po coś tu wracał, chłopie?” – złapałem się za głowę. „Bronić kraju, to chyba najsensowniejsza rzecz, jaką mogę jeszcze zrobić”. Niech to szlag, pomyślałem wtedy i po raz pierwszy dotarło do mnie, że ten chłopak naprawdę jest mi bliski i oddałbym duszę diabłu, gdybym mógł go ocalić. Byłem pewien, że siedział bezpiecznie we Francji...

tak jak ty... w Anglii. Nie wiedziałem jednak, jak mu to wyznać, bo nigdy nie pogadaliśmy ze sobą tak naprawdę, od serca. A cholernie chciałem mu coś powiedzieć, przerwać to niezręczne milczenie. „Wiem, że odwiedziła cię Adrianna Rawicka” – wymamrotałem. Nawet mu powieka nie drgnęła. „Tak, jeszcze w styczniu” – potwierdził. „Była pewna, że przyjdiesz z tym do mnie” – ja na to. Wzruszył tylko ramionami. „Po co? Nie oszukiwałaby mnie w taki sposób. Nie mówmy o tym. To wasze sprawy”. Wiedziałem, że nie mam prawa go o nic wypytywać, nawet o to, jak sobie z tym poradził, jak się teraz czuje. Zwłaszcza o to. Uświadomiłem sobie, że byłem beznadziejnym ojcem, a fakt, że przez kilkanaście lat nie wiedziałem o jego istnieniu, niczego tu nie usprawiedliwia. Bo nawet gdy już go poznałem, zachowywałem się jak obcy człowiek, tyle że przyjąłem na siebie zobowiązania finansowe wobec niego. Tak naprawdę to miałem szczęście, że Olgierd w ogóle chciał od czasu do czasu zobaczyć się ze mną, napisać, poznać moją rodzinę w Krakowie. „Dziękuję ci” – powiedziałem, a on ponownie wzruszył ramionami. „Za co mi dziękujesz? Myślałeś, że zmuszę cię do spowiedzi?” – spytał. Miał na myśli Adrianę i ciebie. Jednak z całą pewnością nie chciał o tym mówić, a ja wiedziałem, że muszę to uszanować. „Dziękuję ci, że dziś do mnie przyszedłeś” – sprostowałem. „No, nie mogłem inaczej” – wyznał. „Nie mam pojęcia, kiedy się znowu zobaczymy i czy w ogóle... No sam wiesz. Wojna to loteria. Na kogo wypadnie, na tego bęc”. „Takie jest życie, nie trzeba do tego wojny” – wyrwało mi się, w przeciwnym wypadku chyba bym się przy nim pobeczkał. „Racja, tato. Ty i ja możemy podpisać się pod tymi słowami” – roześmiał się i wyciągnął do mnie rękę. „No, to do zobaczenia”. Zakręciło mi się w głowie, bo po raz pierwszy tak się do mnie zwrócił: „tato”. A czas miał pokazać, że i po raz ostatni.

– Zaparzę herbaty – oznajmiała nagle Eliza, zrywając się z miejsca. – Dobrze nam zrobi gorąca herbata...

W drzwiach pokoju odwróciła się jednak z powrotem w jego stronę. Siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w oknie.

– Przynajmniej wiem, że i tak by do mnie nie wrócił – rzekła i objęła dłońmi rozdygotane ramiona. – Tyle lat zadawałam sobie to pytanie... Zrujnowałam moje małżeństwo, ale wreszcie to wiem.

– Tylko dlatego postanowiłem ci wszystko opowiedzieć – odparł z prostotą – abys się już dłużej nie dręczyła. Choć wiem, że nadal jest ci ciężko.

– Poradzę sobie – odparła odważnie. – Dziękuję, że mi powiedziałaś...

– Byłem fatalnym ojcem – rzekł powoli. – Los obdarzył mnie wspaniałym synem, a ja to zmarnowałem. Jego matka musiała wiedzieć, że tak będzie. Była prostą dziewczyną, ale miała więcej rozumu niż ja z tym moim uczelnianym dyplomem. Dlatego nie chciała, abym cokolwiek wiedział o synu. Może przeczuwała, że taki ojciec nie da mu niczego dobrego.

– Nie mów tak...

– Adrianna myślała tak samo. Wiesz, co mi powiedziała, już na pożegnanie, przy wyjściu? Wtedy gdy wyznała mi prawdę o tobie? Przy samych drzwiach odwróciła się jeszcze i zupełnie niespodziewanie potrząsnęła mnie za ramiona. Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że przez cały ten czas, ani w holu instytutu naukowego, gdzie po mnie przyszła, ani w parku, ani na ulicy, ani u mnie w domu – w ogóle się nie dotknęliśmy, nawet nie podaliśmy sobie rąk na powitanie. „Dlaczego wtedy, podczas tamtych wakacji w Jurczewicach, zapowiedziałeś, że nie chcesz mieć rodziny?!” – wrzasnęła. „Że nie chcesz żyć tak jak twój ojciec? Bo w przeciwieństwie do niego pragniesz poświęcić się jedynie swojej pracy, a rodzina tylko by ci w tym przeszkadzała? Może gdybyś tego nie powiedział, wszystko ułożyłoby się inaczej?” Machnęła ręką i szarpnęła za drzwi. Nie odpowiedziałem i tym razem nie wybiegłem za nią. Co mogłem jej odpowiedzieć? A poza tym na wszystko było już za późno.

Eliza zrobiła taki gest, jakby chciała do niego podejść, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

– Nie dręcz się już tym – westchnęła. – Musisz odpocząć.

– Dwoje dzieci, które wychowały się z daleka ode mnie i zapłaciły za błędy mojego życia – szepnął, zamykając znużone oczy. – Zmarnowana miłość. Samotność, za którą tak często tęskniłem w przepelnionym domu moich rodziców, okazała się jednak moim przekleństwem. Spełnienie zawodowe okazało się jałowym sukcesem. Nie zastąpiło miłości tych, którzy mieli prawo na mnie liczyć. Więc przynajmniej od czasu do czasu przyjeżdżałem, aby z daleka popatrzeć na ciebie i moją wnuczkę.

– Dzięki Bogu w końcu zdecydowałeś się do mnie zbliżyć – odpowiedziała i nie wahając się już dłużej, podeszła blisko i objęła go ramionami.

– Myślę, że w końcu zdecydowała się o wszystkim ci powiedzieć. Powtarzała twoje imię. Gdybyś przyjechała wcześniej... – Irena przerwała, bo przyszło jej do głowy, że siostra mogłaby przyjąć te słowa za wyrzut. A nie o to przecież chodziło. Dlatego na wszelki wypadek pospiesznie dodała: – Ale to stało się tak nagle. Tak czy inaczej, nie miałaś szans, aby zdążyć...

Eliza jednak nie sprawiała wrażenia obrażonej ani zakłopotanej.

– Nawet nie przyszło jej do głowy, że już od dwóch lat o wszystkim wiedziałam... od niego – odparła pozornie obojętnym tonem.

– Poznałabyś jej wersję wydarzeń.

– Nie było czegoś takiego jak dwie wersje wydarzeń. Od początku do końca wersja była jedna. Co najwyżej wysłuchałabym jej wyjaśnień, kajania się, pretensji.

– Nie miała pretensji do ciebie. Rozumiała twój żal.

– Toteż nie miałam na myśli jej pretensji do mnie, lecz do samej siebie. To także byłoby nie do zniesienia. Nie chciałam patrzeć, jak sypie sobie popiół na głowę.

Eliza zniecierpliwionym ruchem sięgnęła po papierosa. Dłonie jej zdrząły.

– Jakież dwa miesiące temu wspomniała, że zamierzała do ciebie napisać – odważyła się wtrącić Irena.

– Cóż... nie napisała.

– To nie było dla niej łatwe.

– Wierzę. – Elizie wreszcie, przy trzeciej próbie, udało się zapalić papierosa.

– Nie powinnaś tyle palić – westchnęła Irena.

Siostra rzuciła jej krótkie spojrzenie i uśmiechnęła się ironicznie.

– Spokojna głowa, nic mi nie grozi. Nie ma szans, abym odziedziczyła skłonność do choroby nowotworowej po Dezyderym.

Zapadło ciężkie milczenie, zanim wreszcie Eliza rozgniotła w popielniczce nadpalonego papierosa i wymamrotała krótkie „przepraszam”.

– Chyba zaczęła pisać ten list – podjęła po chwili, jeszcze dość chłodnym tonem, Irena – ale miałam wrażenie, że jej nie szło. Kiedyś, tak od niechcienia, niby à propos czegoś zupełnie innego, wtrąciła uwagę, że nie potrafi przenieść na papier własnych myśli. Że nie potrafiłaby wyrazić tego w sposób precyzyjny i zrozumiały. Wyszedłby bełkot, którego odbiorca by nie zrozumiał.

– Nie musisz jej tłumaczyć – ucięła Eliza.

Z pobliskich krzaków poderwał się nagle jakiś ptak, spłoszony przez kota, który najpewniej musiał tu przywędrować z miasteczka. Sierpniowe słońce odbijało się w gałęziach i liściach drzew, powoli nabierających złotego odcienia.

– Urok późnego lata – wyszeptła bezwiednie Irena.

– Urok późnego lata? – powtórzyła z lekkim zdziwieniem Eliza. Jednocześnie jednak nagle wspomnienie związane i z tym miejscem, i tymi słowami wprawiło ją w ponowne drżenie. Zaciśnęła dłonie, co jak zwykle ułatwiło jej opanowanie emocji.

– To było ulubione powiedzenie naszej mamy – wyjaśniła cicho Irena. – I chyba jej ulubiona pora roku. Zapomniałaś o tym?

– Nie.

– Czy naprawdę nie mogłabyś jej wreszcie wybaczyć? – Irena nie wytrzymała. Przemogła się nawet na tyle, by pogłaskać dłoń siostry. Dłoń, którą tamta zaraz cofnęła.

– Nie rozumiesz, że tu nie chodzi o moje wybaczenie? – Eliza gwałtownie się podniosła i zaczęła nerwowym krokiem przemierzać ganek, tam i z powrotem. – Miała pecha, przyznaję. Bywa. Mogę zrozumieć, że wołała przemilczeć przed mężem zdradę. Być może na jej miejscu postąpiłabym podobnie. To, przyznaję, pozwoliło jej, a przy okazji także reszcie rodziny, uniknąć potwornych życiowych perturbacji. Pod warunkiem jednak, że los by z niej ponownie nie zakpił i nie postawił na mojej, a przy

okazji i na jej drodze syna Damiana Reńskiego. Ale ona postanowiła nadal przede mną milczeć, nawet wtedy, gdy obarczyłam Dezyderego winą za rozpad mojego związku z Olgierdem. Była

świadkiem, jak mu to oskarżenie rzuciłam w twarz. Wiedziała, że nienawidziłam go potem całymi latami, że umierał, będąc świadomym tej nienawiści, na którą przecież nie zasłużył. Bo jego jedyną winą była próba wytłumaczenia Olgierdowi, że ja i on do siebie nie pasujemy. Że z tej mąki chleba nie będzie. Nie powiedział mu nic więcej niż potem mnie. Nie naciskał, do niczego nie zmuszał. A Olgierd obiecał mu tylko tyle, że nie będzie się ze mną spotykał sam na sam w swoim pokoju.

– Przecież mama nie miała wyboru! – krzyknęła Irena. – Gdyby powiedziała o wszystkim tobie, doniosłabyś... ojcu.

– Nawet jeśli, nie powinna była dopuścić, by zamiast niej oberwał Dezydery.

– Czy cierpiałby mniej, gdyby poznał prawdę?!

Umilkły. Obydwie poczuły zmęczenie, zniechęcenie, smutek. Usłyszały też, że ścieżką od strony ogrodu zbliżali się Andrzej, Jacek i Ula. Ubrani na czarno, tak samo jak one. Niedawno przecież wrócili z pogrzebu matki i babci. Na widok swoich dzieci obie siostry natychmiast się uspokoiły. Młodzi ludzie przeszli jednak obok domu, zupełnie nie zwracając na nie uwagi. Bez słowa wyjaśnienia skierowali się do furtki i wyszli na zewnątrz posesji. Odprowadziły ich wzrokiem, ale każda z nich zastanawiała się po cichu, czy słyszeły ich burzliwą wymianę zdań.

– Nie istniało dobre wyjście z tej sytuacji – szepnęła Irena. – Nie było nawet opcji mniejszego zła.

– Ja jednak poczułam ulgę, gdy się dowiedziałam – odparła głucho Eliza. – Gdy Damian mi powiedział. Przynajmniej przestałam się dręczyć, czy Olgierd, wracając do Polski, zrobił to ze względu na mnie, bo wszystko sobie raz jeszcze przemyślał. Bo tak właśnie całe lata myślałam.

– Mama też się dręczyła. Już od kilku lat miała przeczucie nadchodzącej śmierci. Pewnej nocy postanowiła, że nie może jednak zabrać tej tajemnicy do grobu. Uchyliła wtedy jej rąbka, ale powiedziała mi w sam raz tyle, bym spokojnie domyśliła się reszty. To, czego jeszcze nie do końca rozumiałam, wyjaśniła mi na kilka dni przed wylewem. Potem nie mogła już mówić, ale zanim umarła, wyraźnie usłyszałam, jak trzy razy wyszeptała twoje imię.

– Mówiłaś mi już o tym.

Zabrzmiało to cierpko i nieprzyjemnie, toteż Eliza, widząc, że siostra ukryła twarz w dłoniach, podeszła do niej i nieśmiało dotknęła jej włosów.

– Zrozum, tu naprawdę nie chodzi o moje wybaczenie – powtórzyła łagodnie to, co powiedziała wcześniej. – Chciałam tylko, żebyś wiedziała, dlaczego czułam do niej taki żal. Wyłącznie ze względu na twojego ojca, choć przecież i ja mogłam zachować się trochę łagodniej w stosunku do niego. Ale chciałabym także, byś wiedziała, że w gruncie rzeczy, w głębi duszy, chyba trochę ją rozumiem. Nie musisz mi niczego tłumaczyć, bo i tak to wszystko wiem. Pewnie gdybym miała inny charakter, gdybym nie była taka nieznośna, lecz dla odmiany tak zrównoważona jak ty... albo jak Olgierd, to wtedy, przed laty, matka odważyłaby się porozmawiać ze mną szczerze... bez obawy, że pobiegnę z tym do Dezyderego i wywołam awanturę na całą Warszawę. Zaufałaby mi, tak jak to było w przypadku Olgierda. Jemu przecież powiedziała wszystko. Tak mi to wytłumaczył Damian.

Pełen ciepła ton jej głosu, gdy wypowiadała ostatnie zdanie, sprawił, że Irena odjęła ręce od twarzy i przyjrzała się jej ciekawie.

– A on jak się miewa? – spytała z pewnym wysiłkiem. – Jak to zniósł? Nie chciał... przyjechać na pogrzeb razem z tobą i Ulą?

Eliza zapatrzyła się w ogród, a Irena doszła do wniosku, że może niepotrzebnie zadała te pytania. Może siostra uznała je za zbyt dociekliwe, wścibskie? Już nawet myślała, jak by tu zatrzeć nie najlepsze zapewne wrażenie, gdy Eliza odpowiedziała. Spokojnie, z powagą i wzruszeniem.

– Namawiałam go. Ula także. Wymawiał się ze względu na ciebie. Że pewnie sprawiłoby ci to przykrość.

– Ja... – zaczęła Irena, zalewając się szkarłatem, ale Eliza nie dała jej się wypowiedzieć.

– Zapewniłam go, że moja siostra nie tylko nie miałaby nic przeciwko jego obecności na



pogrzebie naszej matki, ale z pewnością przyjąłaby to ze zrozumieniem. Podobnie jak jej mąż i synowie.

– Dziękuję – wyszeptła Irena, przełykając łzy. – Dziękuję, że tak o mnie powiedziałaś.

– Nie ma za co. – Eliza pozornie obojętnie wzruszyła ramionami. – Przecież to prawda. – Powiodła wzrokiem po owocowych drzewach za domem i dodała: – Ale myślę, że chyba nie miałby dość sił na tę podróż. I na takie emocje. „Może kiedyś” – powiedział. „Kiedyś na pewno”. Ale czy tak będzie? – Potrząsnęła głową i popatrzyła z uśmiechem na siostrę. – Pokaż mi jej album.

– Album? – spytała zaskoczona tak nagłą zmianą tematu Irena.

– Tak. Ten ze starymi zdjęciami. Moja Ula opowiadała mi o nim z zachwytem.

– Moi chłopcy także – odparła z udanym przekąsem Irena. – Mnie zawsze denerwowało to jej zapatwienie w przeszłość. Te godziny spędzane nad albumem albo na cmentarzu. To, że lubiła być w tym domu sama, by wspominać. Pocieszałam się jedynie, że wspominała głównie szczęśliwe lata spędzone z tatą. Potem już wiedziałam, że z tym ostatnim bywało różnie. Raczej nie o niego jej chodziło. – Tym razem to ona pozwoliła sobie na gorzką ironię.

– O niego także.

– Popatrz, jej rodzice. – Irena, nie komentując pocieszającej odpowiedzi siostry, przekładała karty albumu. – A tu ciotka Cecylia Barcińska. Czy takie dzieciństwo zasługuje na wspomnienia i miejsce w albumie? Gdy pomyślę o tym, przez co nasza matka przeszła jako dziecko, mogę tylko czuć do niej wdzięczność, że nam tego oszczędziła. Jako dzieci i podrastające dziewczynki miałyśmy bardzo szczęśliwy dom. Musisz to przyznać. Dla nas i dla mojego ojca zrezygnowała z tego, z czego jej ojciec i ciotka zrezygnować nie mieli zamiaru. Pewnie dlatego nie chciała im wybaczyć. Nawet jej to kiedyś powiedziałam. A teraz myślę, że może także dlatego, że trochę im zazdrościła. Bo chyba nie do końca była pogodzona ze swoim wyborem.

Eliza nie odpowiedziała, co sprawiło, że Irena ponownie poczuła się niezręcznie.

– Co zrobimy z tym domem? – spytała nieco stropiona. – Sprzedamy go czy... zostawimy sobie i dzieciom?

– Jak chcesz. Ty tutaj decydujesz.

– Eliza! Daj spokój! Dom należy zarówno do mnie, jak i do ciebie.

– Mówię poważnie. Jeśli potrzebujecie z Romanem pieniędzy, to go sprzedajcie. Ja i tak mieszkam daleko.

– Na litość boską! – Irena nie wytrzymała. – Nie potrzebuję więcej pieniędzy. Co mi po nich?! Potrzebuję siostry, która mi podpowie, co mam zrobić z domem po rodzicach! Tak, po naszych rodzicach!

– W takim razie go zostaw – odparła zapalczywie Eliza.

– Ale to będzie nasz dom. Wiesz, co to znaczy? Że chcę cię tu widzieć częściej niż raz na kilka lat.

– Postaram się – odpowiedziała już spokojniej Eliza, nie odwracając wzroku od coraz bardziej nieuważnie przekładanych stron albumu.

– Żadne „postaram się”, tylko mi to obiecaj.

W tym momencie usłyszały wyraźne skrzypnięcie furtki, wychyliły się więc, przypuszczając, że to dzieci wracają z przechadzki. Nikogo jednak nie zobaczyły.

Wymieniły się spojrzeniami, bojąc się splotać tę chwilę jakimkolwiek słowem czy gwałtownym gestem. Wiatr lekko poruszył gałęziami owocowych drzew, poczuły także wyraźny zapach jabłek, a zarazem róż wystawiających swoje płatki ku słońcu. Późne lato, ukochana pora ich matki... Obie jednocześnie o tym pomyślały.

Eliza zamknęła album, lecz nie wypuszczała go z dłoni, mimowolnie kreśląc na nim palcami jakieś esy-floresy. Jej spojrzenie było już jednak cieplejsze, zniknęły z niego dotychczasowe napięcie i chłód.

– Zgoda, obiecuję – rzekła niemal pogodnie. – Skoro tobie... i jej tak na tym zależy.

Irena z trudem stłumiła szloch i opanowała wewnętrzne drżenie. Nie chciała się rozklejać, zawsze była przecież twarda i zrównoważona. Bardziej niż siostra. Bardziej niż matka. I niech tak pozostanie.

Postanowiła nawet lekko żartować, dostosowując się do tonu i słów młodszej siostry.

– Zatem skoro to nasz wspólny dom, muszę zapytać cię o zgodę w pewnej kwestii. Trzeba wreszcie założyć dzwonek u tej furtki. Zawsze tak uważałam, ale dotychczas nikt mnie w tym nie poparł – oznajmiła.

– Bo i po co? Dzwonek u furtki nie bardzo pasuje do tego miejsca.

– Mówisz jak mama – westchnęła z komiczną rezygnacją Irena.

– Czyli przynajmniej w tej jednej sprawie się zgadzałyśmy – odparła Eliza, po czym wreszcie odsunęła od siebie album i przygarnęła siostrę.



Agnieszka  
Janiszewska

UROK  
PÓŹNEGO  
LATA

TOM II

NOVAE RES